MOC CZYTANIA JAK ROZMAWIAĆ Z UMARŁYMI | ŻYCIE JEST PEWNE
MÓJ OSOBISTY ŚWIĘTY | POKÓJ PO DZIECKU | ZMARLI NA GRANICY
WIELKOŚĆ MAŁYCH MIAST | AKCJA ZNISZCZ | TAJEMNA JESIEŃ ROŚLIN

TYGODNIK POWSZECHNY

Czas dla dusz

Kraków 31 października 2021
nr 44 (3773)
cena 11 zł (w tym 8% VAT)
Katolickie pismo
społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

DODATEK
ARS
CAMERALIS

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Premiera!

Już od środy 3 listopada w sprzedaży

Więcej informacji na **powszech.net/dzisiajwbetlejem**
Szukaj w miejscach z dobrą prasą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
Kraków
POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich
PRZEKRÓJ

Najnowsza książka księdza Adama Bonieckiego.
Głos rozsądku w twoim domu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

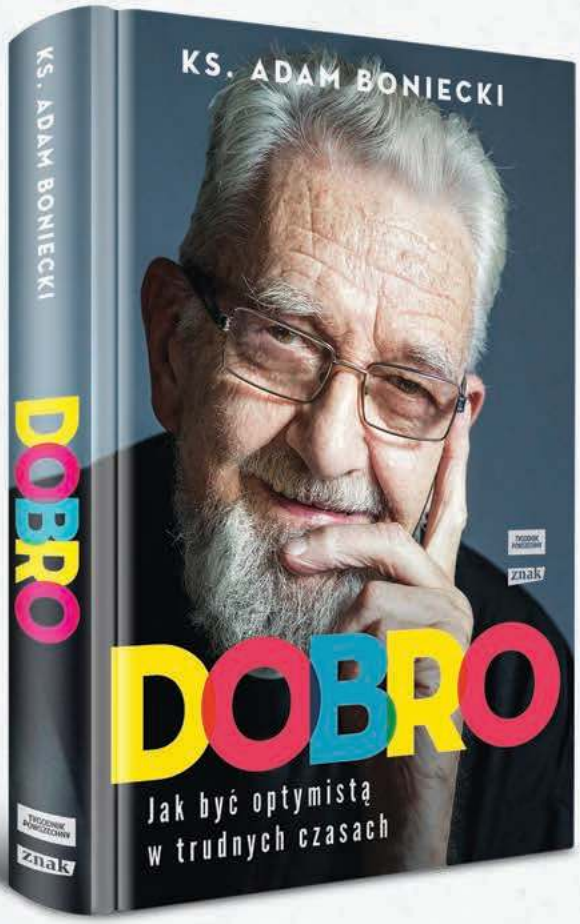

- Jak ze sobą rozmawiać mimo różnic?
- Jak odnaleźć spokój i harmonię w pocovidowej rzeczywistości?
- Czego w dobie kryzysu klimatycznego naucza nas Ewangelia?
- Jak rysuje się przyszłość polskiego Kościoła?
- Co z nami robią media społecznościowe?

PREMIERA LISTOPAD 2021

Zamów w przedsprzedaży na stronie
www.znak.com.pl

znak TYGODNIK POWSZECHNY

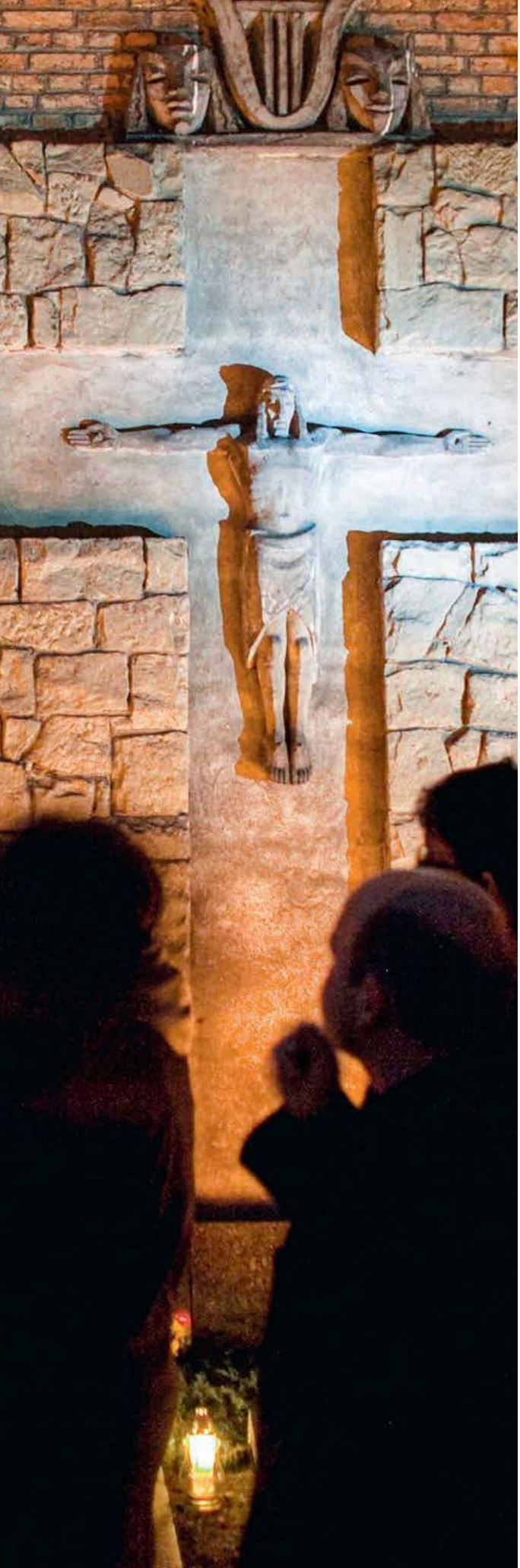

KACPER PEMPEL / REUTERS / FORUM

Dzień Wszystkich Świętych na warszawskich Powązkach. 1 listopada 2010 r.

KS. ADAM

Boniecki:
Nasze pogrzeby

NIGDY NIE SĄDZIŁEM, ŻE PIERWSZYM BĘDZIE B. PRZEZ DWA LATA byliśmy szkolnymi kolegami. Tylko dwa, bo gdy w 1949 r. władze zlikwidowały szkołę (prywatną, katolicką), nasze drogi się rozeszły, widywaliśmy się bardzo rzadko. Potem ja wstąpiłem do zakonu i w 1960 r. zostałem księdzem. Skąpe wiadomości o B. miałem od jego babki. Jako młoda dziewczyna walczyła w legionach. Kiedy ją poznałem, była już starszą panią i wybitną artystką. To ona poprosiła mnie, bym pochował B. Opowiedziała, jak B. wrócił do domu w nocy, że był „pod wpływem", że na gazowej kuchence postawił wodę na herbatę i zasnął. Woda zalała palnik i B. umarł zatruty gazem. Tak mi to opowiedziała. Ale szybko dotarła do mnie inna wersja wydarzeń. Nie było żadnej wody. B. po prostu otworzył gaz i umarł.

JEŻELI DRUGA WERSJA BYŁABY PRAWDZIWA, to w tamtych czasach nie mógłbym po katolicku pochować B. Możliwość innego traktowania ludzi, którzy się targnęli na swoje życie, Kościół dopuścił w roku 1972. Polski Episkopat instrukcję w tej kwestii wydał 5 maja 1978 r. Był to czas, kiedy w kościele św. Karola Boromeusza na warszawskich Powązkach znajdowała się dyskretnie umieszczona na ołtarzu karteczka informująca, że zabrania się księżom odprawiania mszy św. pogrzebowej krócej niż 15 minut (w rycie przedsoborowym msza św. śpiewana trwała ok. 30 minut, zmiany liturgii zaczęto u nas wprowadzać w połowie lat 60.). Z tego pierwszego „mojego" pogrzebu najostrzej wrył mi się w pamięć obraz taty B., którego wcześniej nie znałem. Przyszedł przed mszą do zakrystii. Zrozpaczony i bezradny. Wyjął z kieszeni gruby plik banknotów: „Niech ksiądz to weźmie, niech ksiądz tak zrobi, żeby mu tam było dobrze". Najłagodniej jak umiałem powiedziałem, że to nie jest kwestia pieniędzy. Z rezygnacją schował je do kieszeni.

I OSTATNI – DO TEJ PORY – „MÓJ" POGRZEB. J. zmarła poza Polską, w kraju, w którym przez ostatnie lata mieszkała. W starym, wiejskim kościele, przy którym na cmentarzu jest grób jej rodziny, zebrali się bliscy zmarłej. Po złożeniu do grobu prochów było jedno tylko przemówienie. Kilka słów o ludziach, którzy tam, w ostatniej chorobie, otaczali ją czułą troską. I że opiekunka społeczna, która zajmowała się J., pochodząca z Etiopii Erytrejka, kiedy po śmierci J. jej najbliżsi z powodu pandemii nie mogli przyjechać, wzięła na siebie ich obowiązki. Dziękowali jej za to i chcieli jakoś wynagrodzić. Nie zgodziła się, powiedziała ze wzruszeniem: „J. była dla mnie jak matka". J. nie miała dzieci i chyba nigdy nikomu nie matkowała. Miała opinię osoby raczej skupionej na sobie. I teraz to zdanie... Pomyślałem: ta opowieść jest jak snop światła, jak niepełna bywa nasza wiedza o najbliższych.

BYWAJĄ POGRZEBY-MANIFESTACJE. Uczestniczyłem w takich czterech. Pogrzeb kardynała prymasa Augusta Hlonda – 26 paździer-

nika 1948 r. Cały był antykomunistyczną i prokościelną manifestacją. Na ulicach dziesiątki tysięcy ludzi, złożenie do grobu w murach częściowo zburzonej, pozbawionej dachu i stropu katedry św. Jana, Episkopat z kardynałem Sapiehą na czele, podniosły, patriotyczny nastrój. Żeby tam być, uciekliśmy z zajęć szkolnych, za co potem zostaliśmy ukarani „odpowiednim" stopniem ze sprawowania. Podobnymi pogrzebami-manifestacjami, w których uczestniczyłem, były jeszcze pogrzeby prymasa Wyszyńskiego w Warszawie, Czesława Miłosza w Krakowie i Jana Pawła II w Rzymie. Manifestacją był na pewno pogrzeb ks. Jerzego Popiełuszki, na którym nie byłem. Na tych pogrzebach nie widziałem, by ktoś opłakiwał zmarłego. To było tak, jakby zmarły był pretekstem do manifestacji. Może z jednym wyjątkiem – pogrzebu Jana Pawła II. Nie widziałem też, żeby ktoś opłakiwał zmarłego na pogrzebach zakonnych. Zakonnicy nie opłakują odejścia współbraci, co być może jest wynikiem głębokiej wiary w życie wieczne. Kto wie, może?

MYŚLĘ O „MOICH" POGRZEBACH. Nigdy nie pełniłem funkcji wikarego ani proboszcza, nigdy więc do moich obowiązków nie należało odprawianie pogrzebów. Odprowadzałem i odprowadzam na miejsce wiecznego spoczynku ludzi bliskich, znajomych, czasem, proszony przez znajomych – ich bliskich. Jeśli zmarłej osoby nie znałem albo znałem słabo, proszę o opowieść o niej i jej życiu. Czasem podają mi kilka dat i niewiele mówiących faktów, czasem są to długie, przejmujące historie. Bywa, że te opowieści docierają z różnych stron i wtedy czasem jedne wydają się nie do pogodzenia z innymi. Ale trzeba jakoś je między sobą jednak godzić, bo prawdziwe ludzkie historie bynajmniej nie zawsze są koherentne.

KOŚCIELNE PRZEPISY ZABRANIAJĄ wygłaszania „mowy pogrzebowej" w miejsce homilii. Staram się tego nie robić, ale zawsze mówię o zmarłym. Na pogrzebie trudno przecież nie mówić o zmarłym. Wszyscy wtedy o nim / o niej myślimy. Każda śmierć, każde zamknięcie historii konkretnego życia coś nam mówi. Ale co mówi? Trzeba się uważnie wsłuchać. Bardzo się staram...

TAK JEST NA POGRZEBACH „ZWYKŁYCH LUDZI", na pogrzebach, które nie są manifestacjami politycznymi, choć i tu są wyjątki. Do której kategorii mam zaliczyć pogrzeb Piotra Szczęsnego, który w październiku 2017 r. dokonał samospalenia w proteście przeciwko polityce rządów Prawa i Sprawiedliwości? Na tamtym pogrzebie nie mówiłem o polityce, mówiłem o człowieku – Piotrze Szczęsnym.

KATOLICKI RYT POGRZEBOWY JEST PIĘKNY. W jego oszczędnej liturgii zachowano miejsce dla wyobraźni. Są w niej wychodzący na spotkanie duszy zmarłego aniołowie, jest Matka Boża i święci, z pewnością także ci niekanonizowani. Jest w tej liturgii mowa o grzechach zmarłego, ale wtedy zjawia się słowo o nadziei w Boże miłosierdzie. Jest też miejsce na nasz płacz po zmarłym, bo mimo wiary w życie wieczne, ciała zmartwychwstanie i świętych obcowanie – płaczemy. Wtedy, w naszym imieniu, liturgia przypomina Panu Jezusowi, że On sam także płakał przy grobie Łazarza – przyjaciela – choć przecież wiedział, że za chwilę przywróci go do życia. Modlitwa współbrzmi z ludzkim smutkiem i ostrożnie przypomina o „wiecznej nieśmiertelności".

W PARYŻU KSIĘŻA nie towarzyszą zmarłym na cmentarz, po prostu zbyt wiele jest pogrzebów, a zbyt mało księży. W Rio de Janeiro – z tej samej racji – pogrzeby prowadzą świeccy „ministrowie ". U nas na szczęście jest jeszcze dość księży. Mówię „na szczęście", bo modląc się za zmarłego i odprowadzając go do grobu wiem, że razem idziemy drogą wiary w to, że „życie Twoich wiernych, o Panie, zmienia się, ale się nie kończy...". Przecież nic nie jest ważniejsze od tego. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

38 Walka o duszę małych miast
KAROLINA LEWICKA:
Ani metropolie, ani wieś. To w małych miastach leży klucz do przejęcia władzy w następnych wyborach. Wie o tym nie tylko Platforma, która ostatnio próbuje zrobić zwrot ku konserwatywnej prowincji.

48 Piątek trzynastego
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA:
Proces terrorystów, którzy w 2015 r. zaatakowali klub Bataclan, ma ukazać wyższość demokracji nad totalitaryzmem. Dla tych, którzy przeżyli i dziś zeznają, to ciężka próba, otwierająca rany.

84 To nie są czary
KATARZYNA DZIADOWICZ:
Osoby wprowadzone w stan hipnozy stają się bardziej podatne na sugestię. Mimo niezbyt naukowej historii zjawisko to ma dziś zastosowanie w psychologii.

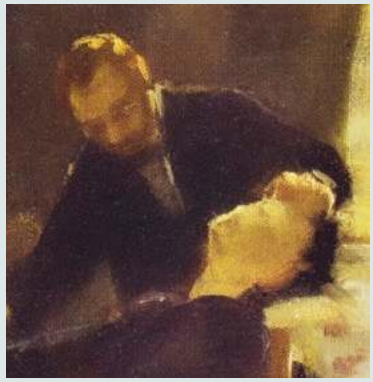

72 Nie w nicość
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM M. BEDNARSKIM, RZEŹBIARZEM:
Chcę oddać ból odciętej nogi kapitana Ahaba, którą czuł bardziej niż tę żywą. Podobnie odczuwamy śmierć bliskiej osoby. Od pięćdziesięciu lat w nagrobkach opowiadam o nieobecności, odejściu.

92 Geniusze i chów wsobny
JAKUB PUCHALSKI: *W Konkursie Chopinowskim znalazło się troje wyjątkowych pianistów, do których będziemy wracać do końca życia. Dwoje z nich ma już zapewnioną świetną przyszłość. To nie oni potrzebowali Konkursu. To Konkurs potrzebował ich.*

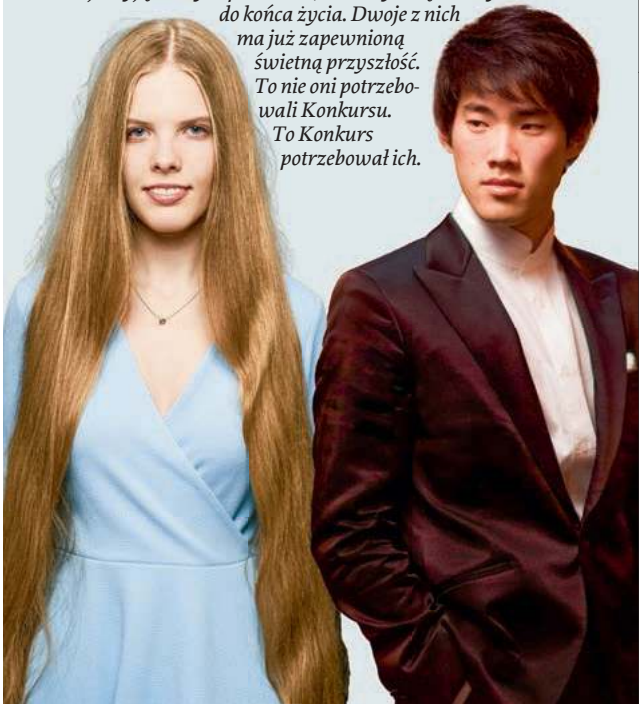

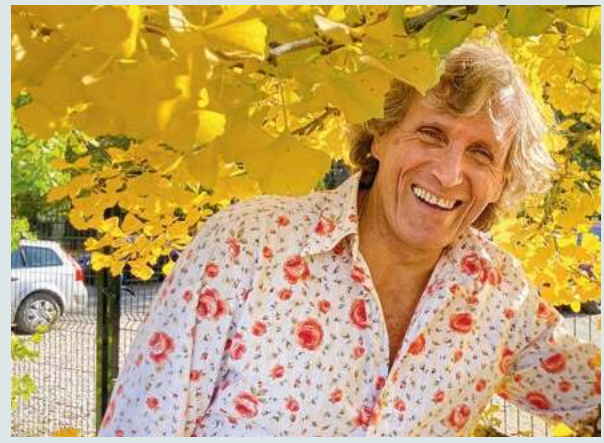

104 Jesień roślin
ARTUR ZAGAJEWSKI:
Każda roślina ma swój początek i koniec. Ale spacerując po ogrodzie, musimy wiedzieć, że nasze życie, w porównaniu z ich życiem, jest zabawnie krótkie.

ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER // KASIA STRĘK // LESZEK FIDUSIEWICZ // ANNA GOC // MATERIAŁY PRASOWE ASIA MUSIC & ARTS // DARIUSZ GOLIK / MATERIAŁY PRASOWE KONKURSU CHOPINOWSKIEGO // DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

8 Pandemia: może zdarzyć się wszystko
MAREK KĘSKRAWIEC

9-15 Obraz tygodnia

36-37 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

KRAJ

38 Walka o duszę małych miast
KAROLINA LEWICKA

42 Zardzewiała strona Polski
ROZMOWA Z MARKIEM SZYMANIAKIEM, REPORTEREM

44 Żyję z chorobą, nie chorobą
MIKOŁAJ SZMURŁŁO *o grupach anonimowych depresantów*

ŚWIAT

48 Piątek trzynastego
SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA
Proces terrorystów w cieniu polityki

53 Próba ognia
KRZYSZTOF STORY
Z PORTUGALII: *Południe Europy podsumowuje straty po pożarach lasów*

57 W napięciu
AGNIESZKA ZIELIŃSKA
o prawicowym bastionie Hiszpanii, który żyje z pracy imigrantów

61 Cienie po słonecznej stronie Alp
MARTA SZPALA Z LUBLANY:
Portret premiera Janeza Janša, który dzieli Słoweńców

HISTORIA

64 Co mówią groby
DAWID GOLIK:
Otaczają nas i do nas przemawiają. Jak ich słuchać?

MACIEJ ŁUCZNIEWSKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

CZAS DLA DUSZ

16 Wśród nas
MARCIN ŻYŁA

19 Święta niepewność
PIOTR SIKORA

22 Poradnik życia wiecznego
ROZMOWA Z KS. GRZEGORZEM STRZELCZYKIEM

26 Zmarli, a jak bardzo żywi
KS. JACEK PRUSAK SJ

29 Akcja Zniszcz
MAREK RABIJ

32 Mam troje dzieci. Dwoje żywych
JACEK TARAN

35 Nie jestem samą żałobą
ROZMOWA Z JUSTYNĄ DYLCZYK, PSYCHOLOŻKĄ

DODATEK

79 Ars Cameralis 2021

FELIETONY

47 JACEK PODSIADŁO **70** HANNA KRALL
78 WOJCIECH BONOWICZ **102** JAN KLATA
103 PAWEŁ BRAVO **110** STANISŁAW MANCEWICZ
110 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: GIULIO MONTEVERDE, ANIOŁ, STAGLIENO, WŁOCHY / EDDY BUTTARELLI / REDA&CO / GETTY IMAGES

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

ROZMOWA

72 Nie w nicość
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM M. BEDNARSKIM, RZEŹBIARZEM

NAUKA

84 To nie są czary
KATARZYNA DZIADOWICZ
o hipnozie

KULTURA

88 Potwór powrócił
MAGDALENA HEYDEL:
„Ulisses", legendarny jeszcze przed publikacją, był bohaterem procesów sądowych o naruszenie moralności publicznej

92 Geniusze i chów wsobny
JAKUB PUCHALSKI
o Konkursie Chopinowskim

95 Zawsze ostatki
DARIUSZ KOSIŃSKI
o 10. Międzynarodowym Festiwalu Teatralnym Dialog

98 Arcydzieło o niczym
JAKUB MAJMUREK: *Tym, którzy „Kronik Seinfelda" nigdy nie widzieli, radzę, by to zrobili. Jest okazja*

100 Taniec na linie
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Moje wspaniałe życie"*

102 Przeciwne drogi
LEKTOR *o książce Piotra Oczko „Pocztówka z Mokum. 21 opowieści o Holandii"*

ZMYSŁY

104 Jesień roślin
ANNA GOC
Spacer z Arturem Zagajewskim

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Demokracja w Afryce najlepiej ma się dziś w krajach niewielkich i położonych na wyspach. Niestety, popadają one właśnie w kłopoty – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

#DOM [Podkast Powszechny]
Z reporterem **MARKIEM SZYMANIAKIEM**, autorem książki „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast", rozmawia **KRZYSZTOF STORY**
powszech.net/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

PANDEMIA: MOŻE ZDARZYĆ SIĘ WSZYSTKO

Statystyki zachorowań na COVID-19 nie wydają się alarmujące na tle Europy. Wykonujemy jednak bardzo mało testów, a to oznacza, że może być o wiele gorzej, niż myślimy.

MAREK KĘSKRAWIEC

Eksplozja pandemii – tak nazwał obecną sytuację w Polsce minister zdrowia Adam Niedzielski. Nie ma na razie mowy o kolejnym lockdownie, jednak już sam fakt, że z tygodnia na tydzień niemal podwaja się liczba zakażeń, każe spodziewać się nieuchronnych obostrzeń. Na początku będą to intensywne kontrole w komunikacji miejskiej, gdzie coraz mniej ludzi używa maseczek. Nie ma jednak mowy o zamykaniu cmentarzy, przerywaniu nauki w szkołach lub ograniczeniach w handlu.

Aktualnie statystyki mówią o 7 tys. przypadków dziennie. Z pozoru nie ma więc powodu do paniki. W Wielkiej Brytanii notuje się ok. 50 tys. zachorowań na dobę (średnia z ostatniego tygodnia), w Niemczech 16 tys., w Rosji 36 tys., na Ukrainie 20 tys., w Rumunii 16 tys. W tych dwóch ostatnich krajach zatrważająca jest zwłaszcza liczba niemal 500 zgonów każdego dnia, niespotykana w żadnym kraju europejskim od zimy. Prezydent Rumunii Klaus Iohannis nazywa tę sytuację katastrofą. Źle jest również w Bułgarii, która

Przepełniona izolatka na oddziale ratunkowym szpitala uniwersyteckiego w Bukareszcie, 22 października 2021 r.

ma podobną do nas liczbę zakażeń, ale cały kraj liczy pięciokrotnie mniej mieszkańców niż Polska. Tam bez paszportu covidowego potwierdzającego szczepienie nie sposób odwiedzić muzeum lub wejść do kawiarni, a jednak tylko 20 proc. Bułgarów wzięło dwie dawki szczepionki, co i tak jest wynikiem lepszym niż na Ukrainie (16 proc.). Średnia w UE to 74 proc.

Niepokojące wskaźniki zachorowań mają też Czechy i Słowacja, gdzie statystyki dobijają do 4,5 tys. przypadków dziennie, a zwłaszcza kraje bałtyckie – na czele z niespełna dwumilionową Łotwą, w której notuje się ok. 3 tys. przypadków na dobę, co wymusiło na władzach wprowadzenie twardego lockdownu i godzin policyjnych. Co ciekawe, w ubiegłym roku Łotwa uchodziła za kraj bardzo dobrze radzący sobie z pandemią.

Sytuacja w Polsce może być dużo gorsza, niż nam się wydaje, głównie z powodu wciąż niedużej liczby wykonywanych testów. W ostatnich tygodniach przeprowadzano ich średnio 42 tys. dziennie. To niewiele ponad jeden test na tysiąc mieszkańców. W ciągu ostatnich siedmiu dni mniej ich wykonano jedynie w Bośni i Hercegowinie. Czechy i Słowacja zrobiły ich ponad 6 razy więcej, Litwa 8 razy, nawet Rosja i Białoruś przeprowadziły niemal cztery razy więcej takich badań niż my. Rekordzistką jest Austria – 36 testów na tysiąc obywateli.

Brak testów oznacza, że duża liczba Polaków pozostaje poza radarem władz. Zapewne część z nich choruje, ale nie zgłasza się do lekarza (dopóki ich stan nie okaże się poważny), by nie trafić na kwarantannę. Inni, zwłaszcza młodzi i lepiej znoszący zakażenie, nie wiedzą o chorobie lub lekceważą jej łagodne objawy. Jednak z drugiej strony fakt, że od początku pandemii testy były piętą achillesową Polski, mógłby także oznaczać, iż więcej z nas już przechorowało covid, niż to wynika ze statystyk. Więcej osób ma więc przeciwciała, a tym samym (przy zaszczepieniu 52 proc. populacji) silniejsza jest naturalna ochrona związana z tzw. odpornością stadną. To jednak tylko dywagacje – nasze statystyki nie są źródłem wiedzy o pandemii w takim samym stopniu jak dane z innych krajów europejskich. Nie pozwalają odpowiednio monitorować sytuacji i przewidywać przyszłości. Właśnie dlatego w najbliższych tygodniach może zdarzyć się wszystko. ©℗

Gdzie realnie jest Polska, a gdzie Bruksela?

PAWEŁ BRAVO

Starcie Mateusza Morawieckiego z europosłami w Strasburgu i potem z przywódcami unijnych państw w Brukseli nie przyniosło przełomu w kwestii, która w uproszczeniu jest nazywana „pieniądze za praworządność". Ale miniony tydzień warto zapamiętać z innych powodów, które symbolicznie spina pożegnanie Angeli Merkel.

Podczas szczytu Rady Europejskiej w Brukseli przeważyła chęć dalszego przeciągania liny i to pomimo faktu, że dwa dni wcześniej europarlament – im bardziej bezradny, tym głośniejszy – eskalował żądania represji wobec Polski. W Radzie zaś, choć padały żądania szybkich i radykalnych kroków (np. ze strony premiera Holandii), znów przeważyło ugodowe nastawienie. Uosabiała je najlepiej obecna po raz sto siódmy i ostatni na takim szczycie kanclerz Merkel: mówiła, iż należy próbować zrozumieć „tych, którzy dołączyli później i są w sytuacji, gdy muszą zaakceptować coś, co było już w mocy, gdy dołączyli, i nie wolno im tego kwestionować".

Choć w Polsce „reformę" firmuje Zbigniew Ziobro, to na unijnych forach bronił jej w ostrych słowach premier, dotąd przedstawiany jako umiarkowana i realistyczna przeciwwaga dla ministra sprawiedliwości. Być może ten świeży radykalizm Morawieckiego wynika nie tylko z coraz węższego pola manewru, jakie ma wobec ziobrystów, niezbędnych dla podparcia większości sejmowej. Możliwe, że Morawiecki wyczuł, iż narasta kryzys w unijnych instytucjach, które mają problemy ze sprawczością z powodów zupełnie niezwiązanych z Polską, lecz np. z rynkiem energii albo zmianami geopolitycznymi. W kilku ważnych krajach odgłosy niezadowolenia z tempa federalizacji Unii wychodzą dziś bowiem z opłotków politycznego folkloru. Panuje duża obawa przed istotnymi przesunięciami punktów równowagi – także dlatego szef Rady Europejskiej Charles Michel żegnał Merkel, mówiąc, że Unia bez niej będzie jak Paryż bez wieży Eiffla.

Otwiera się zatem pole do gry o stopień integracji i jej tempo. Szkoda tylko, że Polska próbuje kontrować niekorzystne tendencje (niewymyślone wszak przy Nowogrodzkiej), broniąc fatalnych zmian w sądownictwie, które naruszają nie wydumane „federalistyczne" wymysły eurokratów, lecz podważają fundament tak wychwalanego przez premiera wspólnego rynku. Szkoda też, że swoją retoryką „tu jest Polska, a tu Bruksela" premier przyspiesza – może nieuchronny – pogrzeb filozofii szukania konsensusu aż do bólu i brzydkich, ale trwałych kompromisów. Marna pociecha, że sekundują mu w tym politycy z tzw. grupy skąpców, jak Mark Rutte, którzy też chcą zaostrzać podziały my–oni, w imię tęsknoty za Unią jako niewielkim klubem bogatych państw. Szkoda im w tym pomagać.

W wywiadzie dla „Financial Times" premier zarzucił Komisji, że chce rozpętać „trzecią wojnę światową". Tymczasem sam się do tego dokłada, na nieszczęście swojego kraju. Bo istnienie nawet jeśli nie całkiem spójnej, ale stabilnej i premiującej ugodowość ramy prawnej dla Europy jest na rękę krajom, które kiedyś w prawdziwych wojnach płaciły wysoką cenę. ©℗

Mateusz Morawiecki, Ursula von der Leyen, Angela Merkel, Emmanuel Macron i Viktor Orbán. Bruksela, 22 października 2021 r.

MONASSE THIERRY / ABACA / PAP

VADIM GHIRDA / AP / EAST NEWS

Polski Ład: nieważne jak, byle już

KAROLINA LEWICKA

Pakiet podatkowy Polskiego Ładu, którym w ostatnim tygodniu października zajmuje się Senat, jest kwintesencją ustawodawczej działalności PiS-u. Od pierwszego czytania liczącego ponad 700 stron dokumentu do jego uchwalenia przez Sejm minęło raptem dziesięć dni roboczych. Sejmowe Biuro Legislacyjne zastrzegło, że nie bierze za projekt żadnej odpowiedzialności, bo „nie miało możliwości pełnej analizy, zaś pobieżna wskazuje na liczne błędy".

Senaccy eksperci, mający nieco więcej czasu, wychwycili aż trzynaście rozwiązań niezgodnych z Konstytucją (tzw. ulga dla klasy średniej narusza zasadę równości podatkowej, a likwidacja możliwości wspólnego rozliczania się samotnych rodziców z dziećmi łamie zasadę otaczania opieką rodzin niepełnych), do tego jedno sprzeczne z unijnym prawem oraz szereg pułapek, których efektem będą przepisy niejasne, trudne do zrozumienia i interpretacji. A to zaowocuje bólem głowy księgowych i licznymi sporami między podatnikami a administracją skarbową.

W zamówionej dla Senatu ekspertyzie dr. Jarosława Nenemana z UŁ czytamy, że „Polski Ład to projekt przede wszystkim polityczny, stanowiący kolejny przykład na propagandową funkcję podatków". Według ekonomisty autorzy projektu nie rozumieją nie tylko samych przepisów, ale także ich konsekwencji. „Będzie jeszcze większy chaos i niesprawiedliwość podatkowa" – to z kolei opinia, jaką senatorzy usłyszeli od szefa Krajowej Rady Doradców Podatkowych, prof. Adama Mariańskiego. Stąd dziesiątki poprawek, które Izba Wyższa składa do ustawy, w tym propozycja długiego – rocznego lub nawet trzyletniego – vacatio legis, w trakcie którego można byłoby projekt poprawić lub wręcz napisać od nowa. Na to jednak nie pójdzie obóz władzy, zdeterminowany, by przepisy obowiązywały już od stycznia. „Polski Ład sprawdzi się tylko wtedy, gdy będzie realizowany" – mówił ostatnio Jarosław Kaczyński. Prezes PiS-u wciąż widać liczy na to, że Polski Ład da rządzącym sondażowe odbicie i szansę na trzecią kadencję. ©

Autorka jest dziennikarką radia TOK FM

KRAJ W SKRÓCIE

KOMISJA

Partie opozycyjne złożyły wniosek o powołanie sejmowej komisji śledczej, która miałaby wyjaśnić twierdzenia skonfliktowanego z rządem prezesa NIK Mariana Banasia, że dysponuje oświadczeniami osób, które nakłaniano do składania fałszywych zeznań przeciwko niemu i jego rodzinie.

ARTUR BARBAROWSKI / EAST NEWS

RADA

Wiceminister rozwoju i technologii Olga Semeniuk (na zdjęciu w środku) została przewodniczącą Rady Polskiej Agencji Kosmicznej. Jej priorytetami będą: kreowanie polityki kosmicznej i przygotowanie Krajowego Programu Kosmicznego. Kosmicznych cen pieczywa i paliw na liście priorytetów brak.

INSTYTUT

Nowych posad będzie więcej. Portal wPolityce.pl zapowiada powstanie Instytutu Strat Wojennych, z zadaniem „prowadzenia dalszych prac nad bilansem niemieckiej i sowieckiej okupacji w czasie II wojny światowej" oraz „doprowadzenia sprawy reparacji do pozytywnego finału".

SZEF

Jak na razie, na froncie niemieckim notujemy inne sukcesy: użytkownik Twittera posługujący się nickiem FlasH wyliczył, że od stycznia w „Wiadomościach" TVP 97 razy pokazano Donalda Tuska używającego – podczas wystąpienia na kongresie niemieckiej CDU – frazy „für Deutschland". Skądinąd: 97 proc. głosujących członków PO wybrało byłego premiera na przewodniczącego partii.

Niemal co dziesiąty uczeń poza szkołą publiczną

NAJŚWIEŻSZE DANE, przekazane „Tygodnikowi" przez Ministerstwo Edukacji i Nauki, muszą być dla tegoż resortu bolesne: w ciągu ostatniego roku oświacie niepublicznej przybyło 30 tys. uczniów (skok z 403 tys. dwa lata temu i 437 tys. przed rokiem do 468 tys. obecnie). Wzrost odsetka uczniów w placówkach prywatnych i społecznych to nienowe zjawisko, ale właśnie teraz wskaźnik ten zbliża się do dwucyfrowego – z 8,5 proc. dwa lata temu do 9,7 proc. w roku obecnym.

Z opublikowanego trzy lata temu przez Our Kids Polska raportu wiemy, dlaczego rodzice wysyłają dzieci do szkół płatnych. Wśród pięciu najważniejszych motywów wskazywali bezpieczeństwo emocjonalne, mniej liczne klasy, wyższy poziom nauczania języków, rozwój umiejętności pozanaukowych (np. pewność siebie) i indywidualne podejście. Jakby ten zestaw nie układał się wystarczająco wyraźnie w recenzję głównego nurtu oświaty, w kolejnej grupie motywów rodzice wskazywali już wprost na „rozczarowanie systemem publicznym".

Ten zaś przez ostatnie lata przeżył wszystkie możliwe plagi, radząc sobie z nimi zwykle gorzej niż mniej przepełnione i z reguły bardziej elastyczne szkoły płatne: domykanie się reformy edukacyjnej PiS, strajk nauczycieli, epidemię, wreszcie firmowane przez ministra Czarnka dławienie autonomii szkół. W tym kontekście wzrost udziału oświaty niepublicznej można uznać za łagodny. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wielka tama przegrodzi Wisłę

STOPIEŃ WODNY SIARZEWO – flagowa i najbardziej kontrowersyjna inwestycja Wód Polskich za ponad 4 mld zł – jednak powstanie. W sierpniu na budowę wielkiej tamy na Wiśle nie zgodził się minister klimatu i środowiska Michał Kurtyka. Zrobił to na podstawie 15 stron raportu, który wykazywał znaczące oddziaływanie zapory na środowisko, brak wystarczających konsultacji społecznych i fałszywe uzasadnianie inwestycji bezpieczeństwem energetycznym. Minister przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska w Bydgoszczy, *de facto* opóźniając budowę o co najmniej kilka lat.

Tylko że Wody Polskie zgłosiły sprzeciw do sądu, a w połowie października Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił decyzję Kurtyki. Od dawna mówi się, że minister wkrótce straci stanowisko na rzecz Anny Moskwy, a wyrok wydany przez uznawanego za bliskiego władzy sędziego Pawła Korzeniowskiego zdaje się to potwierdzać. Faktem jest, że droga do budowy pod Włocławkiem zapory, nazywanej przez wielu naukowców i ekologów „wyrokiem śmierci dla Wisły", znów jest możliwa.

©℗ KRZYSZTOF STORY

JACEK TARAN

„MATKI NA GRANICĘ” – ponad czterysta osób wzięło udział w proteście przed posterunkiem Straży Granicznej w Michałowie w sobotę 23 października. Domagano się wpuszczenia do strefy stanu wyjątkowego organizacji pomocowych i mediów oraz tego, by uchodźcy przestali być używani w rozgrywkach politycznych. Jolanta Kwaśniewska i Anna Komorowska odczytały swój apel do władz: „Chcemy wyrazić nasz sprzeciw wobec niehumanitarnego traktowania i odzierania z godności uchodźców i wspólnie zaapelować, by rząd, który sam nie pomaga, pozwolił na udzielanie pomocy medycznej i prawnej”. Pod apelem podpisała się też Danuta Wałęsa. ©℗ JACEK TARAN

Jestem za życiem, czy PiS też?

MAŁGORZATA NOCUŃ

W rocznicę wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji trzeba to powiedzieć jasno: wskutek ideologicznej wojny polityków PiS oraz działaczy *pro-life* nie uratowano wielu istnień.

Wielu ciężarnym kobietom mieszkającym z dala od miast nie wykonano w porę badań USG i badań biochemicznych krwi. Brakuje sprzętu, a po co kierować „do miasta”, jeśli i tak nie można usunąć? Dezinformacyjna kampania środowisk *pro-life* sprawiła, że wiele osób uważa diagnostykę prenatalną za „służącą aborcji”.

Tymczasem badania te często ratują życie – matki, dziecka albo obojga. U wielu ciężarnych nie wykryto więc w porę: łożyska przodującego (śmiertelne zagrożenie dla matki), potencjalnie śmiertelnego dla ciężarnej i dziecka stanu przedrzucawkowego (można go opóźnić albo mu zapobiec, podając aspirynę, ale trzeba wiedzieć, że kobieta jest w grupie ryzyka), małowodzia. Tych ciężarnych nie hospitalizowano, by ciążę „podtrzymać” i doprowadzić do narodzin dziecka o małej, ale pozwalającej przeżyć wadze. Wykonano też mniej wewnątrzmacicznych operacji płodu (wady kardiologiczne, przepuklina przeponowa). O tych kobietach milczą politycy i statystyki. Mówią o nich ginekolodzy-położnicy ze szpitali o trzecim (najwyższym) stopniu referencyjności. Klną i błagają: „Dajcie nam pracować!”.

U podstaw decyzji o zakazie aborcji nie leżała troska o ochronę życia. Już w latach 90. wytykano prawicy, że najniższy wskaźnik terminacji ciąży jest w krajach, gdzie jest ona legalna. Odpowiadali: „Nie o to chodzi! Trzeba się opowiedzieć”. Jarosław Kaczyński „się opowiedział” i przyznał, że „aborcję można sobie załatwić za granicą”. Pokazują to dane: kliniki w Czechach, Austrii, Niemczech przyjęły w ostatnim czasie więcej Polek. Kobieta potrzebująca pomocy wrzuca w wyszukiwarkę hasło „aborcja za granicą”. Na zabieg nawet nie musi mieć pieniędzy. Zapłacą wolontariusze. ©℗

W gorączce stagflacji

POLSCE NIE GROZI STAGNACJA gospodarcza połączona z wysoką inflacją, czyli stagflacja – takie uspokajające głosy płyną w ostatnich dniach zarówno z NBP, jak i z Polskiego Funduszu Rozwoju. Gdyby postąpić z nimi zgodnie z jedną z reguł anglosaskiego dziennikarstwa, która nakazuje traktować poważnie jedynie dementowane oficjalnie informacje, ryzyko stagflacji trzeba by uznać za wysokie. I takie faktycznie jest.

Inflacja we wrześniu dobiła do 5,9 proc. Współpracujący z rządem ekonomiści uspokajają, że zacznie spadać otarłszy się gdzieś o próg 7 proc., ale podobne zapewnienia kilka miesięcy temu NBP formułował przecież w odniesieniu do inflacji rzędu 5,5 proc. Obserwując samo tempo, z jakim drożeją właśnie paliwa, trudno zresztą wykrzesać z siebie tyle optymizmu, ile wykazuje NBP. A jeśli wysoka inflacja zostanie z nami dłużej, wzmocni negatywne bodźce, które coraz wyraźniej dają o sobie znać w gospodarce.

Olbrzymi popyt na niemal wszystkie surowce i półprodukty – od gazu napędzającego fabryki, przez chipy używane do produkcji samochodów, po makulaturę, z której powstają kartony niezbędne e-handlowi przy wysyłce towarów – coraz częściej doprowadza do przestojów w dostawach (i kolejnych podwyżek cen), a to w dłuższej perspektywie zaszkodzi konsumpcji. Inflacja również zacznie osłabiać ją prędzej czy później. Wzrost płac, którym tak chwali się rząd PiS, już nie nadąża za rosnącymi cenami i z każdym miesiącem ubywać będzie konsumentów zdolnych do utrzymania aktywności zakupowej na dotychczasowym poziomie. Polsce – której PKB nadal zależy od przemysłu w znacznie większym stopniu niż w przypadku bogatszych krajów Europy – będzie trudniej wyjść z tej pułapki. Braki półproduktów mają charakter globalny i deficytowe surowce płyną dziś do silniejszych gospodarek. W rezultacie możemy znaleźć się w sytuacji, w której trzeba będzie tłumić inflację, z drugiej zaś pobudzać gospodarkę, aby nie dopuścić do wzrostu bezrobocia. Szkopuł w tym, że jedno i drugie będzie bardzo trudne. ©℗ MAREK RABIJ

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

Niezależny kandydat kontra Viktor Orbán

OPOZYCJA WĘGIERSKA, przez lata bezradna wobec dominacji Fideszu, złapała wiatr w żagle.

Sześć największych partii opozycyjnych – od lewa do prawa – połączyło siły i zamierza wspólnie rzucić wyzwanie premierowi Viktorowi Orbánowi. Zakończone w połowie października prawybory opozycji, w których wzięło udział ponad 600 tys. Węgrów, wyłoniły wspólnych kandydatów i przyszłego lidera w wyborach parlamentarnych, zaplanowanych na wiosnę 2022 r. Nieoczekiwanie został nim samorządowiec Péter Márki-Zay, który pokonał nominatów partyjnych.

Wydaje się on idealnie „skrojony" pod rywalizację z Orbánem o urząd premiera: to kandydat niezależny, burmistrz niewielkiego miasta Hódmezővásárhely i menadżer, który szlify zawodowe zdobywał w Kanadzie i USA. Gdy idzie o poglądy, jest to konserwatysta i działacz katolicki, zwolennik rozdziału Kościoła i państwa, akceptujący małżeństwa osób tej samej płci. Márki-Zay określa się jako dawny wyborca Fideszu, rozczarowany tą partią i populistycznym kursem jej lidera. Swój przekaz koncentruje na hasłach antykorupcyjnych i krytyce zawłaszczania państwa przez Fidesz.

Márki-Zay ma zatem szansę przemówić do różnych grup mocno spolaryzowanego społeczeństwa węgierskiego, podzielonego między prawicę i lewicę oraz między Budapeszt i prowincję. Jeśli tylko blokowi opozycji – w skład którego wchodzą zarówno partie lewicowe, zielone i liberalne, jak też prawicowy (dawniej skrajnie prawicowy) Jobbik – uda się utrzymać jedność, wybory parlamentarne wiosną 2022 r. mogą być wyjątkowo wyrównane.

Przy czym pokonanie Fideszu wciąż pozostaje nie lada wyzwaniem. Rządząca od 2010 r. partia dominuje w mediach, ma podporządkowane sobie instytucje państwa, lojalnych oligarchów, zdyscyplinowany elektorat oraz wciąż popularnego Orbána na czele. Dobitnie pokazało to święto narodowe 23 października: w wiecu poparcia dla władzy, którego kulminacyjnym wydarzeniem było przemówienie premiera, wzięło udział ponad 100 tys. Węgrów. © ANDRZEJ SADECKI

MUNIR UZ ZAMAN / EAST NEWS

ATAKI NA HINDUSKIE ŚWIĄTYNIE i na wyznawców tej religii trwają w Bangladeszu (ok. 9 proc. populacji kraju stanowią właśnie hindusi, dominującym wyznaniem jest islam). Napięcie narasta od połowy października, gdy podczas obchodów hinduskiego święta Durgapudźa miało dojść do zbezczeszczenia Koranu. Kilka jego egzemplarzy faktycznie podrzucono do świątyni w Kumilli (oficjalnie oskarżono o to młodego mężczyznę uzależnionego od metamfetaminy), co zapoczątkowało tam zamieszki, które następnie rozlały się na niemal cały kraj. Islamscy radykałowie w odwecie zdewastowali m.in. świątynię w Bogrze. W miejscowości Rangpur podpalono osiedle zamieszkane przez hindusów. Na zdjęciu: demonstranci próbują sforsować bramę meczetu w Dace, 15 października 2021 r. ©℗ MR

Praga: czas zawirowań

POWYBORCZEJ SCENIE POLITYCZNEJ w Czechach daleko do stabilności. Problemem okazuje się jednak nie wynik wyborów i tworzenie nowego rządu, ale stan zdrowia 77-letniego prezydenta Miloša Zemana, który dzień po wyborach trafił do szpitala.

Po wielu dniach spekulacji i pytań, czy Zeman jest w stanie pełnić obowiązki – na które to pytania jego współpracownicy odmawiali odpowiedzi, zamiast tego informując, że prezydent poprosił o winną kiełbasę i ziemniaki na obiad – niepewność zakończyli lekarze. Centralny Szpital Wojskowy w Pradze poinformował 18 października, że Zeman nie jest w stanie pracować, rokowania są niepewne, a poprawa stanu zdrowia w najbliższych tygodniach mało prawdopodobna.

Co teraz? Po pierwsze wydaje się, że współpracownicy Zemana i inni wysocy rangą urzędnicy ukrywali stan rzeczy przed opinią publiczną. Pytanie, czy to tylko źle rozumiana lojalność, czy też złamano prawo (bo np. prezydent miał podpisać dokument o zwołaniu posiedzenia nowego parlamentu). Policja rozpoczęła śledztwo w sprawie możliwości popełnienia przestępstw przeciwko republice.

Po drugie – i to bardziej istotne dla stabilności kraju – we władzach parlamentu i partii politycznych rozważana jest możliwość zastosowania zapisu konstytucji przewidzianego na wypadek niezdolności prezydenta do sprawowania władzy. W takim przypadku jego obowiązki i uprawnienia zostałyby tymczasowo podzielone między premiera i przewodniczącego izby niższej parlamentu – i to ten drugi nominowałby szefa nowego rządu. Decyzję o tym – na podstawie aktualnych informacji o zdrowiu Miloša Zemana – obie izby parlamentu mają podejmować na początku listopada. W Izbie Poselskiej zasiądą wtedy już posłowie wybrani w ostatnich wyborach. Jeśli taka decyzja nie zapadnie (bo debata może być burzliwa), a prezydent nie wyzdrowieje, sytuacja z przekazaniem władzy znacznie się skomplikuje.

Tymczasem Petr Fiala, szef partii ODS i najprawdopodobniej przyszły premier, pracuje nad programem i składem swojego gabinetu, który mają tworzyć dwie wyborcze koalicje: centroprawicowa Spolu oraz PirSTAN (Piraci i Burmistrzowie). Razem mają stabilną większość 108 mandatów w 200-osobowej Izbie Poselskiej. Już teraz jednak podobno w koalicji Piratów i Burmistrzów sporo jest napięcia, więc również z tą stabilnością może być jeszcze różnie.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ZAPROSZENI

Osoby, które przestały praktykować, apostaci, młodzi, którzy zrezygnowali z lekcji religii oraz nieprzyjmujący księdza po kolędzie – „synod jest okazją, by indywidualnie takie osoby zaprosić, by podzieliły się odpowiedzią choćby tylko na jedno pytanie: dlaczego tak się stało?" – proponuje bp Adrian Galbas, przewodniczący Rady Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich.

WYRÓŻNIONY

Ks. Alfred Wierzbicki – profesor KUL, teolog, etyk i poeta – został tegorocznym laureatem przyznawanej przez warszawski Klub Inteligencji Katolickiej Nagrody „Pontifici – Budowniczemu Mostów". Wyróżnienie „za zasługi w szerzeniu wartości dobra wspólnego, dialogu i poświęcenia na rzecz bliźnich" wręczono laureatowi 24 października, w 65. rocznicę powstania stołecznego KIK.

BŁOGOSŁAWIONA

24 października prefekt Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych kard. Marcello Semeraro ogłosił w Rimini nad Adriatykiem nową błogosławioną – pochodzącą z tego regionu 22-letnią studentkę medycyny Sandrę Sabattini (na zdjęciu). Włoszka jako nastolatka zaangażowała się w pomoc chorym, niepełnosprawnym i narkomanom. Miała plany, by po studiach wyjechać na misję do Afryki. Zmarła 2 maja 1984 r. z powodu ran odniesionych po potrąceniu przez samochód.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Amazoński eksperyment papieża Franciszka

PIOTR SIKORA

Co by było, gdyby członkami Konferencji Episkopatu byli nie tylko biskupi – lecz także świeccy, zakonnice i księża? Jak wyglądałby i funkcjonował cały lokalny Kościół? Niedługo będzie się można o tym przekonać – w Amazonii.

W zeszłym tygodniu papież Franciszek zatwierdził prawny status Kościelnej Konferencji Amazonii – struktury przypominającej regionalne konferencje episkopatów, ale jednocześnie obejmującej nie tylko biskupów, lecz także świeckich i księży. Utworzenie takiego ciała postulował zakończony w 2019 r. Synod dla Amazonii.

Prace nad jego utworzeniem trwały kilka miesięcy – Konferencja ukonstytuowała się w lecie 2020 r. Od teraz ma pełną osobowość prawną w Kościele.

Ostateczny kształt statutu tego organizmu nie jest jeszcze gotowy. Jest wielce prawdopodobne, że zostanie wypracowany w oficjalnie rozpoczętym w ostatnich tygodniach procesie synodalnym na temat samej synodalności. Byłby to naturalny sposób działania, albowiem Kościelna Konferencja Amazonii jest właśnie – w pewnym sensie eksperymentalnym – wcieleniem idei Kościoła, której poświęcony jest ów proces.

Jak wskazuje wielu kościelnych komentatorów, Kościół w Ameryce Łacińskiej, a w ostatnich latach zwłaszcza Kościół w Amazonii, jest traktowany przez Franciszka jako miejsce, gdzie pojawiają się idee i rozwiązania, na których wzorować się powinny Kościoły w innych regionach świata. Warto zatem uważnie przyglądać się Amazonii – być może tam obecnie tworzy się i ujawnia przyszły kształt katolicyzmu. ©℗

Kościół katolicki w liczbach

15,4 – o tyle milionów wzrosła liczba katolików na świecie w 2019 r., względem 2018 r., podała agencja Fides. Katolików przybyło na wszystkich kontynentach (w Afryce 8,3 mln, w Ameryce 5,3 mln, w Azji 1,9 mln, w Oceanii 118 tys.), z wyjątkiem Europy, gdzie ubyło ich 292 tys.

2608 – o tyle spadła liczba księży diecezjalnych w Europie. Na całym świecie wzrosła ona o 271 i wyniosła 414 336. Spadła również liczba księży zakonnych (o 646) i wynosiła 50 295.

7400 – o tyle zmniejszyła się liczba sióstr zakonnych w Europie. Spadek ten odnotowano na całym świecie (o 11 562). Pod koniec 2019 r. było 630 099 zakonnic.

1822 – o tyle mniej odnotowano kleryków w wyższych seminariach duchownych diecezjalnych i zakonnych (w sumie było ich 114 tys.). Wzrost ich liczby nastąpił jedynie w Afryce (o 509).

34 252 – o tyle wzrosła liczba świeckich misjonarzy. Na całym świecie było ich 410 440. ©℗ ASK

Litania do wszystkich możnych

DZIEWIĘĆ WEZWAŃ „w imieniu Boga" skierował papież do wszystkich, od których zależy los świata w czasie pandemii. W blisko 40-minutowym, emocjonalnym przemówieniu do uczestników IV Światowego Spotkania Ruchów Ludowych Franciszek wezwał koncerny farmaceutyczne do uwolnienia patentów medycznych, aby każdy miał dostęp do leków i szczepionek; międzynarodowe instytucje finansowe – by darowały długi krajów najbiedniejszych; wielkie firmy wydobywcze – by przestały degradować środowisko naturalne; przemysł spożywczy – by porzucił monopolistyczne praktyki, które prowadzą do biedy i głodu; producentów i handlarzy bronią – by całkowicie zaprzestali działalności; „gigantów technologicznych" – by nie żerowali na ludzkich słabościach, uzależniając, manipulując i szerząc fałszywe informacje; firmy telekomunikacyjne – by uwolniły dostęp do zdalnej edukacji dzieci; media – by zerwały z logiką postprawdy, dezinformacji, zniesławiania i pogoni za skandalem; rządzących państwami – by odstąpili od polityki agresji, blokad, sankcji gospodarczych, a konflikty rozwiązywali z pomocą międzynarodowych instytucji.

Papież zaapelował też o wprowadzenie minimalnego wynagrodzenia oraz skrócenie czasu pracy, co pozwoli znaleźć zatrudnienie większej liczbie pracowników.

„Ruchy ludowe" to oddolne, często niesformalizowane, inicjatywy ludzi walczących o poprawę losu pozbawionych pracy, ziemi, domu i innych podstawowych praw socjalnych. Ich kolebką są kraje Ameryki Łacińskiej. Zainicjowane w 2014 r. przez papieża spotkania gromadzą przedstawicieli ponad 200 takich ruchów całego świata. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Psy i konie: na tropie dzikich przodków

BYŁY MNIEJSZE i – jeśli wierzyć legendom – przyjaźniej nastawione do ludzi od wielu swoich kuzynów. Ale po epidemii wścieklizny w XVIII w. japońskie wilki, będące endemicznym podgatunkiem wilka szarego, stały się celem polowań. Ostatniego z nich zabito na początku XX w.

Szkoda – bo mówimy o najbliższych znanych dzikich krewnych psów domowych, co wykazały badania genetyczne kilku muzealnych okazów przeprowadzone przez zespół Yoheya Teraia. Naukowcom udało się także ustalić, że ok. 10 tys. lat temu, jeszcze zanim trafiła na wyspy, gdzie odizolowała się od innych dzikich psowatych, wywodząca się z Syberii populacja przodków japońskich wilków skrzyżowała się z udomowionymi już wówczas psami. Kilka procent psiego DNA (najwięcej u ras wywodzących się ze wschodu) wzięło się właśnie z tego zdarzenia.

Wiele podgatunków wilków szarych do dzisiaj spotkać można w różnych miejscach Europy, Azji i Ameryki Północnej i mimo intensywnych badań wciąż nie udało się ustalić, gdzie dokładnie żyła grupa, którą ok. 20 tys. lat temu naszym przodkom udało się udomowić. Wspomniane odkrycia sugerują, że jej poszukiwania rozsądnie byłoby zawęzić do wschodniej Azji.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Wilk japoński na ilustracji Coenraada Jacoba Temmincka w zbiorze „Fauna Japonica".

Nie możemy być pewni również tego, gdzie i kiedy po raz pierwszy doszło do udomowienia koni, ale opisane w „Nature" badania Pabla Librado i współpracowników rzucają światło na pochodzenie współczesnych ras. Badacze przeanalizowali m.in. 273 genomy starożytnych koni pochodzących z okresu od 50 do 2,2 tys. lat temu. Genetyczne ślady prowadzą w okolice północnego Kaukazu, nad Wołgę i Don. Choć od tysięcy lat w różnych miejscach Eurazji ludzie wykorzystywali kilka oddzielnych genetycznie ras koni, to ok. 4,5 tys. lat temu genetyczny profil udomowionych koni nagle się ujednolica. To właśnie udomowiona nad Donem i Wołgą populacja wypiera wszystkie inne. Widocznie konie te najbardziej nadawały się do tego, by je dosiąść lub zaprząc do rydwanów, które niedługo potem pojawiają się na stepach, zmieniając na zawsze sposób ludzkich wędrówek – i prowadzenia walk. ©℗ ŁK

Nie tylko transport

RZADKO POJAWIAJĄ SIĘ odkrycia zmieniające podstawy wiedzy, której uczymy się w szkole. Tym bardziej są one zaskakujące, gdy dotyczą tak dobrze przebadanych zagadnień jak fizjologia krwi.

Powszechnie znanym zadaniem czerwonych krwinek, czyli erytrocytów, jest wymiana gazowa i rozprowadzanie tlenu po organizmie, co jest możliwe dzięki hemoglobinie – białku, które nietrwale wiąże tlen, a także odpowiada za czerwone zabarwienie komórki. Z kolei odpornością, jak wiadomo, zajmują się leukocyty (krwinki białe).

Zespół Nilam Mangalmurti z Uniwersytetu Pensylwańskiego w „Science Translational Medicine" opisał właśnie nieznaną wcześniej immunologiczną funkcję erytrocytów. Dzięki receptorowi TLR9, który zwykle występuje na powierzchni komórek odpornościowych – makrofagów i limfocytów – erytrocyt skanuje krew w poszukiwaniu DNA bakterii lub pochodzącego z uszkodzonych tkanek. Badacze zauważyli, że krwinki czerwone reagują na aktywację tych receptorów sfałdowaniem błony komórkowej, co może również informować układ immunologiczny o infekcji lub urazie i prowadzić do jego pobudzenia.

Wychwycenie DNA powoduje także zniknięcie z powierzchni komórki białek chroniących erytrocyt przed zniszczeniem. W normalnych warunkach nie jest to problemem, ale gdy silna infekcja wywoła aktywację wielu erytrocytów, może pojawić się niedokrwistość. Według naukowców tłumaczy to anemię, czyli spadek liczby czerwonych krwinek w trakcie sepsy, również tej w przebiegu COVID-19.

Trwają już prace nad wykorzystaniem tych odkryć do stworzenia wczesnych markerów infekcji. Pobranie od pacjenta erytrocytów z przyłączonym obcym DNA i odczytanie go pozwoliłoby błyskawicznie znaleźć odpowiedzialny za zakażenie patogen. Jeśli zaś udałoby się stworzyć lek blokujący łączenie DNA z receptorem TLR9, możliwa byłaby wczesna terapia niedokrwistości w przebiegu ciężkich infekcji. © BARTOSZ KABAŁA

Wybacz terroryście

NIE BRZMI TO może zaskakująco, ale teraz potwierdzone jest doświadczalnie: autorytety, którym się ufa, mogą łagodzić poglądy i postawy w obliczu konfliktu. Tyczy się to zwłaszcza przywódców religijnych – to właśnie ich wpływ zbadali Graeme Blair z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles i współpracownicy w nigeryjskim mieście Maiduguri, skąd wywodzi się ekstremistyczna muzułmańska organizacja Boko Haram. Wywołany przez nią w 2009 r. konflikt pochłonął dziesiątki tysięcy ofiar, a miliony zmusił do uchodźstwa.

Żeby wojna domowa mogła się skończyć naprawdę, potrzebna jest reintegracja byłych wrogów w społeczności. Z żołnierzami zwykle się to udaje, co innego terroryści: bo żołnierze słuchali rozkazów, a ekstremiści w coś wierzyli – więc nigdy nie wiadomo, czy już przestali. Autorzy opisanego na łamach „PNAS" badania przeprowadzili je na reprezentatywnej grupie muzułmanów z przedmieść i obozów dla uchodźców wewnętrznych. Respondenci słuchali audycji radiowej (to najpopularniejsze tam medium), w której znany muzułmański duchowny wzywał do przebaczania dawnym oprawcom w imię wiary. Grupa kontrolna słuchała audycji-placebo o zdrowiu. Następnie badacze pytali o opinię na temat przyjęcia byłych dżihadystów w swoje sąsiedztwo.

Pozytywny odzew był znacząco wyższy wśród badanych, którzy wysłuchali nauki o przebaczeniu – np. 63 proc. z nich zgodziłoby się gościć byłego członka Boko Haram na weselu. W grupie placebo – 53 proc. Koncyliacyjna audycja pozytywnie wpłynęła też na postrzeganie norm własnej społeczności: jej słuchacze częściej deklarowali, że ich otoczenie skłonne jest przebaczać.

Badacze wskazują, że w społeczeństwach zsekularyzowanych analogiczną rolę mogą odgrywać przywódcy świeccy poprzez inne media, także społecznościowe. Odpowiednio nagłośnione pokojowe przesłanie liderów – konkludują – potrafi łagodzić nawet brutalne konflikty.

O ile oczywiście są oni autorytetami. ©℗ MK

KULTURA W SKRÓCIE

ZAPOWIEDZI

Pierwsza w polskim przekładzie książka tegorocznego laureata Nagrody Nobla w dziedzinie literatury ukaże się już w przyszłym roku. Za publikację powieści „Afterlives" Abdulrazaka Gurnaha odpowiada Wydawnictwo Poznańskie.

ZACHWYTY

Twórcy muzyki do serialu „Wiedźmin" (na podstawie słynnej sagi Andrzeja Sapkowskiego) zarejestrowali swoje utwory wspólnie z krakowskim chórem Pro Musica Mundi. Kompozytorzy zdecydowali o nagraniu po tym, jak usłyszeli wykonania zespołu na tegorocznym Festiwalu Muzyki Filmowej.

ZWYCIĘSTWA

Debiut fabularny Aleksandry Terpińskiej (na zdj.) „Inni ludzie" znalazł się wśród 20 produkcji w sekcji First Feature Competition festiwalu Tallinn Black Nights. Będzie to międzynarodowa premiera produkcji opartej na ostatniej książce Doroty Masłowskiej. Do polskich kin trafi wiosną.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

ZACNOŚĆ

Polska Misja Medyczna została odznaczona Nagrodą im. Sérgia Vieira de Mello, przyznawaną za działania na rzecz pokojowego współistnienia i współdziałania społeczeństw, religii oraz kultur. Stowarzyszenie od ponad 20 lat prowadzi programy humanitarne w najuboższych krajach świata. W tym roku wyróżniono także grupę działających w Polsce i na Litwie organizacji udzielających pomocy osobom represjonowanym na Białorusi po sierpniu 2020 r.

EDYTA DUFAJ / MATERIAŁY PRASOWE KBF

Nagroda Conrada: nowohucka gra fantazji

ELŻBIETA ŁAPCZYŃSKA laureatką siódmej edycji Nagrody Conrada. To wynik głosowania kapituły oraz plebiscytu czytelniczek i czytelników, którzy postanowili wyróżnić wydany przez Biuro Literackie „Bestiariusz nowohucki" – zbiór ośmiu opowiadań o narodzinach metalurgicznego kombinatu. Przemocą zmieniana z rolniczej w przemysłową przestrzeń podkrakowskiej Mogiły poddana zostaje w prozie Łapczyńskiej grze fantazji i zyskuje samoświadomość, a do scen przedstawiających codzienne, wyniszczające życie pracowników Huty im. Lenina wplecione zostają motywy mityczne i magiczne – zupełnie jak w twórczości malarzy należących do słynnej Grupy Janowskiej.

Zarówno galę wręczenia Nagrody, podczas której wykłady mistrzowskie wygłosili Izabela Morska i Alex Kotlowitz, jak i wszystkie spotkania pasma głównego Festiwalu Conrada, oglądać można na Facebooku „Tygodnika Powszechnego", kanale YouTube Krakowskiego Biura Festiwalowego oraz na platformie Play Kraków.

W tym roku do nagrody za najlepszy debiut nominowani byli także Maciej Bobula („Szalejów"), Igor Jarek („Halny"), Mira Marcinów („Bezmatek") oraz Maciej Topolski („Niż"). ©℗ MOC

Tysiąc lat temu w Ameryce

TRZY KAWAŁKI DREWNA – tak wygląda najstarszy datowany dowód na to, że w roku 1021 Wikingowie żyli na terenie Ameryki Północnej.

Fakt, iż to nie Kolumb jako pierwszy Europejczyk przemierzył Atlantyk, jest znany od dawna. Już staronordyckie pieśni, spisane w XIII w. jako „Saga o Eryku Rudym" i „Saga o Grenlandczykach", opiewały ludzi Północy, którzy kilka wieków wcześniej dopłynęli z Islandii i Grenlandii do lądu na zachodzie i nazwali go obiecująco Vínland (Kraina Wina). Jednak potomni długo widzieli w sagach tylko mity – zbyt wiele było w nich baśniowych wątków. Na nowo spojrzano na nie po 1960 r., gdy w Zatoce Meduz (na krańcu Nowej Funlandii, wyspy u brzegu Kanady) odkryto ślady osady Wikingów. Choć znaleziono liczne przedmioty użytkowe, nie było jednoznacznego dowodu, z jakiego okresu ona pochodzi.

Teraz udało się to ustalić. Naukowcy wzięli pod lupę trzy niepozorne kawałki drewna znalezione w Zatoce Meduz. Każdy pochodził z innego drzewa, a obrobiono je metalowym ostrzem – nie mogli więc tego zrobić rdzenni mieszkańcy, którzy używali jedynie kamiennych narzędzi. Szukając odpowiedzi na pytanie, kiedy obrobiono drewno, naukowcy połączyli kilka metod. W 992-993 r. miała miejsce gwałtowna burza słoneczna, która zostawiła wyraźny chemiczny sygnał w słojach drzew rosnących na całym świecie. W tych z Zatoki Meduz naukowcy doliczyli się 29 słojów, które narosły od momentu wystąpienia tej anomalii, z czego można wnosić, iż ścięto je w 1021 r. To najstarszy ślad datujący obecność Wikingów w Ameryce.

Badania w Zatoce Meduz trwają. Obok wykopalisk powstał park archeologiczny z rekonstrukcją osady, a na odbywające się tam imprezy ściągają pasjonaci wikińskiej historii.

©℗ WP / DPA, ICELANDREVIEW.COM

CZAS DLA DUSZ

WŚRÓD NAS

Zmarli na białoruskim pograniczu
nie będą pochowani w jednym grobie
i zabraknie miejsca,
w którym moglibyśmy się
nad nim spotkać wszyscy.
Nie powiemy im:
„byliście ważni dla nas”.
Ani sobie:
„może czas się pogodzić”.

MARCIN ŻYŁA

1 Gdzieś na granicy pinezki znikające z Google Maps nie dają ludziom spać. Wcześniej inni ludzie dali znać, gdzie są, a potem urwał się po nich ślad. Mogli wsiąść do furgonetki i być już w drodze do Niemiec, udało się tak tysiącom. Może wyładowała się bateria. Może za parę godzin, zanim odstawi się ich pod drut żyletkowy i gdy przez chwilę będą w cieple, znów wyślą pinezkę. Już nie z lasu – z komisariatu.

Gdzieś na granicy ludzie myślą o wszystkich błędach, które popełnili w życiu, o dziewczynach, które kochali w sekrecie, rudych górach nad Irbilem, ostatnich dniach z nieżyjącą mamą i swoim najwcześniejszym z nią wspomnieniu, o tym, kogo odwiedzą, gdy wszystko się uda. O domu, już jakimkolwiek.

Gdzieś na granicy lekarz uczy wolontariuszy, jak odróżnić ciało martwe od żywego, nawet jeśli nocą, na mokradłach i podczas pierwszych przymrozków to żywe, lecz nieruchome – bywa tak samo zimne.

2 Ludzie, którzy zmarli na białoruskim pograniczu, nie będą pochowani w jednym grobie i zabraknie miejsca, w którym moglibyśmy się nad nim spotkać wszyscy. Nie powiemy im: „byliście ważni dla nas", ani sobie: „może czas się pogodzić".

Te pierwsze słowa mieszkańcy pogranicza, aktywiści czy organizatorzy zbiórek śpiworów z całej Polski – zastępują pomaganiem. Przecież nie tylko ich łączy przekonanie, że każdy ma prawo do życia, że chronić trzeba wszystkie dzieci, i że żadna kobieta w ciąży nie powinna leżeć w lesie na mokrych liściach. Ale wypowiedzieć te drugie – spojrzeć na siebie, pogodzić się tak, jak godzimy się na cmentarzach z krewnymi, od których stroniliśmy przez lata – nie mamy już jak.

To my, żyjący, unikamy nawzajem swojego wzroku.

3 Gdyby jednak udało się nam spotkać, porozmawialibyśmy może o tym, co się nie zdarzyło i nie zdarzy. O tych, którzy mogliby być sąsiadami, znajomymi rodzicami ze szkoły, albo tymi, których spotykalibyśmy podróżując po Europie. O tych, którzy staliby się częścią rzeczywistości, ze wszystkim dobrem i wszystkim złem, z radościami i nieporozumieniami. Z daleka od geopolityki i szybkich ocen, na ile winna jest Białoruś, na ile Polska, a na ile, może, oni sami.

– Ci, którzy odeszli, ci, dla których białorusko-polska granica stała się ostatnim punktem na ziemi, też są częścią naszej wspólnoty – mówi Natalia Gebert z Domu Otwartego, nieformalnej warszawskiej inicjatywy od 2016 r. pomagającej uchodźcom i migrantom. – A mogliby należeć do niej jeszcze bardziej. Nie byłoby na przykład Elmiego Abdiego i całego dobra, które robi dla wspólnoty somalijskiej w Polsce, i nie tylko dla niej, gdyby kiedyś nasz kraj nie otworzył przed nim drzwi, choć Elmi też przekraczał granicę nielegalnie. Podczas jednej z manifestacji Czeczenka Khedi Alieva błagała rząd, aby uratować ludzi z granicy, jak kiedyś uratowano ją. Nigdy się już nie dowiemy, jaką rolę ci ludzie mogliby pełnić wśród nas, w Europie. To dziura w społecznym krajobrazie, której nie da się załatać.

– I ogromna rozpacz rodzin, które próbują się dowiedzieć czegokolwiek o swoich bliskich – dodaje jeszcze Gebert. – Rodzin, które nie wierzą, że to ich syn lub brat jest tym, w sprawie którego telefonuje do nich polska prokuratura. Ale też rodzin, które potrzebują zamknięcia, przejścia przez żałobę. Jeśli nasz bliski ginie w wypadku samochodowym, szukamy logicznego wyjaśnienia. Chcemy się dowiedzieć, kto zawinił, czemu tragedia dotknęła akurat jego lub ją. Oni tak nie mogą. To jest coś, co tym rodzinom zabrano. Nie chcę wskazywać winnych. Nie mogę jednak zapomnieć, że tych śmierci można było uniknąć.

To boli. To zadra. Tak mówi wielu.

4 Została więc tylko pamięć. Przynajmniej nią można objąć ludzi, którzy zmarli, tak włączyć ich do polskiej wspólnoty. To trudne, gdyż prawie nic o nich nie wiemy. Prokuratura utajniła dane, prowadzone są postępowania.

Ahmed Hamid – jedyny znany z nazwiska – urodził się w marcu 1992 r. w Iraku. Był to trudny czas dla kraju. Saddam Husajn, pokonany rok wcześniej przez zachodnią koalicję podczas pierwszej wojny w Zatoce, zachował władzę i krwawo rozprawiał się z szyitami i Kurdami, którzy usiłowali wzniecić powstania. W czystkach i pogromach mogło zginąć ponad 100 tys. ludzi. Gdy Ahmed się rodził, ONZ zaproponowała Irakowi program „Ropa za żywność". Kiedy umierał – niedaleko wsi Frącki (pow. sejneński), prawdopodobnie z wychłodzenia – przed wieloma w Iraku wciąż nie było dobrych perspektyw.

19 września ogłoszono odnalezienie ciał dwóch innych, nieznanych mężczyzn – w pobliżu wsi Żubry (pow. białostocki) oraz w polu w powiecie sokólskim. Na zawał serca mógł umrzeć w nocy pod Nowym Dworem (pow. sokólski) obywatel Iraku. Inny Irakijczyk, 16-latek, zmarł po stronie białoruskiej, prawdopodobnie po cofnięciu z terytorium Polski. Ze śmigłowca wypatrzono ciało 24-letniego Syryjczyka, które leżało na polu niedaleko Kuźnicy Białostockiej. Martwego dziewiętnastolatka z tego samego kraju wyłowiono z Bugu na Lubelszczyźnie. Zwłoki nieznanego mężczyzny odnaleziono pod wsią Kuśnice (pow. sokólski). Ciało 39-letniej kobiety z Iraku odkryto na samej granicy, po stronie białoruskiej.

Pierwsza dziewiątka znalezionych.

Ludzie, którzy byli tu tylko ostatnią chwilę, zmarli wśród nas.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Na poprzednich stronach: Imigranci na granicy polsko-białoruskiej w okolicy Michałowa, 6 października 2021 r.
MACIEJ ŁUCZNIEWSKI / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Święta niepewność

PIOTR SIKORA

Co robisz dziś wieczorem? Czy da się w ogóle odpowiedzieć na to fundamentalne pytanie? Tyle się przecież może zdarzyć, że wieczoru może dziś dla nas nie być.

In vita mors certa est – NIE WIEM, CZEMU przemknęła mi przez głowę akurat łacińska wersja sentencji głoszącej, że tylko śmierć pewna, powtarzanej zapewne w wielu czasach i kulturach. Zamglone powietrze pulsowało niebieskim światłem. Rower, pomalowany bladozieloną odblaskową farbą, to gasł, to rozbłyskiwał na brzegu chodnika po drugiej stronie ronda. Na krawędzi jezdni, pomiędzy sylwetkami policjantów i ratowników medycznych można było dostrzec ciemny, podłużny kształt. Tuż obok stała stara furgonetka w kolorze mgły.

Może chodziło o to, że gdy wyminął mnie, ocierając się niemal o lewą przednią szybę, mknąc wąskim pasem drogi pomiędzy samochodami tkwiącymi w korku i delikatnie balansując, by nie uderzyć w żadne lusterko, wydawał się – w tej kolorowej kolarskiej kurtce, czapce z daszkiem i ze słuchawkami na uszach – jedynym żywym organizmem wśród metalowych maszyn toczących się wolno po asfalcie.

To w życiu, głosi sentencja, jedno pewne jest – śmierć.

Zawiedzione oczekiwania

Czy to prawda? Czy na pewno nie ma w życiu, poza śmiercią, pewności? Możliwe przecież, że takie zdarzenia są tylko wyjątkami w regularnym systemie przyczyn i skutków, które przez swój tragiczny ciężar zwodzą nas, zniekształcając normalne postrzeganie rzeczywistości. Przecież dzień mam zaplanowany, a nawet cały najbliższy tydzień i jeszcze kilkanaście dni tego miesiąca (i robię tak nie od dzisiaj). Idzie jesień – jak zwykle. Ciekawe, jaka będzie w tym roku? Złota i ciepła? Deszczowa i chłodna? I kiedy zmieni się w zimę?

Ostatnie pytania – przychodzące mi regularnie do głowy co roku od końca sierpnia – to sygnał, że nie całkiem utknąłem w iluzji. W złudzeniu, że wiem, co będzie. Kolistość nocy i dni, powtarzalność pór roku, grafik obowiązków ustalony przez szefa i wiszący na ścianie podział godzin lekcji dzieci, a obok rozkład jazdy busów do miasta... Materiał skrzętnie wykorzystywany przez istotę zamieszkującą w moich niespokojnych myślach, w uczuciu lęku i tuż poniżej mostka, która nie znosi braku pewności, chciałaby się zadomowić w świecie, a właściwie przejąć nad nim kontrolę, poukładać wydarzenia w przegródkach planera, zarządzić tym kawałkiem świata, przez który idzie. (W końcu – to przekonanie jest dla niej tak oczywiste, że nie musi być uświadomione – jestem mądry, mam dobrą wolę, najlepiej będzie, gdy będzie tak, jak postanowiłem).

Ów kawałek mojego umysłu (i ciała) chwyta się każdej powtarzalności, wyszukuje podobieństwa, zaniedbuje różnice, mówi z naciskiem: to samo – to samo było wczoraj, to samo jest dzisiaj i to samo jutro będzie. Skleja zdarzenia w ciągi przyczyn i skutków. Chwytam przyczynę – mam i skutek – przekonuje sam siebie. Życie, poucza, to sztuka nawyku. Odkręć kurek – poleje się woda. Wciśnij przycisk – zaświeci się światło, zegnij palce – dłoń chwyci szklankę, podniesie do ust, język poczuje smak płynu. Ups! Mokra powierzchnia wymknęła się opuszkom palców, krótki lot, brzdęk, rozprysk szkła, rozbryzg soku: zamiast pić, trzeba posprzątać. Moment żalu – natychmiast przykrytego wściekłością (kurwa!) – świat nie jest taki, jakiego oczekiwałem.

Oswajanie trwogi

Ten świat, ukształtowany przez *logos*, pełen regularności, a zatem trochęo przewidywalny (w rozmyślaniach Marka Aureliusza, pisanych przez cesarza-stoika do samego siebie, nie ma chyba takiego fragmentu, ale mógłby tam być), ten logiczny świat będzie cię zaskakiwać, nawet ty, władca imperium, nie masz nad nim kontroli. Czemuż jednak się niepokoisz, czemu martwisz i złościsz? A gdybyś tak raczej ucieszył się niespodziewaną nowością? Otwierając oczy nad ranem otwierał i ten kawałek umysłu, w którym zamknąłeś ciekawość? Świeżym spojrzeniem patrzył na każdy kolejny wieczór, gdy niby te same cienie kładą się tylko raz w taki sam sposób na trawę inną, niż była wczoraj?

Coś podobnego mówię do siebie za każdym razem, gdy inność zdarzeń gwałtownie łamie poręcz nawyku, którą zbudowałem mozolnie i której trzymam się, by sprawnie przechodzić z „było" do „będzie". Powtarzam tę radę z jeszcze większym naciskiem, gdy rozpoznaję, że poręcz ta wciąż jest za krótka – kończy się tam, gdzie trzeba zrobić coś po raz pierwszy. „No, nie bój się, wsiądź na ten rower". „Zrób jajecznicę". „Jedź na kolonie". „Idź na te studia, nie tamte". „Złóż wymówienie, czas zmienić pracę".

Nieważne, czy ktoś inny namawia nas do takiego kroku, do podjęcia ryzyka, czy mówimy tak sami do siebie. Niepewny jest związek między zamachnięciem się dłoni trzymającej jajko a miejscem, gdzie wyląduje rozbite (patelnia? zagłębienie między palnikami kuchenki gazowej?). Niepewne powiązanie między krokiem nogi z peronu na stopień wagonu a życiem, które czeka na nowym miejscu. Niepewność ta wielu przyprawia o drżenie. Czasami (często?) nawet zatrzymuje ruch.

Choć chyba nie jest to sprawka niepewności. Tej doświadczamy wszyscy – także ci, w których wzbudza ona ekscytację; również te, które nudzą się trzymaniem poręczy nawyku, albowiem z niecierpliwością wyczekują, aż życie sprawi im niespodziankę.

A więc to raczej lęk – lęk przed cieniem, który zaległ pomiędzy zamiarem a wykonaniem – to on zatrzymuje ruch. Ruch zaś, odkryli już starożytni, jest warunkiem życia. Boimy się przegrać i przestajemy żyć.

Jak się wobec tego wydostać z pułapki? „Na świecie trudne sprawy zawsze rozpoczynają się od łatwych, a wielkie od małych" – przypomina mędrzec Laozi. A zatem, radzi, i ty „trudne zaczynaj od łatwego, wielkie od małego". Boisz się, jeśli nie masz pewności? Zaryzykuj małą ↦

TOMASZ WIECH / FORUM

↦ porażkę. Nie przegrałeś? Jaki jest świat? Jednak przyszła? Czy naprawdę w swej istocie jest dużo gorszy? A sam ruch, a twoje działanie? Nie jest dobry? Nie rozgrzewa cię od mięśni po myśli?

Albo nawet, jak uczył młody rabbi, Boskie Dziecko, zrób krok jeszcze mniejszy, do miejsca w tobie, w którym leży Niemowlę. Nie ma słów, nie ma zdań, nie ma koncepcji. Nie ma wiedzy, nie ma reguł, nie ma planów. Nie ma zamiarów, nie ma cienia, nie ma porażki. Całe teraz, całe głodne, całe najedzone. Całe krzyczy, całe patrzy, przyjmuje wszystko, co jest. Jest.

Nie wiadomo kiedy, nie wiadomo co

To pomoże? Każde „jest" będzie przecież kiedyś przerwane. Na rondzie we mgle. W szpitalnym łóżku. We własnej pościeli. Z bólem serca. Bez powietrza w płucach. Nieświadomie. Za kilka dni. Za drugą połowę życia. Teraz. Ale na pewno. Jak mawiali Rzymianie: *mors certa, hora incerta.*

Czy jednak tylko godzina śmierci niepewna jest, a ona sama – przyjdzie niechybnie? Ona sama? Czyli co? Jak można myśleć, że pewne jest to, o czym nie mamy pojęcia, czym jest? Co o niej wiem? Co o niej możemy wiedzieć wszyscy? Widzę rowerzystę wymijającego samochody – błyskotliwy balans jego ciała, nogi kręcące pedałami, delikatny ruch głowy, zapewne w rytm słuchanej muzyki. A potem nieruchomy kształt pod pokrowcem. Serce zabiło mi mocniej, żal przytkał na moment gardło, w umysł uderzyła jak kamień myśl o kruchości. I pojechałem dalej, niewiele mądrzejszy, oddzielony od śmierci samochodową szybą, mgłą, ludźmi i brakiem czasu.

Czy dowiedziałem się o niej czegoś więcej, gdy byłem blisko – przez kilka godzin słysząc oddech babci, leżącej pół metra ode mnie, delikatnie poruszający jej klatką piersiową – a chwilę potem: ciszę? I całkiem nieruchome ciało? Wiem więcej o sobie, znam lepiej kształt, który matka mojej matki zajmowała we mnie, mocniej czuję uczucia na brzegach tego pustego teraz miejsca. Życie potoczyło się dalej, sama śmierć się wymknęła.

Buddyści mówili: idź między zwłoki. Obserwuj rozkład. Popatrz: tu były ciała, a teraz tylko kości widać. Być może tak właśnie widać śmierć. Być może jednak – wcale nie. Może to tylko jedna strona – i to wcale nie ta śmiertelna. Tutaj przecież, ↦

Most Dębnicki na Wiśle. Kraków, październik 2010 r.

↦ skąd patrzę, wciąż płynie rzeka życia. Mówię: śmierć, lecz w istocie to tylko zmiana. Jednej formy – jak fali – na inną.

Może jednak jest strona druga. Tunel ze światłem na końcu. Łódź Charona. Brama Walhalli. Trzy stany bardo. Aniołowie niosący duszę. Opowieści są różne. Czy któraś prawdziwa? Tego nie wiem i wiedzieć nie będę. Mogę wierzyć w tę albo w inną. Niepewność znowu zakrada się do umysłu.

Nawet heroiczna pewność wiary nie daje pewności śmierci. Jesteś człowiekiem bez wątpliwości wobec przekazu swojej tradycji? Słowa jej wzięte ze spraw tego świata: „światło", „ciemność", „dom", „koło", „góra", „oddech", „przyjaźń", „przymierze", „król", „matka". Sprawnie opowiadają o tym, co tutaj: „nie będziesz zabijał", „gdy chcesz się modlić, wejdź do swej izdebki, zamknij drzwi i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu", „Ciebie czcimy, Ciebie prosimy o pomoc: prowadź nas drogą prostą", „gdy ktoś mówi lub działa z nieczystym umysłem, cierpienie podąża w ślad za taką osobą niczym koła wozu za kopytami wołu".

O drugiej stronie – czyli o tym, czym naprawdę jest śmierć, święte przekazy mówią niewiele. A jeśli już, to w przypowieściach, obrazach symbolach – nie polerując niejasnego zwierciadła. Więc jeśli nawet wierzysz bez wątpliwości, bez wątpliwości stajesz w końcu przed pełnią objawienia: „ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani serce człowieka nie zdołało pojąć...".

Rzymianie mylili się: *mors incerta sicut omnia*, śmierć – jak wszystko – niepewna jest. Co pozostaje? Mędrzec zauważył, że to, co najbardziej żywe, jest słabe, miękkie i elastyczne. Prorok głosił podobnie – że jak trzcina na wietrze i migotliwie tlący się płomyk. Nazarejczyk wskazuje na dzieci, wróble i kwiaty: beztrosko się bawią, nie kolekcjonują zabezpieczeń, żyją, bo żyją. Więc może jeszcze inaczej: *in vita incerta vita certa est* – w całym niepewnym życiu tylko życie jest pewne.

©℗ PIOTR SIKORA

JOSSE / LEEMAGE / AFP / EAST NEWS

Święci Augustyn, Grzegorz Wielki, Hieronim i Ambroży. Pier Francesco Sacchi, Czterej doktorzy Kościoła, 1516 r., Luwr.

Poradnik życia wiecznego

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK, TEOLOG I PROBOSZCZ:

Albo wierzę, że Chrystus zmartwychwstał, i moja nadzieja na życie wieczne nie jest próżna, albo nadzieja ta jest próżna. Z tym dylematem trzeba żyć.

ARTUR SPORNIAK: Ksiądz ma swoich bliskich świętych?

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK: Imię Grzegorz nosiło wielu świętych i tak się złożyło, że byli wybitnymi teologami: Grzegorze z Nyssy i z Nazjanzu, Grzegorz Wielki, który jest moim patronem. Ze względu na zawodowe zamiłowanie wszyscy oni są mi bliscy. Do tego dochodzi Jan jako patron drugiego imienia oraz Franciszek z trzeciego imienia. I robi się poważnie.

Kim oni są dla Księdza?

Najpierw – wzorem myślenia. Lubię świętych, którzy coś pisali, bo wtedy

mogę z nimi współmyśleć. I dlatego najbliżsi są dla mnie ci święci, których dużo czytałem. Czasem mam wrażenie, że oni są w mojej głowie, że np. myślę Ambrożym albo którymś z Grzegorzów, albo – co nie daj Boże – Augustynem.

Co nie daj Boże?

Bo z Augustynem pasjami się nie zgadzam co do jego platonizmu, który wyłazi u niego wszystkimi porami. Ale z drugiej strony, genialność tej myśli jest nie do odrzucenia. Podczas pracy nad doktoratem musiałem przeczytać całego Augustyna, więc dużo z niego we mnie zostało.

Często, gdy piszę teksty teologiczne, wyobrażam sobie, że siedzę z nimi razem...

...i rozmawiam?

Nawet nie to, że rozmawiam, tylko wyobrażam sobie, co o moim pisaniu mogliby powiedzieć.

Jeden z polskich teologów wydał „Rozmowy ze św. Augustynem".

Nie jestem tak uzdolniony literacko, żeby pisać dialogi. Jeżeli się traktuje na serio ideę świętych obcowania, to myśli się w kategoriach rozszerzonej wspólnoty. W odniesieniu do współczesnej technologii mówimy dzisiaj o „rozszerzonej rzeczywistości", czyli o uzupełnieniu tego, co mamy, o rzeczywistość wirtualną, rozbudowaną o dane w niej informacje. Tymczasem znacznie wcześniejszą ideą rozszerzonej rzeczywistości jest właśnie świętych obcowanie. Oprócz tej rzeczywistości, która jest dla nas dostępna zmysłowo, jest jeszcze rzeczywistość szerszej wspólnoty Kościoła, duchowej – tych, którzy już doszli do celu.

Czy oprócz tego, że święci są wzorami myślenia, są też wsparciem? Czy Ksiądz się do nich modli?

Raczej modlę się „ze" świętymi. Modlitwa „do" jest u mnie silnie skierowana trynitarnie: do Ojca przez Syna w Duchu Świętym. Ale wątek wstawienniczy jest dla mnie ważny. W ogóle kocham litanię do wszystkich świętych. Jako ciekawski młody człowiek kiedyś odkryłem, że nic nie wiem o co najmniej połowie świętych z litanii. To był pierwszy moment, w którym zacząłem zaglądać do życiorysów świętych, np. żeby się dowiedzieć, kim jest Róża z Limy.

Dominikanka, która umówiła się z komarami, żeby jej nie kłuły.

Czasem penitentom zadaję pokutę, żeby tak odmówili litanię, aby uświadomili sobie, kto kim był i kto jak żył. Sądzę, że to dość uciążliwa pokuta.

Do czego ma prowadzić? Są też kłopotliwi święci.

Po pierwsze, jako pokuta ma prowadzić do głębszego nawrócenia. Po drugie, jeżeli już się modlę, to świadomie we wspólnocie ze świętymi. I nie z samymi imionami, tylko konkretnymi osobami.

Czy święci dla Księdza są też wzorami życia?

Mam świadomość, że żywoty – zwłaszcza starsze – są mocno przemieszane z legendami. Poza tym nie da się przyłożyć jednego życiorysu do innego i skopiować zachowań. Dla mnie bycie wzorem życia to jednak sposób myślenia. Jeżeli próbuję myśleć z jednym czy drugim teologiem, to przekłada mi się to na sposób życia. Nigdy nie próbowałem np. naśladować Jana od Krzyża w radykalności pokuty, i nie mam najmniejszego zamiaru tego robić. Natomiast jego pisma radykalnie wpłynęły na moje życie, np. na mój sposób modlitwy. Więc to nie jest naśladowanie w sensie kopiowania, tylko w sensie rabowania, co się da, dla własnego doświadczenia. Przyznaję, że prowadzę gospodarkę rabunkową na polu świętych.

Czyli?

Co mogę, to kradnę do swojego sposobu myślenia.

W internecie można odnaleźć rankingi skuteczności świętych w różnych dziedzinach.

Gdy dochodzimy do kwestii skuteczności, to wchodzimy w przestrzeń magiczną i opuszczamy katolickie nauczanie o wstawiennictwie.

Są np. świadectwa wysłuchania modlitwy do św. Jana Pawła II w sytuacji trudności małżonków w staraniu o dziecko. Ignorować to?

Generalnie sugeruję modlenie się do Boga, a nie do Jana Pawła II. Po drugie, jak prosimy o wstawiennictwo, to nie modlimy się „do", tylko modlimy się „z". Każde włożenie ludzkiego pośrednictwa pomiędzy nas i Boga jest sprzeniewierzeniem się Nowemu Testamentowi, który mówi, że „jeden jest tylko pośrednik między Bogiem i ludźmi – człowiek Chrystus Jezus". Tu nie ma kompromisów. Problem z tą całą skutecznością polega na tym, że chcemy od Boga uzyskać określone rzeczy i sięgamy po jakieś narzędzia. Modlitwa prośby może mieć całkiem zdrowe podejście, gdy modlę się: Boże, jak dasz, to dasz, jak nie, to nie – ufam Ci. Albo może spadać w magię – czyli: jak dasz, to dobrze, jak nie, to foch.

Kościół sam to prowokuje. Do procesu beatyfikacyjnego i kanonizacyjnego jest potrzebny cud za wstawiennictwem danego kandydata.

Dyskusja wokół kryterium cudu w procesach kanonizacyjnych jest coraz bardziej ożywiona, bo coraz trudniej jest je obronić. Problemy rodzą się już przy samym stwierdzaniu cudowności – w jaki sposób to robić? Jestem tu bardzo ostrożny, bo możemy sobie zrobić więcej krzywdy, niż mieć pożytku, gdy mówimy o skuteczności załatwiania czegoś z Panem Bogiem.

Legendarnych świętych, jak np. św. Krzysztofa, Paweł VI usunął z kalendarza liturgicznego. Co jednak z takimi kłopotliwymi błogosławionym jak Karol Wielki, żyjący w VIII wieku? Ówcześni władcy to raczej nie były osoby...

...o krystalicznej moralności katolickiej. Kanonizacje i beatyfikacje wiążą się z określonym kontekstem. Dlatego gdybyśmy chcieli przykładać współczesną miarę, musielibyśmy się gorszyć co drugim świętym żyjącym dawno temu. Ówczesne warunki życia były zupełnie inne i w związku z tym dynamika osądów moralnych też była inna.

Ta beatyfikacja była raczej decyzją polityczną niż czysto religijną.

Trudno pominąć zasługi Karola dla chrześcijaństwa. Czy jego zaangażowanie po stronie wiary było autentyczne? Dzisiaj zadalibyśmy to pytanie. Wtedy ważniejszym znakiem świętości były skutki działalności władcy, a nie jego wewnętrzne przylgnięcie do Chrystusa. Ahistoryczne podejście zwodzi na manowce.

Czy wszystko jednak da się sprowadzić do historyczności ↦

i kontekstowości? Św. Pius V – papież-asceta z XVI wieku – osobiście przewodniczył procesom rzymskiej inkwizycji, które doprowadziły do spalenia kilkudziesięciu protestantów.

Przecież nie był kanonizowany w czasach ekumenizmu. Został ogłoszony świętym w czasach, kiedy uznawaliśmy, że zabijanie protestantów jest słuszne, a protestanci uznawali, że zabijanie katolików jest słuszne. Powinno być nam dzisiaj wstyd za ten kawałek historii, ale ona taka była.

Ale doktryna – a przynajmniej Joseph Ratzinger – uznaje kanonizację za fakt dogmatyczny, czyli nieomylny.

Nie. To jest tzw. teologumen, czyli rzecz, co do której chcielibyśmy mieć dużą dozę pewności, dlatego przeprowadzamy proces, ale nie jest to akt nieomylny.

Pius V jest zatem w niebie?

Mam nadzieję, że tam nikogo nie brakuje – więc także Piusa V.

Przyjrzyjmy się współczesnym świętym. Media ujawniły, że np. na proces beatyfikacyjny i potem kanonizacyjny Josemarii Escrivy – założyciela Opus Dei – duży wpływ miała ta organizacja, m.in. pominięto związki tego hiszpańskiego kapłana z dyktatorem Franco.

Jeśli prześwietlimy życie dowolnego człowieka, zawsze w końcu znajdziemy grzech – on będzie bardziej lub mniej publiczny i bardziej lub mniej gorszący, ale będzie. Czy zatem powinniśmy zrezygnować z dawania za przykład kogokolwiek w jakimkolwiek aspekcie? Nikt z nas nie będzie perfekcyjny – bo też nie o to chodzi. Natomiast w jakimś aspekcie możemy być narzędziami Ducha Świętego. Jeśli się to uda w sposób radykalny, możemy mówić o świętości. To nigdy nie będzie 360 stopni. Proszę zwrócić uwagę, że w przypadku męczenników sam akt męczeństwa wystarcza do świętości, obojętnie, co stało się wcześniej. Kanonizacją nie do zanegowania, bo dokonaną przez samego Jezusa, było stwierdzenie, że dobry łotr idzie do nieba. Ten człowiek był łotrem, ale zrobił jedną rzecz, którą Kościół stawia za wzór: sięgnął po miłosierdzie Jezusa przed momentem śmierci.

LUCYNA NENOW / POLSKA PRESS / EAST NEWS

KS. GRZEGORZ STRZELCZYK jest teologiem specjalizującym się w chrystologii, adiunktem na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Dyrektor Ośrodka Formacji Diakonów Stałych Archidiecezji Katowickiej. Od sierpnia 2019 r. proboszcz w parafii św. Maksymiliana Marii Kolbego w Tychach.

Ogłaszanych świętych jest coraz więcej. Jedni są mi bliżsi, inni dalsi, jeszcze innych świętości nie rozumiem. Czy tak może być?

Tak. Dlatego rozróżniamy m.in. kanonizacje i beatyfikacje. Beatyfikacja potwierdza kult lokalny – mówi: wewnątrz naszego miejscowego doświadczenia ten człowiek jest czytelnym wzorem. Dla kogoś innego może być kompletnie nieczytelny. Kanonizacja jest bardziej powszechna.

Czy Ksiądz ma swoich prywatnych niekanonizowanych świętych?

Mam, ale jest to temat intymny.

Jaką funkcję oni pełnią dla Księdza wiary?

Kościół w żaden sposób nie zawęża możliwości prośby o wstawiennictwo innych ludzi. Jeżeli mam wewnętrzne przekonanie o tym, że ktoś jest już u Pana Boga, to go traktuję w moim osobistym doświadczeniu na równi z innymi świętymi. Nie mogę tylko tego robić publicznie w ramach kultu wspólnoty Kościoła.

Rozumiem, że modli się Ksiądz nie tylko ze świętymi Grzegorzami teologami.

Jedno nazwisko mogę podać: Yves Congar.

A może Ksiądz zdradzić nieco, jak taka modlitwa wygląda?

Czasami jest wołanie: ratunku, nie wiem, jak do danego problemu podejść! Teraz będę o tym myśleć, bądźcie ze mną!

A bliscy zmarli?

Unikam pytań na tym poziomie intymności.

To jechać na te groby czy nie?

Gdybym w Tychach miał dostęp do grobu Congara, tobym tam od czasu do czasu zachodził, jak chodzę na groby bliskich. To miejsce mocno przypomina o ich obecności. Ono nie jest dla mojej wiary konieczne – jestem w stanie sobie bez niego poradzić. Natomiast jesteśmy ciałami, więc ten moment odniesienia się do nadziei zmartwychwstania poprzez miejsce, w którym spoczywają szczątki, nie jest nieistotny.

Przygnębia jednak świadomość, co z nich zostało i co z nas zostanie.

No właśnie nie to zostanie. Nie mamy problemu z obcowaniem ze świętymi. Mamy problem z obcowaniem ze śmiercią, z rozkładającym się ciałem.

Na czym jest oparta wspomniana idea rozszerzonej rzeczywistości?

Na wierze w zmartwychwstanie Chrystusa i w związku z tym na nadziei, że zmartwychwstaniemy i że oni zmartwychwstaną, a już teraz – oczekując zmartwychwstania – żyją w Bogu. Obecność ciała zmarłego uświadamia to, że jest on już w innej rzeczywistości, a to, co zostało, to zwłoki. „Zwłoki" to właściwe słowo – zostaje materia zwleczona z człowieka, a Bóg ją kiedyś przyoblecze z powrotem.

Co przechodzi dalej?

To, co nazywamy duszą – czyli tak naprawdę przechodzi dalej osoba, z którą można mieć nadal relacje, tyle że nie jest ona już obecna cieleśnie.

Jak można to próbować sobie wyobrazić?

Metaforą duszy może być kopia danych w chmurze. Elektroniczne urządzenie ulega nieodwracalnemu zniszczeniu, tak jak ciało po śmierci. Natomiast dane trwają w Bogu, który jest gwarantem ich istnienia w chmurze. Zmartwychwstanie to uruchomienie tych danych na nowym urządzeniu. Jeżeli ktoś przechodził z jednego telefonu na drugi i używał rozwiązań chmurowych, to rozumie tę metaforę. Wówczas odzyskujemy ten sam telefon, mimo że na innym urządzeniu.

Może jednak się oszukujemy? Za bardzo kochałem moich bliskich i nie mogę się pogodzić z ich odejściem, dlatego wyobrażam sobie, że gdzieś tam istnieją nadal.

Nie można za bardzo kochać. Są dwie możliwości: albo nasze krótkie życie kończy się wraz ze śmiercią i wtedy jest skazane na jakiś marazm, albo tak silna niezgoda na jego koniec ma sens. Nikt nam nie udowodni, że nasz akt wiary jest słuszny czy niesłuszny. To jest nie do udowodnienia – tu robimy krok w wierze. Albo ufam świadectwu apostolskiemu i wierzę, że Chrystus zmartwychwstał, i w związku z tym uważam, że moja nadzieja nie jest próżna, albo nadzieja jest próżna. Kropka. Ten dylemat jest nierozwiązywalny – z nim trzeba żyć.

Bliscy zmarli – kanonizowani i niekanonizowani – pomagają w to wierzyć?

Moja wiara w życie wieczne mocno wspiera się na pośrednictwie Jezusa, dopiero konsekwencją tego jest to, że ważni są też inni. Natomiast jestem w stanie sobie wyobrazić, że ktoś wiarę przeżywa w ten sposób, iż świętość świętych, czyli te wszystkie rzeczy, do których oni byli zdolni dzięki swojej wierze, uwiarygadnia ich świadectwo. Dlatego tak niepokojące są wszystkie te niefajne fakty, których z czasem dowiadujemy się o niektórych świętych, bo one podcinają ich wiarygodność. Ale wiara w świętych obcowanie jest wtórna wobec wiary w pośrednictwo Jezusa.

Czy w oczekiwaniu spotkania ze zmarłymi bliskimi jest coś niebezpiecznego?

Psychologicznie tęsknota jest zdrowa. Doświadczenie miłości, której się od kogoś doświadczyło, może dla nas być wzorem, niezależnie od tego, czy ten człowiek będzie ogłoszony świętym. Takie doświadczenie warto trzymać w pamięci i warto na nim budować.

> Nigdy nie próbowałem na przykład naśladować Jana od Krzyża w radykalności pokuty, i nie mam najmniejszego zamiaru tego robić. Natomiast jego pisma radykalnie wpłynęły na moje życie – na mój sposób modlitwy.

Prawda o świętych obcowaniu pojawia się w Składzie Apostolskim – wyznaniu wiary Kościoła rzymskiego z początków III w. Czy jej starożytność nie świadczy o jej wadze?

Mamy tutaj doświadczenie okresu fundacyjnego – czyli tych pierwszych wieków chrześcijaństwa, kiedy jeszcze nie było organów regulacyjnych. Musimy pamiętać, że ten początek naznaczony był świadectwami męczenników. Kilkadziesiąt lat po śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa pojawiają się prześladowania – wśród pierwszych pokoleń chrześcijan ludzie oddają życie za wiarę. Świadomość obcowania świętych dotyczy najpierw ich. Oni przez swoją męczeńską śmierć osiągnęli cel w postaci zjednoczenia z Chrystusem. Jak się łączymy z Chrystusem, to oni już tam są razem z Nim. W tamtym czasie taką wiarę przeżywają ludzie, którzy muszą się liczyć, że będą następni. Moment ówczesnego wzmocnienia wspólnoty przez wiarę w świętych obcowanie dzisiaj jest dla nas nawet trudny do wyobrażenia.

Czy któryś ze świętych Księdza irytuje? Podczas lektury żywotów świętych nic nie wzbudzało Księdza niechęci?

Niechęć do opowiadania o kimś nie jest niechęcią do tej osoby. Jestem Ślązakiem i nie cierpię rozmawiać o uczuciach do... To dla mnie trudne pytanie.

O uczuciach do...?

No właśnie, nie wiem do czego: do życiorysu? Do osoby? Do faktów?

Gdy kiedyś czytałem życiorys piętnastowiecznego patrona Szwajcarii Mikołaja z Flüe, zirytował mnie fakt, że został świętym, mimo iż zostawił żonę z dziesięciorgiem dzieci, bo chciał się poświęcić życiu pustelniczemu.

To myślenie głęboko ahistoryczne. Trzeba pamiętać, że szwajcarscy górale w tamtych czasach w ogóle z żonami żyli rzadko, bo albo szli na pół roku do pracy np. do Mediolanu, albo od wiosny do jesieni pędzili zwierzęta na pastwiska w Alpach. Dzieci płodzili w zimie. Tak czy inaczej żona zostawała na długi czas, ale wcale nie sama, tylko we wspólnocie wioskowej. Więc na owe czasy rozstanie z żoną nie było czymś bulwersującym.

Dlaczego Wszystkich Świętych jest dla Polaków tak ważnym świętem?

Obchodzimy święto zmarłych, nie Wszystkich Świętych. My w Polsce mamy dziady.

Co sprawia, że ważniejsi są dla nas bliscy zmarli od świętych Kościoła?

To pytanie do antropologa kultury. Nie mam teologicznej odpowiedzi. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, w objawieniu nie ma na temat Polski ani słowa.

Tak masowe zjawisko kulturowe nie jest ciekawym miejscem teologicznym?

Jest, ale dopiero po solidnym przebadaniu przez antropologów i socjologów religii polskiej tradycji i odpowiedzeniu na pytanie, jakie czynniki wpłynęły na to, że to się jeszcze trzyma.

Moim zdaniem potrzeba odwiedzania grobów w Polsce narasta – już nie czynimy tego tylko we Wszystkich Świętych, ale też na Wielkanoc czy Boże Narodzenie. Wystarczy spojrzeć, jak są dekorowane w te święta groby.

Być może odwiedzamy groby częściej, ale wystarczy rozglądnąć się po cmentarzach w te dni – nie ma tam zbyt wielu młodych. Ta tradycja może z czasem zgasnąć.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

CZAS DLA DUSZ

Zmarli, a jak bardzo żywi

KS. JACEK PRUSAK SJ

Oni nie mogą udowodnić, że są. Mogą jednak wzywać, umożliwiać, skłaniać, mobilizować, uczyć, żądać, ożywiać, a nawet niepokoić lub zabraniać.

MAREK K. ZALEJSKI

Śmierć jako otwarcie wyłącznie na nicość „to z pewnością najbardziej mniejszościowa koncepcja na świecie" – uważa Magali Molinié, psycholożka i badaczka zajmująca się relacją żywych ze zmarłymi. Idea, jakoby jedynym przeznaczeniem zmarłych było nieistnienie, ma wymiar bardzo lokalny, a z historycznego punktu widzenia jest dość świeża. Na Zachodzie stała się jednak poglądem oficjalnym, kiedy proklamowane przez pozytywizm „zniknięcie zaświatów" zastąpiono „kultem pamięci" o zmarłych. Dzień zaduszny jest w Kościele „dniem protestu" przeciwko takiemu „kultowi zmarłych", który skazuje ich na dwa rodzaje losu, oba zresztą równie marne: los nieistniejących albo los wytworów wyobraźni, zjaw, snów czy halucynacji.

Katechizmowo na pozór „wszystko jest jasne". List do biskupów o niektórych zagadnieniach dotyczących eschatologii przygotowany przez Kongregację Nauki Wiary (1979 r.) stwierdza: „Kościół przyjmuje istnienie i życie po śmierci elementu duchowego, obdarzonego świadomością i wolą w taki sposób, że »ja ludzkie« istnieje nadal, chociaż w tym czasie brakuje dopełnienia jego ciała. Na oznaczenie tego elementu Kościół posługuje się pojęciem »duszy«, którego używa Pismo Święte i Tradycja".

Czy jednak potrafimy być w kontakcie z owym „ludzkim ja" naszych zmarłych, wierząc w ich obcowanie? Bo co, jeśli śmierć bliskiej osoby wcale nie oznacza końca? Co, jeśli zmarli dalej wpływają na nasze życie – choć nie zawsze wiemy, jak na ich obecność i sugestie reagować? Co, jeśli tworzą z nami relacje, stawiają przed nami zadania, pobudzają nas do działania i zwiększają naszą żywotność? Te pytania postawiła sobie, i swoim rozmówcom, belgijska filozofka i antropolożka Vinciane Despret w wydanej właśnie w Polsce książce „Wszystko dla naszych zmarłych. Opowieści tych, co zostają". Pisze: „Sprawdzam, w jaki sposób zmarli wchodzą w życie żywych, tutaj, dzisiaj, i jak skłaniają ich do działania; pracuję nad pomy-

słowością zmarłych i żywych w ich relacjach".

Zanim oddamy jej głos, a w jej głosie głos zmarłym – czytając jej książkę – musimy najpierw skonfrontować się z dziedzictwem własnego dzieciństwa i z tym, jak dzięki teorii umysłu zmarli to dla nas „żywe trupy".

Martwy czy nie

Jak wyjaśnić, że tak wiele osób na świecie deklaruje wiarę w życie wieczne? Kiedy i jak nabieramy tych przekonań? I kiedy, oraz na jakich warunkach, stają się one przejawem dojrzałej wiary, a nie wyłącznie myśleniem życzeniowym?

Badania psychologiczne pokazują, że już na początku szkoły większość dzieci rozumie, iż śmierć kończy funkcje ciała, przydarza się wszystkim żywym istotom i jest nieodwracalna. Nie jest to jednak równoznaczne z rozumieniem życia po śmierci. Psycholog rozwojowy Carl Johnson tak wspomina rozmowę ze swoją trzyletnią córeczką, Eve, kiedy umarła mama jej przyjaciółki: „Wyjaśniłem, że kiedy się umiera, wszystko w ciele przestaje działać. Podkreśliłem, że ciało się psuje i nie da się go naprawić. Wreszcie powiedziałem, że to (martwe, zepsute) ciało jest chowane w ziemi".

Jego córka wróciła do tej rozmowy kilka miesięcy później, podczas wizyty w muzeum sztuki. Była wstrząśnięta obrazem Chrystusa na krzyżu, więc spytała ojca: „Co mu się stało?". Ten przeczytał jej „Małą książeczkę o Jezusie", która opowiada historię Zmartwychwstania. „Kiedy dotarłem – wspomina Carl – do części, w której Jezus umarł, został pochowany, ale potem wrócił do życia, moja córka zapytała: »To jest martwy czy nie?«. Najlepsze, co udało mi się wymyślić, to że był wyjątkową osobą. Poprosiła, żebym przeczytał jej tę historię jeszcze raz. Kiedy doszliśmy do tej samej części, w której Jezus umiera, znów zapytała: »To jest martwy czy nie?«. Powtórzyłem wyjaśnienie o »wyjątkowej osobie«. Nieusatysfakcjonowana stwierdziła: »Dzieci nie rozumieją tej historii«.

Kilka dni później wyciągnęła jedną ze swoich ulubionych książek, »Książkę o ciele«. Na jej końcu martwe ciało składane jest do grobu. Znała książkę na pamięć i zaczęła mi ją opowiadać, strona po stronie. Tak jak w mojej opowieści, znajdowała się tam część dotycząca pochówku zmarłego ciała. Ale moją córkę przyciągnął dodatkowy element. Po pochowaniu martwego ciała pojawiał się obrazek, ukazujący kwiat rosnący na grobie. Moja córka wyjaśniła triumfująco: »Ciało zostało zakopane i wyrósł kwiat«".

Przedszkolakowi wystarczy tyle z życia po śmierci, ale tyle nie wystarczy, żeby obcowanie zmarłych nie było wyłącznie „ożywianiem trupów" w bardziej zaawansowanej wersji.

Umysł, ciało i tożsamość

Wiara w życie po śmierci opiera się na pewnych dokonaniach rozwojowych związanych z kształtowaniem się teorii umysłu, a więc umiejętności czytania w myślach, próbując odgadnąć intencje innych. Chodzi więc o zdolność przewidywania, co pomyślą inni, co przeżywają, jak się zachowają. Teoria umysłu wyróżnia nas jako ludzi i definiuje sposób, w jakim myślimy o sobie i innych. Badania potwierdzają, że fundamentalnym etapem w rozwoju idei życia po śmierci jest pojawienie się w życiu dziecka zdolności do odróżniania mózgu od umysłu. Początkowo bowiem dzieci mówią, że mózg i umysł to jedno i to samo, bowiem jest to dla nich miejsce „gdzie myślimy" – i tak jak myśli i koncepcje uważają za niewidzialne, tak postrzegają również mózg.

Badania wybitnego specjalisty od dziecięcej teorii umysłu Henry'ego Wellmana pokazały, że przedszkolaki, pierwszaki, a nawet wielu trzecioklasistów twierdzi, że mózgu i umysłu potrzebujemy tylko do czysto „umysłowych" działań: myślenia lub przypominania sobie czegoś. I na tym koniec. Ich zdaniem żadnego z nich nie potrzebujemy do patrzenia („potrzebujesz tylko oczu"), słuchania („potrzebujesz tylko uszu") ani ziewania („potrzebujesz tylko ust"). Natomiast dzieci z klas od piątej do dziewiątej wiedzą już, że mózg jest potrzebny do wszystkich wymienionych funkcji, ale ich zdaniem kichać i ziewać można bez umysłu (zajmuje się tym mózg). Podkreślały jednak, że umysł jest potrzebny do myślenia i odczuwania emocji. Co więcej, rozumiały, że nie tylko umysł i mózg mają różne funkcje, ale że umysł czasem może być „włączony", a czasem „wyłączony", chociaż mózg działa bez przerwy. Od trzeciej klasy, a w szczególności w klasie piątej i dziewiątej, dzieci wiedzą już, że fizyczny mózg różni się od niefizycznego umysłu. Zdaniem Wellmana, zrozumienie, że umysł to coś odrębnego od mózgu, pozwala dzieciom wyobrazić sobie życie wieczne. Mogą również zacząć rozumieć Boga, który nie ma ciała, ale ogromny umysł, oraz posługiwać się pojęciem duszy, która przekroczy granice śmierci.

Rebekah Richert i Paul Harris pytali dzieci szkolne, jakie funkcje będą trwać po śmierci: funkcje ciała (takie jak oddychanie), funkcje sensoryczne (takie jak wzrok), funkcje umysłowe (jak pamięć) czy funkcje duchowe (dusza). Dzieci odpowiadały, że dusza ma większe szanse na trwanie niż myśli czy wspomnienia, a także o wiele większe niż oddech, wzrok czy słuch. W powiązanym eksperymencie dzieciom w wieku od pięciu do dwunastu lat pokazano scenariusz chrztu niemowlęcia i zapytano, co to wydarzenie zmieni. Nawet najmłodsze dzieci powiedziały, że chrzest wywoła zmianę niematerialną. Okazało się, że we wszystkich grupach wiekowych dzieci mówiły, że chrzest najbardziej zmienia duszę, nieco zmienia umysł, a na mózg nie ma prawie żadnego wpływu.

Podobnie dorośli pytani o to, co ma największą szansę przekroczyć granice śmierci, najczęściej odpowiadają, że ludzka dusza. Uznajemy to bowiem za bardziej prawdopodobne niż przetrwanie ludzkiego umysłu (które uważamy za dość prawdopodobne) lub ciała (co uważamy za nieprawdopodobne). Wierzymy więc, że „dusza ma coś w sobie", ma „jakiś potencjał", ponieważ w wieku siedmiu, ośmiu lat z reguły rozumiemy już, że mózg, który mieści umysł wraz ze wszystkimi myślami, jest kluczowy dla istoty i tożsamości danej osoby, ale oprócz umysłu, mózgu i ciała o osobowości podmiotowej zaczynamy również myśleć w kategorii duszy (ducha). Teoria umysłu pozwala nam na „ożywianie trupów", a powiązane z nią wysokopoziomowe rozumowanie może następnie umożliwić zadawanie jeszcze głębszych, bardziej złożonych pytań filozoficzno-teologicznych o powiązanie umysłu i ciała, duszy i materii, idei i rzeczywistości.

Zmarli się komunikują

Psycholodzy uważają, że teoria umysłu jest uniwersalna, chociaż wyrosłe z niej dorosłe psychologie potoczne mogą być i są kulturowo zróżnicowane. Teoria ↦

↦ umysłu stanowi bowiem podstawę tego, dlaczego niektórzy z nas stają się wyznawcami różnych religii, a inni ateistami. W naszej codziennej teorii umysłu umysł i świat są oddzielne. W wersji naturalistycznej jest to powiązane z podziałem sposobów bycia na dwie kategorie: istnienia fizycznego z jednej strony i psychicznego z drugiej. Tak więc, albo coś należy do świata materialnego, albo jest subiektywnym wytworem. Nie można bowiem, w tym ujęciu, istnieć na więcej sposobów, niż być i nie być. Zakłada się tutaj, że źródło naszego istnienia jest w nas, a w naszej głowie są nasze myśli, a nie innych.

Jeśli pojawia się tutaj dla pewnych ludzi „nieszczelność", to ma miejsce tylko w jednej dziedzinie: prowadzenia prywatnych rozmów z Bogiem (modlitwa). Ta nowa „religijna teoria umysłu", która bywa określana jako „teoria partycypacyjna" (Tanya Luhrmann), zakłada bowiem, że nie wszystkie „nasze" myśli pochodzą od nas. Zdaniem badaczy, choć wymaga ona dodatkowego treningu poznawczego, nie jest drastycznie różna od teorii podstawowej, którą nabywają dwulatki, „tyle tylko" że wiara w obcowanie zmarłych to coś więcej niż rozmowa ze zmarłym w swojej głowie bez popadania w szaleństwo.

Wspomniana na początku belgijska filozofka i antropolożka Vinciane Despret ową „porowatość umysłu" wykorzystała do badania relacji między żyjącymi a zmarłymi, nie zaczynając jednak od pytań, „czy istnieje życie pozagrobowe?" ani „czy zmarli istnieją naprawdę?". Despret akceptuje, że początkiem jej badań jest tajemnica, której wcale nie trzeba wyjaśniać. Odrzuca bowiem traktowanie zmarłych jako przywidzeń, halucynacji, wytworów wyobraźni, pracy umysłu pogrążonego w żałobie. Tego typu „wyjaśnienia" uważa za brak szacunku zarówno wobec zmarłych, jak wobec żywych.

Jak wyjaśnić, że tak wiele osób na świecie deklaruje wiarę w życie wieczne? Kiedy i jak nabieramy tych przekonań? I kiedy, oraz na jakich warunkach, stają się one przejawem dojrzałej wiary, a nie wyłącznie myśleniem życzeniowym?

Taka zmiana podejścia do zmarłych umożliwia zdaniem Despret doświadczenie śmierci nie jako zerwania, tylko przejścia na inny etap relacji. Jej książka jest opisem tego, jak zmarli przekonują, że istnieją, choć nie mogą działać bezpośrednio, nie mogą udowodnić, że są. Mogą tylko „wzywać, upoważniać, wołać, umożliwiać, skłaniać, zachęcać, wciągać, zapraszać, mobilizować, uczyć, wzbudzać, żądać, ożywiać, a nawet niepokoić lub zabraniać". Nie jest to jednak bezproblemowa komunikacja dla żywych, którzy często mają wątpliwości związane z pojawianiem się zmarłych, traktując ich obecność „jak gdyby". Jak gdyby czegoś chciał; jak gdyby to był on; jak gdyby stał przy mnie itp.

Pozwól im istnieć

Odwołując się do teorii umysłu w podejściu do zmarłych, kusząca, bo i popularna wydaje się więc alternatywa „praktyk zaczarowania" *versus* „praktyk odczarowania". Jak podkreśla Despret, „wierni programowi odczarowania, dokładają wszelkich starań, by określić warunki, w jakich wiara pojawia się lub znika, bowiem w ich oczach to ona jest główną przyczyną powrotu lub wycofania się zmarłych: są tacy, którzy wierzą, i tacy, którzy nie wierzą – a ściślej: zmarli powracają wtedy, gdy ludzie w to wierzą, i znikają, gdy ludzie przestają wierzyć. Wystarczy zatem rzucić światło na przyczyny (społeczne, kulturowe czy psychiczne), które sprawiły, że ludzie zaczęli lub przestali wierzyć" – i to uznać za prawdę o „życiu po śmierci".

Badania Molinié i Despret pokazują jednak, że zwolennicy „odczarowania" nie podają wiernego opisu sposobu, w jaki ludzie przeżywają relacje ze swoimi zmarłymi, wraz ze wszystkimi wątpliwościami, sceptycyzmem, wahaniami, jakie im towarzyszą, gdy próbują sprostać temu doświadczeniu. „Innymi słowy – jak pisze Despret – takie osoby rzadko opisują swoje doświadczenie, posługując się prostą binarnością: »zmarły istnieje naprawdę« lub »jest on tylko wytworem mojej wyobraźni«".

W chrześcijaństwie modlitwa za zmarłych nie jest po prostu religijną formą „kultu pamięci" o tych, co już odeszli, ale wyrazem przekonania, że granica między tym, czym jest bycie żywym i bycie martwym, nie jest granicą naturalną, a przejście z jednego stanu w drugi nie należy do porządku „wszystko albo nic". Śmierć jednak nie jest iluzoryczna. Jeśli nazwiemy to „praktyką zaczarowania" śmierci, nie oznacza to, że wiara w obcowanie zmarłych to nic innego jak myślenie magiczno-życzeniowe. Nieprawdą jest bowiem, że jedyną odpowiedzią na doświadczenie, z jakim konfrontują nas zmarli, miałaby być „praca żałoby". Opiera się ona na idei, że zmarli nie mogą istnieć inaczej niż w pamięci żywych, i nakazuje tym ostatnim zerwanie więzów z nieżyjącymi. W takim ujęciu – jak podkreśla Molinié – „zmarły ma do odegrania tylko jedną rolę – ma dać się zapomnieć". I to najlepiej w miarę szybko, czego z kolei domagają się przynajmniej niektórzy psychiatrzy, a na pewno ich medyczny podręcznik – DSM 5. Traktuje on żałobę jako przerwę w pracy. Jeśli po dwóch tygodniach od śmierci kogoś bliskiego trudno nam wrócić „do życia", to znaczy, że mamy depresję, bo „praca żałoby" nie trwa dłużej i ma uniwersalny wzorzec.

Zmarli przypominają, że żyją, tak więc „ożywiająca trupy" teoria umysłu nie jest jedynym racjonalnym podejściem do śmierci oraz ich losu. Można coś zrobić dla zmarłych i nie będzie to jedynie pocieszanie siebie. Do takich wniosków można dojść nie będąc religijnym czy uduchowionym, tylko otwartym na rzeczywistość.

© KS. JACEK PRUSAK SJ

Korzystałem z książek Vinciane Despret „Wszystko dla naszych zmarłych. Opowieści tych, co zostają" (Karakter 2021) oraz Henry'ego M. Wellmana „Odczytać umysł. Jak od dziecka uczymy się czytać w umysłach innych i rozumieć ludzi?" (Mamania 2021).

RDC POLSKIE RADIO

Autor będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 27 października o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

STANISŁAW BIELSKI / REPORTER

Płyta nagrobna na przedwojennym cmentarzu ewangelickim. Kadyny, 2020 r.

Akcja Zniszcz

MAREK RABIJ

Groby znikały podobnie jak ludzie. Zanim bezkarnie dało się je roznieść w pył pod pretekstem porządków, trzeba było zadbać o to, by stały się anonimowe.

Wilhelm był najbliższym sąsiadem mojego dziadka. Czy na cmentarz wchodziło się przez główną bramę, od której na szczyt wzgórza biegła alejka obsadzona starymi kasztanowcami, czy boczną furtką od strony szkoły – pierwszą mogiłą, którą mijałem biegnąc w stronę grobu dziadka, był właśnie grobowiec Wilhelma. Nie mogę wykluczyć, że na spękanej tablicy nagrobnej wciśniętej między dwie półkolumny widniało w rzeczywistości imię Wilfrieda albo nawet Ulricha, moje niewprawione dziecięce oko w labiryncie szwabachy rozpoznało w każdym razie Wilhelma i tak już zostało.

Zresztą w pobliże grobowca, w którym poza Wilhelmem spoczywało kilka pokoleń jego bliskich, nie wolno było nam, dzieciom, się zbliżać. Dorośli straszyli, że zmurszała komora pod ziemią zawali się pod naszym ciężarem i skończymy z przetrąconym karkiem wśród poniemieckich trucheł. Chłopak z sąsiedniej wsi – tłumaczyli – wpadł tam wiele lat wcześniej i odnaleziono go dopiero po kilku dniach, snującego się pośród pól i oszalałego ze strachu.

Cmentarz na wzgórzu, miejsce pochówku rodziców mojej mamy, dzielił się na dwie części. W polskiej, pod którą zaraz po wojnie zrobiono miejsce, usuwając bezceremonialnie część niemieckich nagrobków, dominowały mogiły z krótkim krzyżem wyrastającym bezpośrednio z pionowego postumentu, w którym osadzano płytę nagrobną. Poniżej znajdował się rodzaj murowanego inspektu, w którym sadziło się kwiaty, a na Wszystkich Świętych wciśnięte w ziemię świeczki rozlewały się w fantastyczne woskowe kleksy. Miejscowym zwyczajem nagrobki malowano na biało i po jakimś czasie popękana farba zaczynała się łuszczyć, odsłaniając cementową okładzinę ceglanej konstrukcji, co nadawało całości jeszcze bardziej niechlujnego wyglądu. ↦

Na gliniastym zboczu, na którym ulokowano cmentarz, groby zapadały się już po kilkunastu latach i z daleka chaos krzywych polskich krzyży, z których każdy strzelał w niebo pod nieco innym kątem, kontrastował z porządkiem dostojnych niemieckich grobowców, mimo że do początku lat 80., kiedy zacząłem świadomie rejestrować otoczenie, dotrwało ich może ze trzydzieści, głównie w formie tablic wmurowanych po wewnętrznej stronie cmentarnego muru.

Lubiłem snuć się wzdłuż niego podczas uroczystości 1 listopada, także dlatego, że murek chronił od wiatru, a na cmentarzu na wzgórzu wiało właściwie zawsze. Skostniała z zimna rodzina tłoczyła się więc przy mogile dziadków usiłując nadać swym cierpieniom pozory religijnego skupienia, podczas gdy ja odbywałem w dziecięcej wyobraźni podróże do czasów współczesnych rezydentom mijanych grobów.

Data urodzin 1830, czyli gdzieś w okolicach powstania listopadowego.

Zgon w roku 1899 – jakiegoś pechowca, a może szczęściarza, któremu nie dane było doczekać kolejnego, burzliwego stulecia.

Wędrując tak wzdłuż muru, od tablicy do tablicy i od daty do daty, wiedziałem, że prędzej czy później dotrę w pobliże grobowca Wilhelma, który zmarł w roku 1928 w wieku 62 lat. Potrafiłem nawet wyobrazić go sobie jako korpulentnego mężczyznę o przekrwionych policzkach i łagodnym spojrzeniu. Możliwe, że pierwowzorem mojego cmentarnego znajomego był jedyny znany mi żyjący Wilhelm, ówczesny biskup gorzowski, który od czasu do czasu wizytował z pompą naszą parafię. Za nic w świecie nie umiałem jednak przypisać do daty zgonu Wilhelma jakiegoś ważnego wydarzenia historycznego, co doszczętnie rujnowało moje dziecięce poczucie sensu i bezpieczeństwa.

Na Dolnym Śląsku lat 80. Niemcy mieli przecież prawo pojawić się wyłącznie w roli postaci historycznych.

Po wojnie

Urodziłem się w mieście, które 29 lat po zakończeniu wojny nadal lizało po niej rany. W centrum zionęła wielohektarowa wyrwa po zrównanej z ziemią starówce, a ze szkolnego boiska widziałem wieżę ciśnień z dachem przedziurawionym przez bombę lub pocisk artyleryjski. Nieco dalej na horyzoncie majaczył szkielet wypalonej kolegiaty. Aleja Wolności, główna ulica, którą maszerowałem codziennie na lekcje, zaledwie pokolenie wcześniej nazywała się Hohenzollernstrasse, z czego rzecz jasna nie zdawałem sobie sprawy, podobnie jak reszta klasy i zapewne całe grono nauczycielskie szkoły, której za patrona nadano partyzanckiego watażkę z Gwardii Ludowej.

> W ruch szły najpierw młoty, którymi z werwą rozbijaliśmy ostatnie niestrzaskane tablice nagrobne, a pokruszone fragmenty układaliśmy w stosiki.

Tragiczną i nie tak odległą przeszłość miasta, które nazywaliśmy teraz swoim, zbiorowym wysiłkiem zepchnęliśmy na dno studni oraz do najgłębszych piwnic, w których od czasu do czasu znajdowało się nadpalone książki czy resztki stłuczonej zastawy stołowej ze swastykami. Widok starych niemieckich nagrobków jawnie sąsiadujących z nowymi blokami z wielkiej płyty i szkołami-tysiąclatkami stanowił więc nieprzyjemny zgrzyt w codzienności ziem, które przecież odzyskaliśmy po – jak nam wtedy mówiono – epizodzie niesprawiedliwej germańskiej dominacji.

Pan Mieczysław, który w podstawówce uczył nas wiedzy o społeczeństwie, ubrany zawsze w brązowy garnitur i z „Trybuną Ludu" pod pachą, dowodził na przykład, że za zniszczenie starego miasta w ostatnich tygodniach wojny odpowiadali Niemcy, którzy niepotrzebnie i zbyt długo stawiali opór Rosjanom. Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, że starówka w rzeczywistości przetrwała oblężenie w stosunkowo dobrym stanie, a rozebrano ją do ostatniej cegły dopiero w latach 50. na budulec dla zrujnowanej Warszawy. Dla lepszego zilustrowania skali uzurpacji, jakiej dopuścili się rzekomo Niemcy, pan Mieczysław zwykł kończyć każdą tyradę na ten temat cytatem z planów rady narodowej, która szacowała, że odbudowa starego miasta potrwa co najmniej 60 lat.

– Ja już tego nie doczekam – wzdychał teatralnie – ale wam, moje drogie chłopaczki i dziewczęta, w jesieni życia być może jeszcze będzie dane przejść się elegancko odrestaurowanymi uliczkami.

Perspektywa emeryckich spacerów była dla nas oczywiście abstrakcją, ale na myśl, że przez wrednych nazistów nie zobaczy odnowionej starówki biedny pan Mieczysław, ogarniała nas dziejowa złość i z werwą ruszaliśmy na szkolne czyny społeczne polegające na usuwaniu z miasta ostatnich teutońskich śladów. Raz były to nadodrzańskie umocnienia, które podczas oblężenia rozłupała radziecka artyleria i teraz służyły za schronienie miejscowemu elementowi, innym razem pozostałości siatki ulic na starówce. Zdarzały się także zlecenia specjalne, które dyrektor naszej podstawówki, człowiek ideologicznie utwardzony niczym rdzeń pocisku, przyjmował zapewne jako wyróżnienie dla kierowanej przez siebie placówki. Wyposażeni w stosowne narzędzia maszerowaliśmy wtedy na teren jednego z poniemieckich cmentarzy, by porządkować go wedle poleceń dyrekcji i zapewne władz miejskich. W ruch szły najpierw młoty, którymi rozbijaliśmy ostatnie niestrzaskane tablice nagrobne, a pokruszone fragmenty układaliśmy w stosiki bądź zakopywaliśmy w dołach wykopanych zapewne przez starsze i silniejsze ekipy. Groby znikały tak samo jak ludzie. Zanim bezkarnie można było roznieść je w pył pod pretekstem porządków, trzeba było zadbać o to, by stały się anonimowe.

Tani budulec

Jedyne, zresztą wątpliwe usprawiedliwienie dla naszego barbarzyństwa stanowił fakt, że cmentarz już wtedy był jednym wielkim rumowiskiem zarośniętym bluszczem. Największe grobowce splądrowano pewnie zaraz po wojnie, kiedy na Ziemie Odzyskane wraz z osadnikami z Kresów waliły także tabuny szabrowników. Mniejsze groby niknęły stopniowo pośród gruzów i śmieci, demolowane przez kolejne pokolenia wandali oraz nastoletnich poszukiwaczy skarbów, którzy naoglądawszy się w telewizji „Pana Samochodzika" czy „Wakacji z duchami" zaczynali wierzyć, że skarb templariuszy może być ukryty w którejś z mogił oznakowanych dziwnym, kanciastym pismem. Dolny Śląsk był dla nas krainą skarbów i tajemnic, choć wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, że w ten bajkowy sposób rezonuje w nas po prostu jego poprzednia, ukryta tożsamość.

Z dzisiejszej perspektywy tamte cmentarne eskapady wydają mi się tak absurdalne, że chwilami zaczynam wątpić we własne wspomnienia. A przecież wyraźnie widzę w nich słoneczne, chyba majowe popołudnie, nauczycieli przycupniętych w cieniu drzew, stukot młotów i radosne głosy dziatwy pogrążonej w akcie patriotycznej rozwałki. Spośród szkolnych znajomych, z którymi mam jeszcze kontakt, większość zapamiętała to podobnie, albo więc faktycznie niszczyliśmy niemieckie groby za wiedzą i zgodą pedagogów, albo wszyscyśmy ulegli sile przedziwnego zbiorowego złudzenia. Bo może po latach w ten sposób odzywa się w nas przeżywany wtedy podświadomie opór przed traktowaniem czyjejś przeszłości jako zagrożenia dla naszej przyszłości?

W odróżnieniu od pokolenia dziadków, którzy 30 lat po śmierci Hitlera nadal trzymali na strychach spakowane walizki – na wypadek gdyby z dnia na dzień ktoś znów kazał im się wynosić z domu – my baliśmy się przecież tego, co nam wmówiono, a nie tego, czego naprawdę doświadczyliśmy. A jednocześnie systematycznie byliśmy świadkami traktowania poniemieckich pozostałości jak śmieci lub w najlepszym razie źródła taniego budulca. Teren pod wielkie rondo w centrum naszego miasta, którym często jeździłem autobusem do zakładu pracy rodziców, wyrównano przecież gruzem z dwóch poniemieckich nekropoli. Bluszczem porastającym groby, które rozwalaliśmy w czynie społecznym, ozdabiano pierwszokomunijne filary mojego kościoła parafialnego.

Rytuał czyszczenia butów

Na drugim rodzinnym cmentarzu, położonym w uroczym kasztanowym zagajniku pośrodku pól, te same relacje polsko-niemieckie przybierały bardziej kameralny kształt. Dziadek leżał w rogu przy samym ogrodzeniu, łypiąc z medalionu w stronę rowu melioracyjnego, który biegł tuż za siatką. Idąc wzdłuż niej w kierunku zdewastowanej kapliczki, w której kiedyś pewnie przechowywano feretrony i inne akcesoria pogrzebowe, mijało się pięć lub sześć bezimiennych grobków schowanych w zaroślach.

Poniemieckie – tłumaczyli mi rodzice, ale w ich słowach słychać było nie tyle strach czy niechęć, ile współczucie dla tych istot pozostawionych przez wypędzone rodziny. Podobny ton czułości zapamiętałem w głosie dziadka, gdy w Wielką Sobotę zaganiał na strych całą rodzinę, by jak co roku pastowała kilkanaście par poniemieckich butów pozostawionych przez poprzednich właścicieli gospodarstwa. Po tym rytualnym zabiegu obuwie wracało zawsze na miejsce, owinięte starannie w stary pergamin. Na każdą próbę przywłaszczenia sobie choćby pary dziadek reagował oburzeniem.

> Czasem nawet udawało nam się z kuzynami zwędzić któryś ze zniczy przeznaczonych dla naszych zmarłych i przemycić na mogiły dawnych mieszkańców.

– To nie nasze – powtarzał.

Niemiecka przeszłość krainy, w której przyszło nam żyć, mogła napawać strachem, gdy przybierała kształt wielkiej historii, ale sprowadzona do indywidualnego doświadczenia stawała się sąsiedzką, niemal intymną relacją. Pochowane przy płocie dzieci najwidoczniej były dla mnie – również dziecka – tematem zbyt trudnym do oswojenia, bym próbował nadać im imiona i tożsamość, podczas każdej wizyty na cmentarzu miałem jednak poczucie, że przychodzę tu także do nich. Czasem nawet udawało nam się z kuzynami zwędzić któryś ze zniczy przeznaczonych dla naszych zmarłych i przemycić do Niemców. Podobne odczucia towarzyszyły pewnie gospodarzom nekropoli, bo pomimo upływu lat nikt nie odważył się tknąć zmurszałych kawałków piaskowca, które pozostały po dziecięcych pomniczkach.

Cmentarz oczywiście zaludniał się kolejnymi lokatorami. Kilka metrów od dziadka spoczęła babcia, która za życia surowo nakazała, by nie chować jej z nim we wspólnym grobie, bo woda z rowu popsuje jej wieczny odpoczynek. Dziesięć lat później dołączył do nich mój ojciec, wcześniej chrzestny. Społeczność polskich nieboszczyków z roku na rok przesuwała się w stronę bezimiennych mogił przy płocie, aż wreszcie jakieś pięć lat temu, sprzątając rodzinne nagrobki przed 1 listopada, z ulgą dostrzegłem, że ktoś wykarczował tam chaszcze, uporządkował teren, a na pozostałościach niemieckich pomników zapalił znicze.

Tablica

Wojna wreszcie dobiegła końca także na cmentarzach. Kilka kilometrów dalej, w opuszczonej wsi, którą jeszcze w latach 80. wysiedlono, robiąc miejsce pod strefę bezpieczeństwa wokół miejscowej huty, kilkoma niemieckimi grobami opiekują się pracownicy miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania – jakby w akcie zadośćuczynienia za ulokowanie w pobliżu miejskiego wysypiska śmieci. Wywłaszczone polskie rodziny dawno przeniosły swoich zmarłych gdzie indziej.

Nie ma już także grobowca Wilhelma. Rozebrano go jakieś 10 lat temu, na szczęście nie z pobudek patriotycznych, ale ze względów bezpieczeństwa. Odwiedzający zmarłych uskarżali się na brak wody na cmentarzu, gmina ściągnęła więc ekipę od wiercenia studni, ale w trakcie prac podłoże zaczęło niebezpiecznie pracować i feralna komora grobowa, którą straszono mnie przez całe dzieciństwo, zapadła się definitywnie. Pozbawione fundamentów ściany grobowca trzeba było usunąć, bo stanowiły zbyt duże zagrożenie choćby dla dzieci, które drogę do szkoły często skracają sobie przez cmentarz.

Również na tablicy nagrobnej mojego ojca litery zdążyły już spłowieć. Podczas ostatniej wizyty w rodzinnym mieście pojechałem więc do znajomego kamieniarza i zamówiłem renowację pomnika. Kiedy podpisywałem zamówienie, zauważyłem, że kamieniarz – mój kolega z dzieciństwa – oficjalnie zastąpił w swoim nazwisku słowiańskie „y" niemieckim umlautem. Wtedy przypomniałem sobie również, że jego ojciec miał na imię Zygfryd.

Znajomy chyba dostrzegł moje zaskoczenie.

– A wiesz, że właśnie odnawiam poniemiecką tablicę? – zagaił, świdrując mnie spojrzeniem. – Potomkowie jakiegoś człowieka pochowanego u nas odnaleźli jego grób i chcą go zrekonstruować. Trochę jest z tym zabawy, bo pomnik jest w fatalnym stanie. Litery prawie nieczytelne, a ja przecież nie znam niemieckiego.

Kilka zatartych słów udało mu się już jednak odczytać. Jednym z nich jest „geliebter". To znaczy ukochany.

©℗ MAREK RABIJ

Mam troje dzieci. Dwoje żywych

JACEK TARAN

Na początku nie miałam siły: ani żeby się umyć, ani żeby się zabić. Potem uczyłam się doceniać to, co zostało. Piękno świata, uśmiechy, chwile ze starzejącymi się rodzicami.

Agata z Krakowa, która ciągle jest mamą Aleksandry, odziedziczyła po córce psa Zorana: – Ola zdała maturę, dostała się na studia. Wyprowadziła się z domu, bardzo za tym tęskniła. Miała zaprzyjaźnioną parę, Julkę i Patryka. Wynajęła pokój na poddaszu, tuż nad nimi. Wracałam z pracy myśląc, że wejdę do pustego domu, a ona tam była razem z Julką i Zoranem. Ucieszyłam się bardzo. „Agata, podobno masz dla nas pyszny obiad" – usłyszałam. Odgrzałam resztkę zupy pomidorowej i nieudane naleśniki meksykańskie. Zjadły, Ola wzięła psa, wyszłam z nimi na zewnątrz. Poszli pod wiatr – zapamiętałam, że jej włosy spięte w koński ogon kołysały się tak samo jak ogon psa. Taki mam jej ostatni obraz – idą, wiatr rozwiewa jej włosy, a psu ogon. Prawda, że to głupie? Rano zadzwoniłam zapytać, jak się spało w nowym miejscu. Nie odbierała telefonu. Pomyślałam, że może już poszła na zajęcia, to był listopad. Napisałam SMS, potem kolejny, kolejny – żadnej odpowiedzi. Zaczęłam się niepokoić. Zadzwoniłam do Julki – powiedziała, że wszystko dobrze, że były wieczorem w kinie, i że jak wróci z pracy, to zaglądnie do Oli. Ale potem ona też przestała odbierać. Wtedy zadzwonił Patryk i powiedział mi tylko, że muszę przyjechać. Przed kamienicą stali Julka z Patrykiem, zapłakani. Patryk trzymał Zorana. Podszedł facet w cywilu i tylko rzucił: „zabezpieczy pani pieska". Pytam go, kim jest, a on, że śledczym i czy wiem, co się stało z córką. Zaraz ktoś do pani zejdzie. Z bramy wyszło dwóch policjantów. Chyba mnie nie widzieli. Zapalili papierosy i zaczęli rozmawiać o tym, jak Ola wygląda. Lubiła spać nago, miała piękne ciało z tatuażami i oni o tym tak ohydnie rozmawiali... A ja już wiedziałam, że tam moja córka leży martwa, a oni mówią o niej.

Magdalena z Gdańska, która ciągle jest mamą Miłosza, codziennie wychodzi przed dom na papierosa i nasłuchuje jego kroków: – Miał 20 lat. Często nocował u kolegów. Był uzależniony, długo walczyliśmy o miejsce w szpitalu dla niego. Zwolniło się dopiero w styczniu, jak od listopada nie żył. Pamiętam, jak wychodził z domu ostatni raz. Śpieszył się, zawsze tak było. W biegu, rozkojarzony, ale uśmiechnięty. Jak go długo nie było, to pisałam: „Co słychać, czy wszystko dobrze". Odpisywał zwykle: „Mama, żyję". Tak mi napisał 26 listopada, potem 27 też, a 28 już nie. Napisałam do jego dziewczyny: „Natalka, nie wiesz co u Miłosza?". Oddzwoniła do mnie o godz. 16.23, zapłakana. Nie chciałam słyszeć, co będzie dalej, rzu-

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

ciłam telefonem w męża i podobno zemdlałam. Miłosz zmarł o siódmej. Na komisariat pojechałam boso. Dowiedzieliśmy się, że było zdarzenie z udziałem służb medycznych. Zsikałam się na podłogę, leżałam tam, a oni mi wciskali jakieś papiery do podpisania. Kazali jechać do drugiego komisariatu po rzeczy Miłosza. Wróciłam do domu, gdzie było już pełno ludzi. Nie chciałam iść spać, bo bałam się, że jak się obudzę, to Miłosza nadal nie będzie.

Katarzyna z Opola, która ciągle jest mamą Emilki, chociaż woli nie wymawiać jej imienia, bo to nadal boli: – Byłam w tym samochodzie razem z nimi. Wracaliśmy z majówki w Puszczy Augustowskiej, gdzie spędziliśmy trzy dni nad jeziorem. Potem krótki przystanek przed Warszawą na spacer po Puszczy Biebrzańskiej. Pogoda była cudowna – zapamiętałam białe obłoczki na tle błękitnego nieba. To było około trzynastej. Potem krótki odpoczynek w Warszawie. W samochodzie Córeńka podała mi swojego jaśka, żebym sobie podłożyła pod głowę. Do tej pory czuję, jak w podzięce pogłaskałam jej rączkę. To był nasz ostatni dotyk, został we mnie bardzo głęboko. O godzinie osiemnastej już nie żyła. Nie żył mój narzeczony. Najechał na nas inny kierowca, chciał nam pokazać, kto jest ważniejszy. Zajechał nam drogę, źle wymierzył, wybił nas z trasy. Obok był ośmiometrowy nasyp, dachowaliśmy. To był koniec. Z minuty na minutę po prostu umarliśmy. Oni w sensie dosłownym.

Co dalej

Żałoba po stracie dziecka. Można próbować ją oswoić, można nawet z nią żyć i planować przyszłość. Nie da się jednak znaleźć odpowiedzi na pytanie – dlaczego?

Agata, tak jak wszyscy rodzice po stracie, stawia to pytanie, ale dręczy ją jeszcze jedno – co dalej? Jak długo będzie szukać sił, by wstać i wyjść z psem?

Kiedy opada pierwsza trauma, zaczyna pisać blog. Potem zakłada grupę na Facebooku. W pierwszym poście pisze: „Wcześniej czy później, przyjdzie dzień, w którym musisz zmierzyć się z tym, co się stało. Zostałeś tutaj, ciągle żyjesz, a świat nie chce stanąć i rozpaczać razem z tobą. Ludzie rozchodzą się do swojego życia, pracują, cieszą się, bawią".

Agata: – Zaczęłam szukać grup, w których mogłabym znaleźć wsparcie. Jest ich sporo, ale te, które znalazłam, opierały się na religijnym punkcie widzenia. Rozmowy sprowadzały się do tłumaczenia sobie – jesteś wybrana jak Matka Boska. Cierpisz jak Maryja pod krzyżem syna. Nie chcę tego oceniać, ale myślę, że takie stawianie sprawy mocno wciska człowieka w żałobę. Albo w drugą stronę – to jest kara za twoje grzechy. Ja chciałam wyjść z żałoby, a nie utopić się w niej. Założyłam grupę, zaprosiłam do niej znajomych bez względu na ich doświadczenia z żałobą. Wspólnie uczymy się, jak sobie radzić z tą traumą.

Pani Hydra

Jeden ze sposobów to oswojenie żałoby i sprawienie, że to nie ona dominuje nad życiem. Ktoś pisze – uczymy się zarządzać żałobą. Agata o swojej mówi Pani Hydra: – Ucinasz jej głowę, wydaje ci się, że już wygrałeś i zaczynasz widzieć słońce, niebo, a tu nic z tego. Jej głowa odrasta, a ona znów rzuca się na ciebie i zanurza w pustce. Nie poddaję się, idzie mi coraz lepiej. Najtrudniej jest na początku. Te pierwsze minuty, dni, w których twoja podświadomość próbuje wyprzeć wiedzę o tym, że twoje dziecko właśnie odeszło i nigdy już nie będziesz tulić go do siebie – bez względu na to, ile miało lat.

Katarzyna: – Tracąc dwie bliskie osoby w takiej okrutnej kumulacji, miałam poczucie, jakby mi ktoś obciął dwie nogi. Nie mogłam znaleźć gruntu. Tkwiłam w całkowitym odrętwieniu. Szukałam małych punktów zaczepienia. Prysznic i dotyk gorącej wody na skórze, który na chwilę wyrywał z odrętwienia. Czasami zapach kawy. To było jedyne, co mogłam odczuwać.

Magdalena, której syn odszedł dzień po Oli, córce Agaty: – Ze mną wtedy było bardzo trudno wytrzymać. Miałam w sobie bardzo dużo złości. Nie byłam taką typową matką zapłakaną nad grobem. Byłam po prostu wściekła, agresywna i autoagresywna. Rzucałam czym popadnie, szklanki latały. Pragnęłam rozwalić sobie głowę o ścianę, żeby stracić świadomość tego, że mój syn nie żyje. Dwa razy karetka mnie zabierała.

Agata: – Jak wróciłam z pogrzebu Oli, to miałam gotowy scenariusz mojej śmierci. Nie zrobiłam tego, bo jestem tchórzem. Dopiero później przyszła decyzja, że przecież muszę żyć. Na początku wyczynem było wstanie z łóżka, umycie się. Miałam taki moment, w którym uświadomiłam sobie, że jak się myję, to czuję zapach mydła. To był impuls, który mi powiedział jak zwierzęciu – mam węch, żyję. Potem musiałam zrobić kolejny krok. Nauczyłam się, że jak ogarnia cię przerażanie, że nie możesz czegoś zrobić, to rozbij to na mniejsze. Nie krok po kroku, bo to może być czasami zbyt trudne, ale kroczek po kroczku.

Obraziłam się na Boga

Pytania, które sobie stawiają, dotyczą też wiary.

Agata: – Żałoba była dla mnie więzieniem. Musiałam znaleźć klucz do wyjścia ↦

↦ na wolność. Spotykałam ludzi, dla których ten ból to droga prowadząca do zbawienia. Mówili mi, że im bardziej cierpisz, tym większa nagroda po śmierci. Ja tak nie chcę. Do śmierci Oli byłam osobą wierzącą. Potem wiara stała mi się kamieniem, który ciągnął mnie w dół. Pamiętam, jak stałam na ulicy z tą informacją, że moje dziecko nie żyje. Boga przy mnie wtedy nie było. Chodziłam wcześniej do kościoła św. Katarzyny w Krakowie, to było takie moje *sacrum*. Teraz nie czuję tam niczego. Zerwanie z wizją Boga, który karze za grzechy, pozwoliło mi się wyrwać z żałoby, patrzeć przed siebie. Może pójdę za to do piekła – nie wiem tego, ale nie chcę mieć piekła tu na ziemi.

Katarzyna: – Wraz ze śmiercią mojej Córeńki runął w gruzy system wartości, w którym byłam wychowywana. Ta wiara, że jeśli jesteś dobry dla drugiego człowieka, to wtedy to dobro wraca do ciebie. Tak starałam się żyć i wychowywać moje dzieci. I nagle w kilka minut nie żyje moje dziecko, nie żyje mój narzeczony, i to w momencie, w którym byliśmy bardzo szczęśliwi. I co? Gdzie jest Pan Bóg miłosierny? To wpłynęło na moją religijność. Jeśli Pan Bóg jest karzący, to niechże karze sprawiedliwie. Mam silnie zakorzenione poczucie sprawiedliwości i wiem, że nic takiego nie wydarzyło się w moim życiu. Wiem, że nic takiego nie wydarzyło się w życiu mojej Córeńki, za co można by ukarać ją śmiercią. Od pogrzebu nie byłam w kościele. Chciałabym wierzyć, że jest jej teraz tak dobrze, że nie jestem w stanie tego ogarnąć umysłem. Niestety, nie mam takiej wiary w sobie. Ona powinna być teraz przy mnie.

Wbijanie

Szukają najmniejszych punktów, o które można się zaczepić. Wbić palce w rzeczywistość, jak wspinacz wynajduje maleńkie występy skalne, by podciągać się wyżej.

Agata: – Pomogła mi decyzja o tym, żeby żyć. Pomogli mi też buddyści. Było takie miejsce, gdzie chodziłam z Olą na wymianki ciuchowe. Ostatni raz byłam tam po pogrzebie, żeby oddać jej rzeczy. Obok było inne miejsce, coś jak biblioteka. Zajrzałam – ciepłe kolory, domowa atmosfera. Nauczyłam się tam medytować, oddychać, znalazłam spokój. Chodziłam na wykłady o karmie – tam nie mówi się o cierpieniu, o stracie. Wszystko dzieje się po coś. To nie był przełom, ale

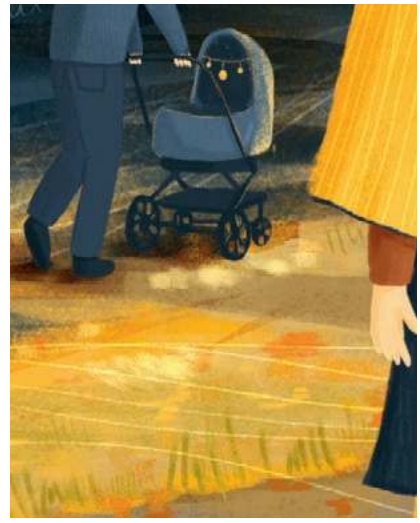

Nie ma odpowiedzi na pytanie – dlaczego ja? Po prostu trzeba przestać je zadawać.

mikrokroki, które prowadziły mnie do spokoju. Nie chodziłam na żadną terapię, nie chcę.

Magdalena: – Wcześniej pracowałam w kwiaciarni. Tydzień przed śmiercią Miłosza robiłam mu wieniec dla jego przyjaciela. A potem u moich koleżanek zamówiłam wieniec dla Miłosza... Nie wrócę już tam, bo wszystko kojarzy mi się z najmroczniejszym momentem żałoby. Jestem wolontariuszką i bardzo dobrze mi z tym. Jeżdżę z dziećmi na kolonie jako wychowawca, pomagam bezdomnym. Zaczynam szukać pracy, ale nie chcę już tak dużo pracować. Wcześniej nie mogłam, bo szpitale psychiatryczne, załamania, nie było sensu. Wolontariatem zajmowałam się już dawniej i wiedziałam, że mogę do tego wrócić, bo tam są ludzie, którzy mnie rozumieją. Jak się poczuję źle, to mogę jechać do domu i nikt nie będzie miał pretensji. To mi pozwoliło wchodzić na nowo w świat ludzi żywych. Szukałam też pomocy na różnych grupach w internecie. Poznałam Agatę, odnalazłam w niej bratnią duszę – jak byłam w rozpaczy, mówiła mi po prostu: „wstawaj". A potem ja jej. To działało.

Katarzyna: – Mam jeszcze dwoje dzieci, moja druga córeczka doznała w wypadku ciężkich obrażeń. Potrzebna była moja mobilizacja, żeby jej pomóc. Nie mogłam dać się zassać tej czerni. To było jak chodzenie w błocie. Funkcjonowałam mechanicznie – krok, krok, uśmiech, zadanie. A w głowie mrok, destrukcja, żal. I ciągle myślenie – co zrobić? Moja intuicja podpowiadała mi, że potrzebuję kontaktu z ludźmi, którzy przeżyli to samo, chociaż terapeuta mi odradzał. Poznałam Agatę. Przeczytałam jej wpisy, które były bardzo celne. Spotkanie z nią dało mi poczucie, że nie jestem tak wyalienowana, jak mi się wydaje.

Wysoka cena

Agata: – Jestem silna i to jest moje przekleństwo. To nie jest żadna zaleta. To najprostsza droga do depresji. Wychowywałam Olę sama. I mówiłam – dam radę. Pomogło mi to w żałobie, ale ta siła może spowodować też to, że tracisz wrażliwość. Stajesz się jak kołek w płocie, który nic nie czuje. Dopiero jak dostaniesz potężnego kopa od życia, to przychodzi opamiętanie. Po tym wszystkim od nowa uczę się, kim jestem. Ciągle muszę też szukać nowych odpowiedzi na pytanie, co lubię, co chcę robić, gdzie jechać. Nie jestem nowym człowiekiem, ale innym zupełnie. Nie mam jeszcze odwagi powiedzieć, że kimś lepszym. Może kiedyś do tego dojrzeję i to powiem, ale cena tej przemiany była zbyt wysoka. Wolałabym być kimś najgorszym na świecie, żeby tylko Ola żyła.

Magda: – Na początku tej siły nie miałam w ogóle. Ani żeby się umyć, ani żeby się zabić. Potem już tylko morze łez, przez które trzeba przepłynąć i uczyć się doceniać to, co zostało. Piękno świata, uśmiechy innych, chwile ze starzejącymi się rodzicami. Ja nie wiem, jak my, rodzice, którzy tracimy dzieci, dajemy radę to przetrwać. Gdyby spotkało mnie to drugi raz, to by mi już tych sił zabrakło. Tak mówię, ale wiem, że jesteśmy silniejsi, niż nam się wydaje. Nie ma odpowiedzi na pytanie – dlaczego ja? Po prostu trzeba przestać je zadawać.

Katarzyna: – Zanim poszłam do terapeuty, chciałam przeczytać całą literaturę poświęconą radzeniu sobie z żałobą. Czytałam „Rozmowy o śmierci i umieraniu" Elisabeth Kübler-Ross. Podzieliła żałobę na pięć etapów. Nie mogłam pogodzić się z tym, że ostatnim etapem ma być akceptacja. Buntowałam się – jak mogłabym zaakceptować śmierć mojego dziecka? Byłam wściekła. Po roku widzę, na czym to polega. To nigdy nie będzie akceptacja tego, że ona nie żyje: akceptujesz to,

że ty musisz żyć dalej bez niej. U mnie to ciągle jeszcze jest życie dla kogoś – dla córki, dla syna. Mam nadzieję, że zacznę w końcu odzyskiwać poczucie, że żyję dla siebie. Z jej śmiercią umarła duża część mnie. Odejście osoby ukochanej, mojego partnera, to jednak jest odejście kogoś osobnego, osoby drugiej. Odejście dziecka to jest śmierć we mnie, to jest moja śmierć. Ja mam takie myśli, że gdziekolwiek by Ona teraz była, w jakichkolwiek zaświatach, to postawiła tam też moją nogę. Muszę spróbować zbudować nową siebie bez mojej malutkiej dziewczynki.

Prezent

Agata w prezencie na dwudzieste pierwsze urodziny Oli kupiła jej nietypowy prezent. Na swoim blogu napisała: „Zostałaś we mnie, we wszystkim, czego mnie nauczyłaś, we wspomnieniach i w mojej miłości do Ciebie. Tak będzie zawsze, ale chcę napisać jeszcze swój ciąg dalszy. Moją własną historię. Z okazji Twoich urodzin Zoran dostał szkolenie. Będzie umiał wszystko to, czego Ty chciałaś go nauczyć. Pójdziemy i pojedziemy wszędzie tam, gdzie Ty chciałaś go zabrać. On jest bardzo zdolny. Ja niestety trochę mniej. Poligon to nie jest coś, do czego starsze panie bardzo się nadają. Ten podarunek dla Ciebie i Zorana, nieoczekiwanie, okazał się motorem do życia dla mnie. Biegi w błocie, kontakt z ludźmi i ich psami, codzienne treningi i coraz bardziej intensywne spacery nie zostawiają dużej przestrzeni na przeżywanie żałoby. Na dodatek »piękniejemy«. Ruch na świeżym powietrzu zawsze poprawiał mój wygląd. Lepszy wygląd poprawiał nastrój i motywację. Chęć życia, która wykiełkowała we mnie, już jakiś czas temu. Tak krok po kroku, codziennie jestem dalej, zostawiając za sobą Panią Hydrę. Zaczynam się zastanawiać, czy ja na pewno Ciebie obdarowałam? Umiem sobie wyobrazić, jak teraz się śmiejesz, ale wiem, że tak właśnie byś chciała i że tak jest dobrze. Mam nadzieję, że dzisiaj już niczego nie muszę Ci życzyć. Bądź szczęśliwa malutka i nie zgub mi się tam po drugiej stronie. Jeżeli jesteś, możesz już wszystko. Popatrz na nas łaskawym okiem i uśmiechnij się, widząc jak przeskakujemy przez coraz wyższe przeszkody”.

©℗ JACEK TARAN

Nie jestem samą żałobą

JACEK TARAN: Matki po stracie wspierają się nawzajem, zakładają grupy, piszą blogi. W tych działaniach nie ma ojców. Dlaczego?

JUSTYNA DYLCZYK, PSYCHOLOŻKA: Różnice w przeżywaniu żałoby kobiet i mężczyzn są bardzo widoczne. Na postrzeganie roli mężczyzn wciąż wpływ mają stereotypowe normy społeczne i kulturowe, które sprawiają, że ojcowie mniej otwarcie wyrażają emocje. Częściej dzielą się swoimi uczuciami tylko z najbliższą osobą i nie chcą rozmawiać z innymi. Pamiętajmy jednak, że zawsze jak próbujemy uogólnić jakiś proces, redukujemy doświadczenie poszczególnego człowieka. A żałoba każdego jest inna i ostatecznie może prowadzić do tego samego – uznania straty i ponownego zainwestowania energii w życie tu i teraz.

Czy może się okazać, że poszukiwanie wsparcia w takich miejscach jak grupy na Facebooku będzie bardziej szkodliwe niż pomocne?

Każda z tych osób musi sama odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dobrze się czuje w takiej społeczności – tu nie ma reguły. Jeśli to wspólne doświadczenie je łączy, daje im ulgę i pomaga, to jest to dobre. Ważne, by nie traktować takich grup jako zastępstwa terapii, tam gdzie jest ona naprawdę konieczna.

Jedna z moich bohaterek nadała swojej żałobie imię: „Pani Hydra”. Inna mówi o „zarządzaniu żałobą”. Czy to może pomóc?

To znów jest proces bardzo indywidualny. Jeśli to daje im poczucie sprawczości, dodaje sił do codziennego radzenia sobie, to nie trzeba się tego bać. Takie nadawanie imion może sprawiać, że wyczuwa się też różnicę pomiędzy sobą a żałobą. Wtedy nie jestem samą żałobą – jestem ja i jest żałoba, a to nie jest tożsame.

Bohaterki mojego tekstu mówią, że wiara w Boga nie dodała im otuchy. Zrywają z Bogiem, mają do niego żal. Często spotykasz się z taką postawą?

Czasami dla osób mocno wierzących perspektywa tego, że śmierć nie jest ostatecznym końcem, może mieć wartość wspierającą. Ale śmierć bliskiej osoby może wywołać kryzys wiary, a posiadane przekonania religijne utrudniać proces żałoby. Złość na Boga, gniew, żal mogą być wtedy adekwatnymi emocjami. Istotna jest akceptacja tych emocji i wspieranie tej osoby. Czujemy presję, żeby proces żałoby czy kryzysu przyspieszyć. Trudno nam być po prostu przy tym niepewnym, niewiadomym, trudnym. Nie chcemy niespodziewanych sposobów radzenia sobie z żałobą, kryzysów wiary, złości, smutku. A to sprawia, że ludzie będący w procesie żałoby zaczynają zmagać się z poczuciem winy. Myślą, że powinni przeżywać inne emocje, prezentować inne postawy.

Żałoba ma swoje etapy. I te etapy są niezbędne, by dojść do głębokiej akceptacji nowej sytuacji. Nim do tego dojdzie, bardzo ważne jest, by po prostu pozwolić sobie przeżywać całą gamę emocji i zachowań.

Jak rozmawiać z osobami w żałobie? Mówić, milczeć? Czego nie mówić?

W takich momentach zwykle ważniejsze bywa bycie niż mówienie. Po prostu bycie tu i teraz i oddanie tego w słowach poprzez dawanie dużej przestrzeni do wyboru. Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Czy chcesz rozmawiać, o czym chcesz rozmawiać? Ktoś może mieć potrzebę niemówienia o żałobie albo potrzebę posłuchania o czymś innym. Trzeba też uważać, żeby te wszystkie tak często wypowiadane slogany typu „nie martw się”, „wszystko będzie dobrze” po prostu się nie pojawiały. One nie są żadnym pocieszeniem. ©℗

KAMIL KRAJEWSKI

JUSTYNA DYLCZYK *jest psycholożką, pracowała z rodzinami po stracie dziecka m.in. w Hospicjum Domowym dla Dzieci w Krakowie oraz w Ośrodku Interwencji Kryzysowej w Wieliczce. Pomaga osobom, które doświadczają nagłych kryzysów.*

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Patriarcha*

Abraham ma status patriarchy w judaizmie, chrześcijaństwie i islamie. Tymczasem za religie Abrahamowe można uznać także inne wyznania – chociażby reprezentowane w Izraelu samarytanizm, bahaizm i religię druzyjską, nie wspominając o pomniejszych konfesjach. Co wiemy o pierwszych siedemdziesięciu pięciu latach życia duchowego ojca ponad połowy ludzkości? Miał ojca Teracha oraz braci Nachora i Harana. Część rodziny wyszła z Ur, dotarła do Charanu i w nim osiadła. Nasz patriarcha, noszący wówczas imię Abram, jeszcze w Ur pojął za żonę Saraj (później: Sarę).

Wiemy zatem niewiele – ale midrasze wypełniają tę lukę. Jeden z nich wyjaśnia, dlaczego to właśnie Abram usłyszał: „Wyjdź z ziemi twojej, i z ojczyzny twojej, i z domu ojca twojego, do ziemi, którą ci wskażę" (Rdz 12, 1; Cylkow), a przy okazji odsłania kulisy tajemniczego wersu: „I umarł Haran w obliczu Teracha, ojca swojego, w kraju rodzinnym swoim, w Ur-Kasdim" (11, 28). Opowiem go własnymi słowami.

Terach zajmował się produkcją bożków, które następnie sprzedawał w swoim sklepie. Kiedyś zostawił Abrama na gospodarstwie. Do sklepu wszedł klient z zamiarem kupienia bożka. Młody ekspedient zapytał go, ile ma lat. „Pięćdziesiąt". „Ma pan 50 lat i chce pan oddawać cześć posążkowi, który mój ojciec zrobił wczoraj?". Zawstydzony klient odszedł jak niepyszny. Następnie przyszła kobieta, by złożyć bożkom ofiarę. Gdy wyszła, Abram wziął drąg i porozbijał wszystkie posążki poza największym, w którego ręce potem wetknął ów drąg. Kiedy ojciec wrócił, Abram wyjaśnił, że bożki pokłóciły się o przyniesioną ofiarę. Terach wyraził powątpiewanie i syn zapytał, dlaczego w takim razie oddaje im cześć. Ojciec zaprowadził Abrama przed oblicze króla Nimroda.

Król nakazał nieposłusznemu poddanemu oddać boską cześć ogniowi. „Ale woda gasi ogień". „Czcijmy więc wodę". „Zatrzymują ją chmury". „Czcijmy zatem chmury". „Ale wiatr je rozwiewa". „Czcijmy wiatr". „Człowiek ostaje się przed wiatrem". Abram wierzył w istnienie jednego prawdziwego Boga. Rozzłoszczony król kazał wrzucić zuchwalca do rozpalonego pieca. Bóg uratował Abrama przed spłonięciem. Był tam też Haran, brat Abrama. Zapytany o przekonania religijne, zwlekał z odpowiedzią, obserwując bacznie, co stanie się z jego bratem. Widząc, że płomienie nie strawiły Abrama, zadeklarował własną wiarę w Boga i wrzucony do pieca, zginął. Oto jak „umarł Haran w obliczu Teracha".

Tak twórca midraszu wyobraził sobie konfrontację Abrahama, monoteisty – z Nimrodem, ucieleśnieniem politeizmu. Jak pięknie byłoby wierzyć, że od czasów patriarchy byliśmy już tylko monoteistami. Cóż, kiedy z kart Biblii jeszcze tu i ówdzie wyziera henoteizm... ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Łaska i miłość*

W słowniku staropolszczyzny miłość oznacza łaskę, miłosierdzie i litość. Natomiast łaska to tyle, co łaskawość, miłość i przychylność. Ze strony Boga spotykamy się z łaską, co oznacza, że Bóg do wszystkiego nastawiony jest niezmiennie życzliwie, gdyż Jego podejście do rzeczywistości jest uwarunkowane jedynie tym, że jest On miłością.

Dlatego gdy człowiek odpycha Bożą łaskę, Bóg nie odpłaca mu pięknym za nadobne, przeciwnie, okazuje człowiekowi miłosierdzie, litość, co nie ma nic wspólnego z upokarzaniem, a nawet przebaczeniem. Bóg po prostu nie umie się gniewać, gdyż nie może przestać kochać. Jego nastawienia do człowieka nic nie potrafi osłabić ani zmienić. „Pan powiedział do Mojżesza: »Przemów do wszystkich Izraelitów: Świętymi bądźcie, bo Ja jestem święty, Pan, Bóg wasz!«. Po wiekach Syn Boży za Ojcem powtórzy: „Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela będziesz nienawidził. A Ja wam mówię: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za waszych prześladowców, abyście byli synami waszego Ojca, który jest w niebie. On sprawia, że słońce wschodzi dla złych i dobrych, i zsyła deszcz dla sprawiedliwych i niesprawiedliwych. (...) Bądźcie więc tak doskonali, jak doskonały jest wasz Ojciec Niebieski".

Ta dobra rada, wzięta poważnie, niejednego oburza – przecież jakaś sprawiedliwość być musi i Bóg, niechby tylko po śmierci, powinien za zło karać, a za dobro wynagradzać. Nie można jednakowo traktować ofiar i oprawców! Nie można nie widzieć różnicy między swoimi i obcymi, przecież bliższa ciału koszula. Ale Bóg przez Mojżesza mówi: „Gdy w waszym kraju osiedli się cudzoziemiec, nie będziecie go uciskać. Będziecie go traktować jak każdego mieszkającego tu Izraelitę i będziecie go miłować jak siebie samego, bo i wy byliście cudzoziemcami w ziemi egipskiej. Ja jestem Panem, waszym Bogiem!". Nie wystarczy literalnie przestrzegać przepisów prawa, a nawet przykazań. Apostoł Jan napisał: „Umiłowani, miłujmy się nawzajem, bo miłość pochodzi od Boga, a każdy, kto miłuje, narodził się z Boga i zna Boga. Kto nie miłuje, nie zna Boga, bo Bóg jest miłością".

Boże podejście do rzeczywistości przymusza do nieustannego kwestionowania zastanej rzeczywistości i wychodzenia poza utarte schematy jej rozumienia. Tymczasem wcale nierzadko przywołuje się Boga po to, by uniemożliwić Mu działanie „według Jego serca" i poniekąd przymusić do zaspokajania doraźnych potrzeb politycznych czy kościelnych. Zanim więc zaczniesz namawiać Boga, by „błogosławił tym, którzy ciebie będą błogosławić, a tym, którzy tobie źle życzą, złorzeczył", zobacz, czy „przez ciebie otrzymają błogosławieństwo wszystkie ludy ziemi". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Synod będzie niedoskonały

Piszę ten „okruch” kilka godzin po spotkaniu z papieżem Franciszkiem podczas wizyty trzeciej grupy biskupów polskich „ad limina apostolorum”. Spotkanie trwało aż 2,5 godziny. Papież – starszy od najstarszego z nas – wydawał się niezmordowany, gotów był słuchać w nieskończoność, i słuchał z uwagą. Odpowiadał z rozmysłem; zawsze szerzej, niż wymagałoby tego pytanie – najwyraźniej po to, by pytający mógł w świetle podpowiedzianych przesłanek dokonać własnego rozeznania. Każdy z ponad dwudziestu biskupów mógł pytać, o co chciał.

Kiedy padło pytanie o rozpoczęty właśnie Synod biskupów (przekształcony właściwie przez papieża w synod Kościoła powszechnego), Franciszek odpowiedział: „Pamiętajcie, ten synod będzie niedoskonały” (powtórzył to kilkakrotnie), ponieważ tak naprawdę nie potrafimy ze sobą rozmawiać, nie umiemy słuchać, nie potrafimy się wzajemnie akceptować, nie umiemy przyjąć naszej różnorodności. Przede wszystkim zaś łatwo przychodzi nam pomylić synodalność z parlamentaryzmem i demokracją, w których zapewne szczerze nawołujemy się do wzajemnego słuchania, ale nie do słuchania i poddania się Duchowi Świętemu. Możemy więc mieć „piękną demokrację” i zero synodu, skoro nie ma między nami Ducha Świętego.

Pewność co do tego, że „synod będzie niedoskonały”, w żaden sposób nie przetrąca Franciszkowej determinacji, by się on odbył. Papież nie jest perfekcjonistą. I z całą pewnością nauczył się tego od... Boga. To w Bogu jest tyle męstwa i pokory, by powoływać do życia (i podtrzymywać w istnieniu) to, co jest dalekie od doskonałości – ode mnie poczynając. Lepszy jest „niedoskonały synod” od kompletnego braku synodalności.

Wiele zadawanych przez nas pytań dotyczyło właściwych sposobów naszego reagowania na wielotwarzowy kryzys Kościoła: liczne apostazje, przerażający prędkością proces sekularyzacji (szczególnie młodzieży), masowa (w niektórych przynajmniej miejscach w Polsce) rezygnacja młodych z religii szkolnej, spadek powołań do kapłaństwa czy do życia zakonnego, niski poziom praktyk etc. Papież odpowiadał nieustannie trzema słowami: bliskość, świadectwo, postawa pasterza. Tyle. Tylko tyle, i aż tyle.

Została też we mnie odpowiedź Franciszka na pytanie o postawę dialogu, a ściślej o jego granice: z kim dialog prowadzić, a z kim nie? Franciszek odpowiedział: dialog można (trzeba) prowadzić z każdym, ale nie z kimś, kto chce cię wykorzystać. Tu potrzebne jest uprzednie rozeznanie co do tego, na ile ktoś chce ze mną rzeczywiście rozmowy, a na ile chce mnie po prostu do czegoś „użyć”. Jezus w Ewangelii jest otwarty na każdego – mówi: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy” (Mt 11, 28); potrafi jednak także wyprosić kogoś, kto nie jest do tego spotkania właściwie dysponowany (zob. Mt 22, 12-13).

I jeszcze jedno: w ciągu tej jednej rozmowy Franciszek dwukrotnie powiedział nam: „Przepraszam!”. ©

Gdy wosk znajduje się daleko od ognia, jest stały i można go trzymać w ręku. Gdy jednak włożysz go do ognia, topi się, zapala i płonie. I staje się światłem i niknie w ogniu.

MAKSYM KAUSOKALYBOS

We śnie nikt nie wie, że śni. Budzi się i dopiero wie, że to był sen. Ale przychodzi wielkie przebudzenie i wtedy poznajemy, co było wielkim snem.

ZHUANGZI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (31 X – 7 XI)

31. niedziela zwykła: 1 Krl 8, 22-23. 27-30; Ps 84; 1 Kor 3, 9b-11. 16-17; J 4, 19-24;
Poniedziałek, uroczystość Wszystkich Świętych: Ap 7, 2-4. 9-14; Ps 24; 1 J 3, 1-3; Mt 5, 1-12a;
Wtorek: Hi 19, 1. 23-27a; Ps 27; 1 Kor 15, 20-24a. 25-28; Łk 23, 44-46. 50. 52-53; 24, 1-6a;
Środa: Rz 13, 8-10; Ps 112; Łk 14, 25-33;
Czwartek: Rz 14, 7-12; Ps 27; Łk 15, 1-10;
Piątek: Rz 15, 14-21; Ps 98; Łk 16, 1-8;
Sobota: Rz 16, 3-9. 16. 22-27; Ps 145; Łk 16, 9-15;
32. niedziela zwykła: 1 Krl 17, 10-16; Ps 146; Hbr 9, 24-28; Mk 12, 38-44.

WALKA O DUSZĘ MAŁYCH MIAST

Ani metropolie, ani wieś. To w małych miastach leży klucz do przejęcia władzy w następnych wyborach. Wie o tym nie tylko Platforma, która ostatnio próbuje zrobić zwrot ku konserwatywnej prowincji.

KAROLINA LEWICKA

Płońsk leży na Mazowszu, sześćdziesiąt kilka kilometrów na północny zachód od Warszawy. Liczy 20 tys. mieszkańców i ma długą historię, sięgającą czasów Bolesława Chrobrego, choć pierwsza wzmianka o Płońsku pojawia się w 1155 r. za sprawą księcia Bolesława Kędzierzawego. W 1400 r. otrzymał prawa miejskie, a za Jana Olbrachta wcielony został do Korony jako miasto królewskie. „Płońsk to nie jest przypadkowe miejsce – mówił goszczący w nim na konwencji Platformy Obywatelskiej Donald Tusk. – W Płońsku musimy zrobić rachunek sumienia i na serio zastanowić się, co zrobić, by każde miejsce w Polsce było dobre dla ludzi".

Tym samym były premier ogłosił jeden z filarów nowej strategii swojej formacji: zwrot ku „miastom burmistrzowskim", gdzie PO chce podrepero-

ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER

Władysław Kosiniak-Kamysz nad jeziorem Ukiel. Czerwiec 2020 r.

wać słupki poparcia. – Na wsi nie mamy czego szukać – mówi mi bliski współpracownik Tuska. – A w metropoliach wszyscy nasi wyborcy są już nasi. Zostaje około 800 miejscowości i w co najmniej jednej czwartej z nich mamy szansę na pozyskanie nowego elektoratu.

W Polsce są 954 miasta, z czego tylko Warszawa liczy więcej niż milion mieszkańców. Trzynaście to miasta powyżej 200 tys. mieszkańców, kolejnych 23 mieści się w przedziale 100-199 tys. Ale lwia część – ponad 660 – ma do 20 tys. i stanowią one aż jedną trzecią wszystkich miast. Dlatego PO chce zerwać z wizerunkiem partii wielkomiejskiej i tym samym nieco elitarnej. Parlamentarzyści mają intensywnie pracować w terenie, a sam Tusk zachęcał do „ubrudzenia sobie rąk robotą", całował chleb, którym witał go burmistrz Andrzej Pietrasik, a potem deklarował, że „naszym przeciwnikiem nie są katolicy, bo sami nimi jesteśmy". Było to czytelne odwołanie się do tradycyjnego, konserwatywnego elektoratu z mniejszych miast.

– Marsz ku Polsce powiatowej to słuszna strategia – ocenia Łukasz Pawłowski, szefujący Ogólnopolskiej Grupie Badawczej. – Bo Polska jest krajem małych miast, miasteczek i wsi. Metropolie są w mniejszości, w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców żyje tylko 12 proc. z nas. Dlatego, jeśli ktoś chce wygrać wybory w Polsce, nie może opierać się jedynie na wielkomiejskim elektoracie.

Poza tym metropolie faktycznie zostały już niemal maksymalnie zmobilizowane, na co wskazuje frekwencja – np. w Gdańsku w 2019 r. do urn poszło ponad 73 proc. mieszkańców, w Warszawie niemal 77 proc., a w samym Wilanowie aż 85.

– Tymczasem w małych miejscowościach – mówi dalej Pawłowski – wciąż głosuje tylko 40-50 proc. uprawnionych. Prowincja nadal może przykryć metropolie czapkami i przesądzić o wyniku każdej elekcji. Kryje się tam potężny rezerwuar głosów, kto go weźmie, ten weźmie władzę. Tusk to doskonale wie, co wyraził wprost podczas rozmowy z internautami: „Mam konkretne zadanie i oczywistą aspirację: żeby wygrać wybory, muszę przekonać Polaków w tych mniejszych miastach".

Aby jednak skutecznie sięgnąć po ten elektorat, trzeba wiedzieć, jaki on jest, czego chce i czym można go do siebie przekonać.

„Złodziejstwo niesamowite"

Cztery lata temu głośnym echem odbił się raport prof. Macieja Gduli o „dobrej zmianie" w Miastku (nazwa miejscowości została przez badaczy zmieniona), które podobnie jak Płońsk leży na Mazowszu. Miejscowość jest zadbana i zagospodarowana, a jej mieszkańcy niespecjalnie zainteresowani polityką. W 2015 r. PiS dostał tam ponad 48 proc. głosów, znacznie więcej niż średnia krajowa (37 proc.). Z badań Gduli wynika, że na ten sukces złożyły się dwie rzeczy. Po pierwsze, głębokie przekonanie o skorumpowanym charakterze poprzednich elit (np. pani Alicja mówiła o PO tak: „Złodziejstwo niesamowite weszło. Tuska już tak nienawidzę, że po prostu masakra"). Po drugie zaś: wzrost aspiracji związany z podnoszeniem się standardu życia. Tymczasem to właśnie PiS obiecywał ludziom, że państwo będzie ważnym partnerem w zaspokajaniu ich potrzeb. I mieszkańcy Miastka to kupili. Przy okazji dodajmy, że PiS wpisał się także doskonale ze swoją ówczesną narracją, wymierzoną w uchodźców i karmiącą małomiasteczkowe lęki. Czy zatem w Miastku coś się przez te cztery lata od badania zmieniło? Wyniki wyborów parlamentarnych z 2019 r. absolutnie na to nie wskazują: na PiS padło tam jeszcze więcej, bo prawie 54 proc. głosów.

– Jeśli to, co ludzie mówili o poprzednim rządzie, że jest do gruntu skorumpowany i oderwany od rzeczywistości, było poglądem przyjętym za słuszny, to teraz ci sami ludzie powinni odczuwać głęboki dyskomfort. Bo przecież widzą te wszystkie, korupcyjno-kumoterskie historie, władzę, która na bezprecedensową skalę obrasta w synekury czy ordynarnie kłamie – mówi mi prof. Gdula, socjolog, a od dwóch lat także poseł, najpierw Wiosny, teraz Nowej Lewicy. – Ale może jest tak, że ta krytyka rządzących przed 2015 rokiem była tylko wygodnym wyjaśnieniem dla głosu oddanego na PiS. A tak naprawdę to sam PiS i jego *emploi* przypadło mieszkańcom Miastka do gustu: silna władza, która w dodatku jest niemiła dla innych, dla elit III RP, dla uchodźców, dla osób LGBT. Może to się faktycznie najbardziej podobało, co oznacza, że poparcie dla PiS-u będzie się nadal utrzymywać na niezmienionym poziomie.

Warto także przyjrzeć się świeżym badaniom prof. Mikołaja Cześnika i Rafała Miśty. Socjologowie postanowili przeanalizować, czy PiS, zapowiadający redystrybucję cenionych społecznie dóbr, takich jak bogactwo, prestiż i władza, wywiązał się z tej obietnicy oraz jak to się przekłada na poparcie. Wyniki są następujące: wyborcy PiS deklarują poprawę w dostępie do zamożności, wpływów i poważania w latach 2015-2019, a to w istotny statystycznie sposób zwiększało szansę głosowania na PiS w 2019 r. Partia obiecała, dotrzymała słowa, a wyborcy chcą jej za to podziękować przy urnie.

– Opozycja realizuje do tej pory jedną jedyną strategię, uderzania w rząd – ocenia Bartłomiej Wróblewski, poseł PiS z Poznania. – Na moim terenie rzadko podejmuje sprawy lokalne, a ja staram się działać w sposób organiczny, utrzymuję ↦

↦ żywy kontakt z wyborcami, rozwijam struktury i organizuję spotkania nawet w najmniejszych miejscowościach.

Tymczasem PO zaniedbała przez ostatnie lata „pracę u podstaw". – Często jako parlamentarzyści otrzymujemy zaproszenia do małych, dwudziestotysięcznych ośrodków – opowiada posłanka Nowej Lewicy. – Posłowie PiS-u tam są, ale posłów Platformy nie ma, bo im się nie chce. Nawet jak pojechali do Płońska, to widzieli tylko tę salę, w której była konwencja, samego miasteczka już nie. Także mieszkańcami, którzy tam przyszli, by uścisnąć politykom PO ręce, nikt się nie zainteresował.

Akurat kiedy trwało przemówienie Tuska w Płońsku, lider ludowców, Władysław Kosiniak-Kamysz był w Płotach (czterotysięczne miasto w Zachodniopomorskiem), gdzie zachwalał PSL jako „partię ogólnonarodową", dla wszystkich, a nie dla wybranych. W tym samym czasie współpracownicy Szymona Hołowni rozsyłali do sympatyków Polski 2050 zwyczajowy newsletter, tym razem była to relacja z trasy letniej kampanii „Poznajmy się". „Wczoraj odwiedziliśmy Goleniów i Mysłowice – pisali. – W weekend na naszej trasie jeszcze Gostyń, Rawicz, Białogard, Skierniewice, Szczecin, Kołobrzeg, Gryfice, Kędzierzyn-Koźle".

Z tej wyliczanki jasno wynika, że Tusk będzie miał mocnych rywali w walce o duszę Polski lokalnej. Na wiec PO w Płońsku Hołownia odpowiedział trzy tygodnie później samorządowym zjazdem w Pabianicach (Łódzkie, 65 tys. mieszkańców). Powiedział w zasadzie to samo, co Donald Tusk w Płońsku: że trzeba bronić Polski europejskiej i samorządowej, że to wspólny mianownik naszego podzielonego społeczeństwa, bo większość z nas ceni obecność w Unii i ufa władzy lokalnej.

Przywrócić państwo w powiatach

– Nie chcemy powrotu do PRL, gdzie każda decyzja o malowaniu płotu będzie musiała mieć pieczątkę warszawskiej egzekutywy – mówił Hołownia, zapowiadając program samorządowy dla małych miast, miasteczek i wsi. Może mieć szansę, gdyż z badań dla OKO.press (respondentom kazano sobie wyobrazić debaty telewizyjne Jarosława Kaczyńskiego z liderami PO i Polski 2050) dość jasno wynika, że lepszą pozycję startową do marszu ku Polsce lokalnej ma Szymon Hołownia, bo lepiej od Tuska jest odbierany – zarówno na wsi, jak i w średnich oraz dużych miastach. A w miasteczkach do 20 tys. mieszkańców pokonuje nawet samego prezesa PiS-u. Na spotkaniach z Hołownią zawsze jest sporo osób, które chcą zobaczyć „celebrytę z telewizji", podoba im się też otwarty katolicyzm, prezentowany przez lidera Polski 2050, zresztą autora wielu ewangelizujących książek. „Może być łatwiejszy do akceptacji przez tzw. ludzi prostych, a złośliwe skojarzenia jego wystąpień z kazaniami tu akurat mogą sprzyjać jego popularności" – podsumowywał wyniki sondażu Piotr Pacewicz.

Hołownia może też wydawać się bardziej autentyczny niż PO, która raz skręca w lewo, by za chwilę znów rzucić konserwatywną kotwicę. Obie formacje łączy jedno: chcą oprzeć swoją strategię na tkance samorządowej – najpierw dotrzeć do burmistrzów, wójtów, sołtysów, a potem, poprzez nich, do mieszkańców. Tusk mówił o tym w Płońsku, przywołując pytanie, jakie zadał mu na Campusie Polska Przyszłości pan Paweł z Kościana: „Jak urządzić małe miejscowości, by ludzie chcieli tam pracować i żyć?". Tuż po Tusku głos zabrała Emilia Bury, pierwsza burmistrzyni w historii Białogardu (23 tys. mieszkańców). Mówiła, że miasto straci na pakiecie podatkowym Polskiego Ładu aż 6 mln zł rocznie, a „władza coraz bardziej zaciska pętlę na naszej szyi". W Białogardzie Platforma wygrała ostatnie wybory z PiS-em czterema punktami procentowymi, w powiecie był remis. – Przed nami mrówcza praca – mówi mi Emilia Bury. – Trzeba tłumaczyć ludziom, jak ta władza ewidentnie działa na szkodę lokalnych wspólnot.

Samorządności jest też poświęcony cały najnowszy numer „Instytutu Idei", pisma wydawanego przez PO. Po lekturze widzimy kierunek, w jakim ta praca u małomiasteczkowych podstaw ma zmierzać: to rozwiązywanie konkretnych problemów ludzi, a nie rozniecanie ideologicznych wojen. Opowiada o tym choćby Agata Wojda, wiceprezydentka Kielc: „Spory o charakterze polityczno-ideologicznym toczą się na sesjach godzinami (...) emocjonują się tym wyłącznie radni (...) ludzie łapią się za głowy i mówią: na Boga, czym wy się zajmujecie?!".

Burmistrzyni Białogardu daje mi konkretny przykład: w mieście jest tylko jeden publiczny żłobek. – Właśnie kończymy budowę drugiego, inwestycja zostanie oddana do użytku w listopadzie, od grudnia możemy uruchamiać placówkę. Mamy już 90 zgłoszeń na 96 dostępnych miejsc – mówi. To pokazuje, jak bardzo ludzie są głodni usług publicznych. Według Łukasza Pawłowskiego z OGB Polska lokalna czuje się wręcz opuszczona przez państwo: – W powiecie nie ma służby zdrowia, edukacji, transportu. Prowincja czuje się poszkodowana, w kontrze do dużych miast, które wszystkie te usługi starają się swoim mieszkańcom dostarczać.

PiS nie zapełnił tej luki, bo zamiast pracochłonnych zmian systemowych, wolał przekazać ludziom pieniądze. Nadal nie ma np. połączeń autobusowych prowincjonalnego miasteczka z najbliższym dużym ośrodkiem, ale za 500 plus ludzie mogli sobie kupić stary samochód, by do niego dojechać. Dr Łukasz Pawłowski z „Kultury Liberalnej" nazwał to zjawisko „drugą falą prywatyzacji": za transfery socjalne ludzie nabywają na rynku komercyjnym usługi, które powinny być publiczne, np. prywatne wizyty u lekarza. To samo mówi mi Bartłomiej Sienkiewicz, pracujący nad strategią PO: – Kluczowe jest dla ludzi to, czy państwo dowozi dla nich jakieś usługi, czy nie dowozi.

Sienkiewicz właściwie już to opisał w wydanej w 2018 r. książce „Państwo teoretyczne". Dowodził w niej, że PiS wcale nie poprawia skuteczności systemu, tylko zastępuje państwo partią. A tak przejęte państwo nie ma na celu skutecznego wdrażania polityk adresowanych do wszystkich obywateli, tylko umacnianie władzy Kaczyńskiego. „Należy przywrócić państwo w powiatach" – pisze Sienkiewicz, rozliczając się przy okazji z całą epoką III RP, choćby „traumą zaniku państwa", jaka wystąpiła u mieszkańców Polski lokalnej po likwidacji transportu zbiorowego, znikaniu urzędów pocztowych, posterunków policji, sądów. Ot, znów ludzie poczuli, że są „daleko od szosy". – Nie będziemy koncentrować się na tym, gdzie jest Kaczyński, bo nie możemy oprzeć całej narracji na osi PiS–anty-PiS, nawet jeśli to jest istota tego sporu politycznego – zdradza Sienkiewicz. – Ludzie oczekują od nas recept rozwojowych. One nie będą powszechne i nie każdy ośrodek ma szansę na rozwój. Ale bardzo wiele mniejszych miejscowości ma w sobie duży potencjał zmiany, w której nie

przeszkadza ociężała machina biurokratyczna i długi ciąg decyzyjny, tak charakterystyczny dla metropolii. Na przykład Chrzanów, leżący między Katowicami i Krakowem, zaczyna właśnie rozumieć, jaką szansą jest dla niego jego położenie. My musimy pracować w tych miejscowościach i z tymi miejscowościami.

Trzeba być na miejscu

Za Platformą ciągnie się jednak spadek po modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnym, który zakładał, że to impulsy rozwojowe z aglomeracji będą rozchodziły się, niczym kręgi na wodzie, do słabiej rozwiniętych obszarów. Stąd należało najpierw polaryzować, czyli pobudzać gospodarczy wzrost przede wszystkim wielkich miast, nawet za cenę chwilowych nierówności, a następnie czekać na dyfuzję, czyli rozproszenie owoców wzrostu. Model, ujęty w słynnym raporcie „Polska 2030" pod kierownictwem Michała Boniego, nie do końca się sprawdził także dlatego, że strategii nigdy nie wdrożono całościowo, a raport trafił do jakiejś głębokiej szuflady. Na dodatek PiS dość skutecznie dorobił doń czarną legendę Platformy jako partii dyskryminującej prowincję i obszary niezurbanizowane. To nadal dość silnie utrwalony pogląd w mniejszych miejscowościach. Pytam zatem prof. Andrzeja Rycharda z PAN i Fundacji Batorego o to, czy PO ma szansę na zbudowanie swojego nowego wizerunku: partii małych miejscowości. – Na razie może to budzić dysonans, jak w 1993 r., kiedy Kongres Liberalno-Demokratyczny reklamował się w kampanii wyborczej hasłem „Milion nowych miejsc pracy", przy czym KLD jako żywo nie kojarzył się obywatelom z ugrupowaniem, które pochyla się nad bezrobotnymi – twierdzi prof. Rychard.

Z drugiej strony socjolog widzi szanse dla Platformy, oparte głównie na skojarzeniu z Unią: powiatowa Polska korzysta na naszym członkostwie w UE, a każdy mieszkaniec widzi tę korzyść, kiedy tylko wyjrzy przez własne okno. Tu nowa droga, tam boisko sportowe. A Platforma jawi się jako ugrupowanie silnie europejskie, w przeciwieństwie do PiS-u, którego ostatnie działania wstrzymują pieniądze dla Polski z Funduszu Odbudowy. – Ale całkiem tych wektorów bym nie odwracał, bo uważam, że jest jeszcze potencjał uśpiony w dużych miastach, choćby młodzież, którą warto zmobilizować – twierdzi prof. Rychard.

Rywale PO nie zasypiają gruszek w popiele, bo kto chce urosnąć na prowincji, musi być tam już teraz. **O przemowie Tuska ludzie w małych i średnich miastach szybko zapomną.**

Polityczna konkurencja ma jednak wątpliwości, czy ta wyprawa w teren zakończy się sukcesem. – PO rozpadła się na poziomie powiatów – uważa Dariusz Klimczak, wiceprezes PSL-u. – Odpuścili budowę struktur, często też lokalni liderzy nie mieszkają tam, gdzie powinni zdobywać głosy. A nie da się kierować partią w powiecie z Warszawy.

Według posła Platforma będzie się musiała zmierzyć z wizerunkową niespójnością: – Obraz PO jest na prowincji, w wyniku rządowej propagandy, lewicowy. Dość skutecznie dorobiono im gombrowiczowską gębę LGBT, która ma się kojarzyć jak najgorzej.

Widać też, że PiS będzie się starał podbijać ten bębenek. Kiedy na początku października w Przysusze Jarosław Kaczyński prezentował Polski Ład dla wsi, nie omieszkał wspomnieć o „ataku różnych ideologicznych szaleństw, które chcą rozbić naturalny porządek rzeczy". PiS z jednej strony obiecuje bronić „polskiej tradycji", z drugiej zaś zapowiada dowartościowanie małych ośrodków – ma być i cyfryzacja, i kanalizacja.

Zdaniem Joanny Muchy z Polski 2050 kluczowe dla pozyskania głosów mieszkańców Polski powiatowej jest właśnie rozpoznanie tego, co faktycznie jest problemem małych miejscowości: – Nie wiem, czy Platforma to wie. My jesteśmy na miejscu w Polsce lokalnej, tam pracują nasi ludzie, jesteśmy przesiąknięci duchem małych miast. Wiemy, że Polacy w tych społecznościach niejednokrotnie spotykają się z lokalnym nepotyzmem, czasem złożonym z samorządu, komendanta policji i miejscowego biznesmena. Albo inaczej: jest jeden mocny człowiek, który trzęsie całą okolicą. To kwestia poczucia bezpieczeństwa, np. młodych ludzi, dla których nie ma żadnej oferty, ani pracy, ani edukacji, ani sposobu na spędzenie czasu wolnego. Istnieje także problem ze spółdzielniami mieszkaniowymi, które często są takimi udzielnymi księstwami, gdzie szerzą się patologie.

Podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego w 2019 r. mieszkańcy wsi i małych miejscowości najczęściej głosowali na PiS, a tych średnich i dużych – na Koalicję Europejską. Pół roku później, podczas elekcji parlamentarnej, PiS wygrało rywalizację z KO na wsi, w miastach do 50 tys. oraz – choć akurat niewielką przewagą – w miastach do 200 tys. mieszkańców. Podobnie było w pierwszej turze wyborów prezydenckich rok temu. Andrzej Duda wygrał z Rafałem Trzaskowskim procentowo na wsi (55:20), w małych (38:33) i średnich miejscowościach (39:34), Rafał Trzaskowski w miastach dużych (37:32) i metropoliach (47:24). – To, co robi teraz Platforma, to dość ryzykowny eksperyment – uważa poseł Gdula. – Pytanie, czy ta próba połączenia wody z ogniem nie będzie postrzegana jako gra, socjotechnika. I czy nie zniechęci części progresywnego elektoratu, który przecież jest nie tylko przy Nowej Lewicy, ale również przy PO.

Na takie *dictum* politycy PO odpowiadają, że lewa strona sceny politycznej jest w dramatycznym kryzysie, więc Tusk może sobie pozwolić na zwrot ku konserwatywnej prowincji, bez ryzyka straty w dużych miastach. Najważniejsze jest jednak co innego: od konwencji w Płońsku minął ponad miesiąc, a PO w tym czasie nie wykonała żadnego ruchu w kierunku wytyczonym przez byłego premiera, bo na razie wciąż jest zajęta wewnętrznymi wyborami, które zwieńczy 23 października ogłoszenie Tuska przewodniczącym partii (nie ma żadnego konkurenta). Tym samym traci cenny czas, gdyż od samego mieszania herbata nie staje się słodsza. Tymczasem rywale nie zasypiają gruszek w popiele, bo kto chce urosnąć na prowincji, musi tam już teraz być. O przemowie Tuska ludzie w małych i średnich miastach szybko zapomną. O ile w ogóle ją słyszeli.

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką Radia TOK FM.

MAREK SZYMANIAK

Bielawa, luty 2020 r.

Zardzewiała strona Polski

MAREK SZYMANIAK, AUTOR KSIĄŻKI „ZAPAŚĆ. REPORTAŻE Z MNIEJSZYCH MIAST": KTO RAZ STĄD WYJEDZIE, BARDZO RZADKO WRACA.

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ: Ciągle słyszymy, że Polska się rozwija, a PKB rośnie. Tymczasem Pan opisuje zapaść mniejszych miejscowości. Skąd ten kontrast?

MAREK SZYMANIAK: Poziom życia w Warszawie, Trójmieście, Krakowie czy Poznaniu jest dziś pewnie porównywalny do miast na Zachodzie. W mniejszych, które opisuję, wygląda to zupełnie inaczej. Gdy zestawimy Prudnik z położonym niedaleko Wrocławiem, okaże się, że jakość życia w nich dzieli przepaść. Widać to zresztą w statystykach – Warszawa z okolicznymi gminami osiągnęła 160 proc. średniej unijnego bogactwa, a już pozostała część Mazowsza ma wskaźnik 63 proc. Są całe regiony, jak lubelskie czy warmińsko-mazurskie, które ledwie dobiły do 50 proc. średniej UE. Przed dojściem PiS do władzy narracja była taka, że za nami złote ćwierćwiecze w historii Polski, ale uwaga skierowana była na wielkie miasta. Rozwijały się one plus okolice w zasięgu 50 kilometrów, a reszta zostawała w tyle, popadając w marazm. Ludzie szukający szans na godne życie zaczęli więc wyjeżdżać, co jest logiczne. Przyspieszało to jednak zapaść mniejszych miast, więc postanowiłem pokazać drugą, zardzewiałą stronę tej złotej monety.

Metropolie miały być lokomotywą, która pociągnie resztę. Zamiast tego zasysały coraz więcej ludzi, którzy zwykle nie wracali już w rodzinne strony.

Dla wielu osób taki wyjazd to niemal konieczny warunek, by przetrwać i mieć lepsze życie. W moim liceum w Krasnymstawie 95 proc. klasy wiedziało, że nic nie trzyma ich na miejscu. Co prawda zwykle lubi się swoje miasto, ma się tam rodzinę, znajomych, więc chęć powrotu powinna być naturalna. A jednak większość osób się na to nie decyduje, choć ich los w dużym mieście wcale nie jest usłany różami. Ich rodzice mają niskie zarobki, więc muszą w trakcie studiów pracować. I będzie to raczej praca w kawiarni lub *call center*, a nie zgodna z kierunkiem, który studiują. Dodatkowo nie wynajmą pokoju w centrum, tylko na obrzeżach, będą zatem tracić czas na dojazdy. Ktoś, kto urodził się w metropolii, ma często lepszy start, bo czas po zajęciach może wykorzystać na odpoczynek, naukę, darmowy staż, zdobycie kolejnych kontaktów, nie mówiąc o tych znajomościach, które już posiada.

W swojej książce podzielił Pan problemy mniejszych miast na różne kategorie i opisuje je na konkretnych przykładach, ale tak naprawdę większość z nich występuje wszędzie.

Książkę zaczynam od rozdziału o wyludnieniu mniejszych miast, a każdy kolejny to opis problemu, który się do tych wyjazdów przyczynia. Najważniejszym jest brak godnej, stabilnej pracy w okolicy. To fundament, bez stałej pensji wypłacanej regularnie, a nie w zależności od humoru szefa, bez możliwości pójścia na urlop lub L4 nie da się planować przyszłości. Wszędzie, również w metropoliach, ale w nich jednak łatwiej jest zmienić miejsce pracy. To pierwsza z kostek domina, która wpływa na kolejne. Mając umowę śmieciową, nie będziemy planować zakładania rodziny, bo nie będziemy mieć szansy na mieszkanie. O wielu rze-

czach przestajemy myśleć, ponieważ nie spełniliśmy pierwszego warunku.

Ktoś może powiedzieć, że to wina tych osób, bo trzeba było jeszcze więcej się uczyć, wcześniej wstawać, więcej pracować...

Opisuję historię dziewczyny z Tomaszowa Lubelskiego. Wyjechała do Lublina, zdobyła wykształcenie, włożyła w to sporo wysiłku, czyli zrobiła wszystko, by żyło jej się dobrze. Wróciła do swojego miasta i okazało się, że co z tego, iż ma dyplom, skoro pracę dostanie tylko w urzędzie i nawet gdy połączy swoje zarobki z pensją partnera, wciąż nie są w stanie dostać kredytu na mieszkanie. I tkwi w zawieszeniu, bo chciałaby urodzić dzieci, wejść w dorosłość. A tę rozumie się właśnie jako zamieszkanie na swoim, nawet jeśli ma być wynajęte. Na razie musi zostać u rodziców, a przecież nie wychowa dziecka u nich w pokoju. Innym przykładem jest dziewczyna z Hajnówki. Też wróciła tam po studiach i nie mogła znaleźć pracy zgodnej z wykształceniem. Nie chodzi o to, by pracowała w budce z kebabem, bo ona ma już inne aspiracje, które wiążą się zarówno z zakresem pracy, jak i z pensją. W przypływie frustracji wysłała swoje CV do firm w większym mieście i nagle okazało się, że jest dla niej praca. Wyjechała więc i kiedy rozmawiałem z nią, widać było, że jest cały czas zaskoczona, iż pracodawca opłacił jej studia podyplomowe, by nauczyła się nowych rzeczy, oraz obiecał, że jak je skończy, to dostanie podwyżkę. Ktoś zobaczył w niej potencjał i chciał zainwestować. W mniejszym mieście, mając niższe zarobki, musiałaby sama odkładać na studia, więc wszystko zabrałoby o wiele więcej czasu, o ile w ogóle by się wydarzyło.

Rynek pracy w metropolii wiąże się też z innymi benefitami.

Wystarczy porównać ogłoszenia o pracę. Standardem stają się: dodatkowe ubezpieczenie na życie, prywatna opieka medyczna, służbowe laptopy i telefony. W mniejszym mało kto o czymś takim myśli. Jednocześnie starsi pracownicy z niejakim sentymentem wspominają, że w PRL zakład pracy dawał dostęp do lekarza, stołówki, transport do fabryki. Wiadomo, że nie zawsze to działało, ale jednak było. Nową wersję tego samego, tylko pod angielską nazwą, oferują obecnie korporacje i nikt nie mówi o roszczeniowości czy powrocie do socjalizmu.

Jest jeszcze jeden problem, który powinniśmy rozwinąć – koszt kupna mieszkania.

Media skupiają się na tym, co najbardziej sensacyjne, np. informacji, że w Warszawie czy Trójmieście metr kwadratowy kosztuje już kilkanaście tysięcy złotych. To jest oczywista patologia, ale jednocześnie nie zauważa się, iż kilka tysięcy złotych za metr w mniejszym mieście też przekracza możliwości zwykłych ludzi. Spodobał mi się Prudnik, więc sprawdziłem, jakie są tam ceny mieszkań. Okazało się, że 3 tys. zł za metr. Znajomi z Warszawy mówili, że to niemal za darmo. Tyle że jeśli zarabia się tam 1,8 tys. na rękę, to gdy dołoży się do tego czynsz, rachunki i wiele innych wydatków, też nie można sobie pozwolić na kupno mieszkania. O tym wszystkim trzeba zacząć rozmawiać.

Zamiast tego mamy narrację o byciu kowalem własnego losu. To musi budzić frustrację. Czy to może być mieszanka wybuchowa?

Kiedy pisałem pierwszą książkę, „Urobieni. Reportaże o pracy", zastanawiałem się, czemu ludzie się nie zbuntowali, w końcu patologie na rynku pracy dotyczą milionów osób. Ale oni mieli poczucie, że to ich indywidualny problem i sami muszą sobie poradzić. Jak powiedział profesor Andrzej Szahaj, bulgotało w tym garze, ale pokrywka była uchylona i para ulatywała. A tą uchyloną pokrywką była możliwość emigracji na Zachód. Kiedy miliony osób wyjeżdżały i tam zaczynały nowe życie, nie było ich na miejscu, żeby walczyć o zmiany. Nie myśleli: zbierzmy się, zróbmy coś. Z badań wynika, że mieszkańcy mniejszych miejscowości w ostatnich trzech dekadach głosowali bardzo różnie, na SLD, PO, teraz na PiS. Wniosek jest taki, że dawali szansę tym, którzy obiecywali poprawę ich życia na miejscu. Ci ludzie głosują zgodnie ze swoim interesem i tak samo robią ludzie z metropolii.

O tych, co mają gorzej, mówi się zwykle, że są niezaradni, mało przedsiębiorczy. Tymczasem to, że wciąż są w stanie utrzymać się na powierzchni mimo piętrzących się problemów, świadczy o czymś zgoła przeciwnym.

Dobrze zobrazował to mój rozmówca z Kętrzyna. Był oburzony i sfrustrowany narracją o tym, że mieszkańcy mniejszych miast są roszczeniowi, trzeba im wszystko podsuwać pod nos. Weźmy Braniewo, Bartoszyce, Kętrzyn – zlikwidowano tam wiele zakładów, bezrobocie jeszcze do niedawna oscylowało w okolicach 30 proc. Duża część tamtejszych mieszkańców nie czekała, aż coś spadnie z nieba, tylko radziła sobie, jak mogła, np. przemycając towary przez granicę. Wiadomo, to nielegalne, ale jak nie ma się wyboru, to robi się to, co pozwoli przetrwać. Niestety, trudno się potem z takiego świata wyrwać.

Migrację do większych miast przyspiesza sytuacja w ochronie zdrowia, zamykanie kolejnych oddziałów. I sami się na to godzimy, bo przyjmujemy narrację, że jedynym istotnym wskaźnikiem jest rentowność. Państwo abdykuje ze swoich obowiązków.

Tak, ale nie dlatego, że jest zły władca, który mówi, że pozamyka wszystko, bo ma taki kaprys. To są nasze decyzje. Decyzje społeczeństwa, bo to my wybieramy rząd, który realizuje konkretny program. Taki, w którym szpital oddalony jest od obywatela o kilkadziesiąt kilometrów. W Kraśniku są plany zamknięcia porodówki, w Zamościu oddziału pediatrycznego. Siłą rzeczy w ten sposób ludzie są wypychani do większego miasta, bo nie każdy podejmie ryzyka, by z żoną w ciąży albo chorym dzieckiem jechać siedemdziesiąt kilometrów po pomoc. I słusznie zauważyła jedna z bohaterek mojej książki – nie jest obywatelką gorszą niż ktoś, kto mieszka w dużym mieście, więc dlaczego ma mieć gorszy dostęp do opieki? Tak samo płaci podatki, a jednocześnie nie dostaje w zamian tego, co ludzie w metropoliach. Kolejne rządy przez dekady zapominały, że za rogatkami wielkich miast istnieje jakaś Polska.

Tak naprawdę zapominały o Konstytucji, w której są zapisy dotyczące rynku pracy, ochrony zdrowia, mieszkalnictwa.

To prawda. Głośno jest dziś o ważnej sprawie niezależności sądownictwa i warto protestować przeciwko łamaniu prawa, ale inne zapisy Konstytucji są łamane od wielu lat i nie ma nie tylko demonstracji, ale nawet alarmistycznego tonu w związku z tym, że dostęp do ↦

↦ lekarzy specjalistów w mniejszych ośrodkach jest iluzoryczny.

Gdy ktoś w debacie cytuje konkretne zapisy, to wiele osób zastanawia się, czy nie jest to aby komunizm...

Podobnie jest z postulatami Sierpnia 1980. Mimo upływu czterdziestu lat niektóre z nich nigdy nie zostały zrealizowane i pewnie część z nich też, gdyby nie podać kontekstu, mogłaby co poniektórych oburzać.

Z Pana książki przebijają dwie emocje – obok rezygnacji jest też determinacja, by mimo ciągłych ciosów iść do przodu i próbować zmienić coś na lepsze.

W moim rodzinnym Krasnymstawie uratowano rynek przed zabetonowaniem, wciąż są tam drzewa, można usiąść w cieniu. Są też miasta, gdzie powstają programy mieszkaniowe dla tych, którzy nie łapią się na kredyt w banku i jednocześnie nie mogą dostać mieszkania komunalnego lub socjalnego. Po premierze książki zaczęły zresztą spływać kolejne głosy, że w różnych miejscach dzieją się dobre rzeczy. Jak w Dąbrowie Górniczej, gdzie zrewitalizowano pofabryczne tereny i stworzono przestrzeń, w której mieszkańcy mogą się spotkać, są najróżniejsze inicjatywy kulturalne, gastronomia, zajęcia sportowe. Mimo że to wciąż pojedyncze przykłady, chciałbym, by były inspiracją dla innych. Jeśli nic się nie zmieni, to kolejne miasta będą się wyludniać, ich zapaść będzie postępować, a to z kolei zwiększy najróżniejsze problemy społeczne. Jak na razie, są skowronki nadziei i mam nadzieję, że ich śpiew się poniesie, a przede wszystkim zostanie wysłuchany.

© Rozmawiał JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

ANNA SZYMANIAK

MAREK SZYMANIAK jest dziennikarzem i reporterem. Finalista konkursu stypendialnego Fundacji „Herodot" im. Ryszarda Kapuścińskiego oraz Nagrody „Newsweeka" im. Teresy Torańskiej za debiutancką książkę „Urobieni. Reportaże o pracy".

Żyję z chorobą, nie chorobą

MIKOŁAJ SZMURŁŁO

Wspólnoty dwunastu kroków to nie tylko alkoholicy czy narkomani. W Polsce działają też grupy anonimowych depresantów.

U Wojtka, który jest też niepijącym od 26 lat alkoholikiem, zaczęło się od rozstania z partnerką. – W tym samym mniej więcej czasie zachorowała moja matka – opowiada. – Opiekowałem się nią przez pół roku w domu, ale po trzech pobytach w szpitalu konieczne okazało się hospicjum. Ciężko było mi znieść tak ogromne ciśnienie. Dyrektorowi hospicjum, w którym leżała matka, wystarczyło na mnie spojrzeć: „Ma pan depresję".

U Wojtka ma ona charakter psychotyczny. Oprócz klasycznych objawów zdarzały mu się omamy – widział Jezusa. Najgorszy był jednak totalny brak poczucia sensu i motywacji. Wojtek potrafił kilkanaście godzin leżeć i wpatrywać się w zegarek. Miał silne myśli samobójcze, choć twierdzi, że i tak już czuł się jak nieżywy.

– Wkurzałem się na przyjaciela, że przychodzi i utrudnia mi planowanie zabicia się. Z perspektywy czasu widzę, jak bardzo mi pomógł. Tej choroby nie da się opisać słowami, ale gdyby spróbować, najwłaściwszymi określeniami byłyby chyba „głęboka nicość", „pustka", „czarna ściana". Czułem się jak uwięziony w jakimś słoju.

Wojtek zaczął szukać pomocy, chociaż nie wierzył, że przyniesie efekt. Poszedł do terapeutki, zaczęli rozpracowywać dzieciństwo. Wysłała go do psychiatry, ten na oddział dzienny. Tu długo ustawiano mu leki, dopiero siódmy okazał się właściwy. Potem była dwuletnia terapia, którą zalecił szpitalny psycholog, i spotkania Anonimowych Depresantów. W ich skuteczność Wojtek też nie wierzył.

– Samo pójście było wielkim krokiem. Dowlokłem się tam z ogromnym trudem, choć miałem już doświadczenia z AA. Szpital, terapia i mitingi sprawiły, że moje zdrowie zaczęło się powoli poprawiać. Minęło totalne zobojętnienie, pojawiły się emocje, również te pozytywne. Zaczęły się malutkie zmiany. Po trzymiesięcznym zwolnieniu wróciłem do pracy, chociaż nadal miałem przerażające lęki. Dużo dało mi wsparcie kierowniczki. Pomogły wypowiedzi innych osób na mitingach, sam też coraz częściej zabierałem głos. Potrafiłem zrozumieć coraz więcej rzeczy. Po pewnym czasie zacząłem prowadzić spotkania, co dało mi radość z możliwości pomocy innym. Z kilkoma osobami nawiązałem bliższy kontakt.

Aktualnie Wojtek czuje się o niebo lepiej, choć wciąż ma słabsze dni. Czasy, kiedy chciał się zabić, to przeszłość. Sam nie wierzy, że snuł takie plany. W trudnych chwilach pomaga mu bycie aktywnym, choćby remont mieszkania. Jak podkreśla, to nie działanie wynika z motywacji, lecz motywacja z działania (tak głosi czytany czasem na początku mitingu tekst „W co wierzymy").

Tabu

Pomimo dużej skali problemu i licznych kampanii depresja wciąż jest tabu, a ludzie, którzy się z nią zmagają, bywają piętnowani. To tylko potęguje ich – i tak już niemałe – cierpienie. Problem dodatkowo nasilił się wskutek pandemii.

Osoby z depresją pomocy szukać mogą nie tylko na terapiach, ale też właśnie na mitingach AD. Wspólnota ta bazuje na programie dwunastu kroków dla Anonimowych Alkoholików, zasadniczym problemem jest tu jednak nie alkohol, lecz zamartwianie się, które według teorii wyznawanej przez członków społeczności również jest swego rodzaju nałogiem.

ARKADIUSZ ZIÓŁEK / FORUM

Na skrzyżowaniu ulic Marszałkowskiej i Świętokrzyskiej. Warszawa, październik 2015 r.

Tu i teraz

Zaczęło się po czterdziestce. Wcześniej nie było żadnego typowego czynnika, który mógłby wywołać chorobę – Joanna miała szczęśliwe dzieciństwo, a jako dorosła też żyła w kochającej się rodzinie. I to właśnie rodzina zauważyła, że coś jest nie tak. Joanna udawała, że problemu nie ma. Bliscy nakłonili ją do wizyty u psychiatry, psychiatra rozpoczęła leczenie farmakologiczne. Nie zaproponowała wizyty u psychologa czy terapii. Gdy leki nie poskutkowały, wypisała skierowanie do szpitala, który na długi czas stał się dla Joanny drugim domem. Konieczne były cztery paromiesięczne pobyty na oddziale zamkniętym, a po każdym z nich kuracja na oddziale dziennym. Po pewnym czasie trafiła do AD. Wspólnota dała jej siłę, żeby pójść też do psychologa i na terapię grupową.

– Dzięki mitingom uświadomiłam sobie, że nie jestem sama i że nie jestem inna. Bardzo ważny był dla mnie krok pierwszy: uznanie bezsilności wobec depresji. Akceptacja tego, co przynosi los, ale też łagodność dla siebie to podstawa – mówi Joanna.

Zmiany zachodziły powoli. Najważniejsza dotyczyła sposobu myślenia. – Bez niej nawet leki nie pomagały. Brałam je i będę brać do końca życia, bo przy chorobie afektywnej dwubiegunowej (depresja pojawia się naprzemiennie z fazami manii – red.) potrzebny mi był stabilizator nastroju. Prawdziwa poprawa nastąpiła jednak, gdy zmieniłam podejście do rzeczywistości. Nauczyłam się żyć tu i teraz, nie rozpamiętywać dawnych wydarzeń, a także nie dążyć za wszelką cenę do doskonałości. Wcześniej byłam perfekcjonistką, a to bardzo utrudniało życie, bo wychodziłam z założenia, że albo zrobię coś idealnie, albo wcale. Jak dodaje Joanna, dziś szuka jasnej strony życia. – Bardzo dużo dało mi poczucie wdzięczności wobec Siły Wyższej i zawierzenie Jej – opowiada. – W moim przypadku jest to akurat Bóg chrześcijański. Wiem też, że mam przebaczać i nie trzymać urazów, bo szkodzą one tylko mnie, podobnie jak oczekiwania względem świata, których też się pozbyłam.

Kroki

Mitingi mają analogiczny schemat jak AA. Początek to czytanie preambuły, kroków i tradycji AD, a główna część opiera się na wypowiedziach uczestników. Zabieranie głosu nie jest jednak obowiązkowe. Wypowiedzi zazwyczaj polegają na odpowiadaniu na pytania przygotowane wcześniej przez prowadzącego i dotyczą na ogół danego kroku bądź fragmentu Wielkiej Księgi AD, również czytanego na początku spotkania. Mówić można też jednak „od siebie", choćby o przeżywanych aktualnie smutkach lub radościach.

Obok zasady anonimowości, fundamentalnej we wspólnocie, obowiązuje kilkanaście innych reguł, do których należy chociażby nieocenianie i nieudzielanie rad. Zasady te nie zawsze są przestrzegane, ale w takich przypadkach uczestników upomina prowadzący. Nie jest on jednak liderem, bo we wspólnocie żadnej hierarchii nie ma. Oprócz prowadzącego, który co pewien czas powinien się zmieniać, niektóre grupy mają rzecznika, który także dba o dobro uczestników, oraz skarbnika. Datki w AD są dobrowolne. Służą głównie opłaceniu sali, ale także zakupowi herbaty, kawy czy słodyczy.

Nie ma na mitingach psychologów czy terapeutów, a jeśli są, to jako zwykli uczestnicy, z założenia bowiem nikt nie powinien występować w roli eksperta. Jak mówi jedna z tradycji: „Jedynym ↦

↦ i najważniejszym autorytetem w naszej wspólnocie jest miłujący Bóg, jakkolwiek może się on wyrażać w sumieniu każdej grupy". Zasada ta nie oznacza, że AD jest wspólnotą chrześcijańską. Bóg odgrywa w niej ważną rolę, ale każdy może pojmować Go po swojemu. Wspólnota jest otwarta także na niewierzących. Jedynym warunkiem przynależności jest chęć zaprzestania zamartwiania się, tak jak w AA chęć zaprzestania picia.

Nadzieja

Krok pierwszy był najważniejszy również dla Renaty: – Wcześniej uważałam depresję za słabość, a do słabości nie dawałam sobie prawa. Jej akceptacja była dla mnie przełomem.

Renata do AD należy od trzech lat. Na ich spotkaniach najbardziej podoba jej się to, że się tam nie doradza, że mówi się tylko o sobie.

– Patrząc na zdrowsze osoby, dostrzegłam nadzieję. Zdałam sobie sprawę, że są ludzie, którzy byli niegdyś w takim stanie jak ja, kiedy przyszłam na pierwszy swój miting, albo nawet gorszym, a mimo to wrócili do zdrowia.

Zły stan Renaty spowodowany był m.in. jej kiepskimi relacjami z ojcem, ukrytym alkoholikiem. – U taty na wszystko musiałam zasłużyć – mówi. – A matka była zimna, nie potrafiła okazać uczuć. Jej rolę przejęła moja matka chrzestna. Ukochaną osobą była dla mnie babcia, ale zmarła, gdy miałam trzynaście lat. To właściwie wtedy zaczęła się moja depresja. Na pogrzebie nie uroniłam łzy, zamknęłam się na emocje i tak mi zostało.

Jako dorosła osoba Renata miewała silne nawroty choroby. Do pewnego stopnia pomogła jej terapia poznawczo-behawioralna. – Po jej zakończeniu czułam się rewelacyjnie – opowiada. – Wierzyłam, że mogę przenosić góry, ale potem nastąpił gwałtowny spadek.

Znalazła się pod opieką psychiatry, ale depresja mocno dawała się we znaki. – Były to dla mnie męki – wspomina. – Chodziłam do pracy, ale było mi cholernie trudno. Ostatni nawrót skończył się pobytem na oddziale dziennym. Potem trafiłam do AD.

Siłą Wyższą dla Renaty jest Bóg – dobry, miłosierny. Niegdyś znała tylko Boga surowego i karzącego, bo taki Jego obraz wyniosła z dzieciństwa. Zmuszano ją wówczas do chodzenia do kościoła – było pięknie, odświętnie, ale jeszcze tego samego dnia wracały kłótnie. Wskutek tamtych doświadczeń wyczulona jest dziś na obłudę i manipulację, również ze strony księży.

Renata twierdzi, że dwanaście kroków umożliwiło jej poznanie siebie, a także pozwoliło zrozumieć, co jest w życiu ważne. Zgodnie z jedną z dwunastokrokowych obietnic znikł egoizm, Renata nauczyła się dbać o innych, ale również wyraźnie stawiać granice.

– Zamknęłam przeszłość, choć jej nie zapomniałam. Pracuję nad poprawą relacji z ojcem. Codziennie rano się modlę, powierzając Bogu nadchodzący dzień, a wieczorem dziękuję Mu za ten dzień, niezależnie od tego, czy był dobry, czy nie. Mam lepszy niż dawniej kontakt ze sobą, uruchomiła się we mnie intuicja, która wcześniej była uśpiona. Bardziej doceniam drobne przyjemności, takie jak jedzenie czy słuchanie muzyki. Niedawno wzruszył mnie koncert w kościele i po jego zakończeniu podeszłam do dziewczyn z chóru, podziękowałam im za piękny śpiew.

Krytyka

Co o wspólnocie AD twierdzą specjaliści od leczenia depresji? – Nigdy wcześniej o niej nie słyszałam – mówi prof. Dominika Dudek, psychiatra. – Uznawanie depresji za uzależnienie jest dla mnie dość dziwaczną koncepcją, podobnie jak samo słowo „depresanci", które również słyszę po raz pierwszy. W leczeniu alkoholizmu chodzi o to, żeby pacjent przestał pić, a depresja, niezależnie od przyczyn i objawów, to typowa choroba, wymagająca psychoterapii i farmakoterapii. Inne cele stawia się przy leczeniu nałogów, inne przy leczeniu depresji. Równie dobrze można by zrobić mitingi dla anonimowych pacjentów z grypą.

Prof. Dudek nie chce jednak być jednoznacznie krytyczna. – Taka wspólnota może sprawdzić się jako grupa wsparcia – dodaje. – Dzielenie się doświadczeniem, pomaganie sobie nawzajem na pewno może osobom chorym pomóc. My też przez wiele lat mieliśmy przy klinice klub pacjenta. Przychodzili do niego zarówno ci aktualni, jak i byli. Mogli wspólnie napić się herbaty, porozmawiać albo po prostu ze sobą pobyć. Wzajemna pomoc jest cenna w każdym kryzysie życiowym, stąd grupy wsparcia na przykład dla amazonek czy osób doświadczających przemocy. Na pewno lepiej spotkać się z ludźmi, którzy mają podobne problemy, niż siedzieć i patrzeć w sufit.

Agnieszka, jedna z uczestniczek mitingów, wspomina, że terapeutka początkowo zabroniła jej na nie chodzić: – Stwierdziła, że nie jestem jeszcze gotowa, że wypowiedzi innych osób z depresją mogą mi zaszkodzić. Potem jednak uznała, że dojrzałam już do takich spotkań. Zaczęłam regularnie na nich bywać i nie żałuję swojej decyzji.

Motto

Oczywiście nie jest tak, że wspólnota AD pomaga każdemu, a po wstąpieniu do niej życie człowieka zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. – Gdyby nie terapia i pomoc farmakologiczna, mój stan nie zmieniłby się tak, jak się zmienił – mówi Wojtek.

Część Anonimowych Depresantów, którym wspólnota pomogła, chce tę pomoc przekazywać dalej. Renata nosi się z zamiarem stałego prowadzenia mitingów, a Joanna ma swoich duchowych podopiecznych.

Na tych spotkaniach nie zawsze jest grzecznie i spokojnie. Zdarzają się scysje, a nawet dłuższe konflikty. Zdecydowanie więcej jest jednak wzajemnego wspierania się i pozytywnych relacji. Na AD zawiązało się wiele przyjaźni, także wieloletnich. Grupy spotykają się zresztą nie tylko na mitingach, lecz także „prywatnie" – chociażby na spacerach, grillach, ogniskach czy wycieczkach.

Przed pandemią działało w Polsce kilka grup AD, z czego najwięcej, bo cztery, w Warszawie. Wskutek lockdownu większość z nich przeniosła się do sieci. Spotkania internetowe umożliwiają jednoczesne uczestnictwo osobom z różnych stron Polski, a nawet świata, ale nie mogą zastąpić mitingów w formie tradycyjnej.

– Lubię ludzi, kontakt z nimi – mówi Renata. – AD daje mi możliwość nawiązywania znajomości, i to z osobami, które są w stanie mnie zrozumieć.

Akceptacja rzeczywistości, przerabianie kroków, mitingi, ale także leki, terapia czy codzienne aktywności – to wszystko sprawia, że osoby chorujące na depresję mogą dać sobie radę.

– Żyję z depresją, nie depresją – stwierdza Wojtek. – I takie jest moje motto.

© MIKOŁAJ SZMURŁO

JACEK

Podsiadło: *Smażalniki ciągłego działania*

W 1967 r. w Stargardzie Szczecińskim ob. Burlińska omal nie zginęła podczas wieszania na ścianie własnej torebki.

W 1972 r. świnie w Ustce jadły pierogi.

W Radomiu w sierpniu 1974 r. buty samorzutnie, bez udziału nóg, zablokowały pracę fabryki.

W tym samym roku na skraju Gór Świętokrzyskich Jerzy B. osobiście rozmawiał z zegarynką.

Wszystko to prawda. Lubię czytać peerelowską prasę i to dzięki niej poznaję większość opiewanych przeze mnie zjawisk i wydarzeń. Mam też wspomnienia własne. Niczego nie zmyślam.

Przypadek Burlińskiej opisał w liście do redakcji czytelnik „Przyjaciela Przy Pracy", pisma w całości poświęconego arcyciekawej tematyce BHP. 11 sierpnia Burlińska przyszła do pracy w Oddziale Fabryki Motocykli. Zwyczajowo powiesiła torebkę na haczyku naściennym, po czym padła jak rażona gromem. Wezwano pogotowie. Lekarz stwierdził porażenie, ale nie gromem, tylko łukiem elektrycznym. „Okazało się, że haczyk, na którym poszkodowana powiesiła torbę, wkręcony był w tablicę rozdzielczą". Poszkodowana musiała mieć tego dnia torebkę cięższą niż zwykle, bo „pod wpływem ciężaru haczyk zgiął się i wywołał zwarcie przewodów pod napięciem".

Po zbudowaniu w Koszalinie nowoczesnej chłodni Zjednoczenie Chłodni Składowych i Zjednoczenie Gospodarki Rybnej zjednoczyły siły i postawiły na nowy produkt na rynku spożywczym: pierogi nadziewane rybami. Po wyprodukowaniu 170 ton okazało się, że nikt ich nie chce jeść. Tygodnik „Perspektywy" wdrożył śledztwo mające ustalić „kto winien". Dyrektor ds. produkcji nowej chłodni, Pawłowski, stwierdził, że musiał pierogi produkować, żeby nie było przestoju maszyn: „W trzecim i czwartym kwartale 1971 roku otrzymaliśmy nowoczesny agregat do produkcji pierożków nadziewanych. Mieliśmy już kotły, patelnie, smażalniki ciągłego działania. Trzeba było wykorzystać maszyny". Obwiniał też o niejedzenie pierogów z rybami Ślązaków: „Zjednoczenie twierdziło, że zbyt będzie, szczególnie na Śląsku". Naczelnik wydziału produkcji w Zjednoczeniu, Lewkowicz, oskarżał konsumenta zachodniego, że dla zmylenia pałaszował on pierogi rybne jak smok: „Statystyka spożycia wyrobów rybnych na Zachodzie upewniała nas, że podejmujemy słuszną decyzję". Sami dziennikarze uważali, że pierogi nie smakują, bo są brzydko opakowane: „Bój o ładnie graficznie opracowane, wielobarwne etykiety – przegrano".

Kiedy okazało się, że pierogi z rybami nie schodzą, „opracowano reklamę filmową, plansze informacyjne. Przygotowywano bezpłatne degustacje dla mieszkańców Koszalina". Wszystko na nic. Ostatecznie przeterminowane pierogi zjadły świnie z tuczarni w Ustce.

Późniejsze o dwa lata wydarzenia radomskie opisało „Echo Skórzanych", organ Zakładów Przemysłu Skórzanego „Radoskór". Na 23 sierpnia przygotowano tam do transportu buty na eksport, na ten sam dzień przewidziano remont maszyny Astra. Wszystko pięknie rozplanowano: zadysponowano na rano ciągnik do transportu maszyny, zamówiono wagon na bocznicę, a także samochody, które miały przewieźć buty z zakładu do wagonu. Zamówienie było tak duże, że buty nie mieściły się w magazynie i część stała w hali produkcyjnej. Pech chciał, że właśnie rozpoczęły się żniwa i zamiast do „Radoskóru" kolej skierowała swój wagonik do akcji żniwnej. Nie ma więc wagonu, a buty stoją i czekają na eksport. „Służba bhp pisze ostre zalecenia: zabrać buty. Magazyn jednak pełny, nie ma gdzie zabrać". Pogarsza się też sytuacja Astry: „Maszyny wyciągnąć nie można, bo stoją buty". W zaistniałej sytuacji Dział Transportu kieruje do innych zadań samochody, które miały przewieźć buty do wagonu. Kiedy więc Dział Eksportu wymusza wreszcie na kolei przysłanie wagonu, stoi on na bocznicy bezużytecznie, bo nie ma samochodów. Skutek jest taki, że przez pół dnia pół zakładu stoi, a „przewożenie obuwia do wagonu zakończono w godzinach nadliczbowych".

Mieliśmy pierwszy telefon we wsi i stanowił on dla sąsiadów pewną atrakcję. Dorosłego Jerzego B. my, dzieci, namówiliśmy przy okazji prezentacji wynalazku na telefon do zegarynki. Powiedzieliśmy mu, że pod numerem 926 siedzi taka specjalna kobieta od podawania godziny. Wykręciliśmy mu numer. Drżącym głosem powiedział „Przepraszam panią, która jest godzina?", a po usłyszeniu godziny dodał „Bardzo pani dziękuję" i odłożył słuchawkę. Akurat rytm powtarzanej godziny doskonale zgrał się z jego kwestiami, z nikim tak dobrze nam to już nie wyszło.

Zegarynkę można sobie dokładnie i nawet od środka obejrzeć w etiudzie filmowej „Zegarynka" z 1955 r. Nie była to kobieta, ale maszyna. Dlatego nonsensem jest podana przez Wiesława Kota w książce „PRL. Czas nonsensu" informacja, że w 1975 r. zegarynka poznańska podawała czas dopiero po dodzwonieniu się do zegarynki warszawskiej. U mnie natomiast zawsze możecie liczyć na wspomnienia nie tylko przerażająco zabawne, ale i prawdziwe. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

PIĄTEK TRZYNASTEGO

Proces terrorystów, którzy w 2015 r. zaatakowali klub Bataclan, ma ukazać wyższość demokracji nad totalitaryzmem. Dla tych, którzy przeżyli i dziś zeznają, to ciężka próba, otwierająca rany.

TEKST SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA, ZDJĘCIA KASIA STRĘK

Sześć lat temu zamachowcy zabili tutaj 90 osób. Paryski klub Bataclan, 4 października 2021 r.

Z Christophe'em Naudinem umówiłem się na spotkanie w bistrze koło ruchliwego i głośnego placu Denfert-Rochereau, tuż obok paryskich katakumb.

Gdy siedzimy przy stoliku, on co jakiś czas spogląda w stronę drzwi. – Ten odruch pozostał mi po tamtej nocy. Znów chodzę na koncerty, ale zawsze szukam wzrokiem wyjścia. Nadmierna czujność to jeden z syndromów zespołu stresu pourazowego. Ale nie przeszkadza mi już w cieszeniu się muzyką – mówi 45-letni Christophe, na co dzień nauczyciel historii i geografii w podparyskim gimnazjum.

Zawsze lubił ciężkie brzmienie. Także dziś ma na sobie czarny T-shirt z heavymetalowym motywem. Nic dziwnego, że wieczorem 13 listopada 2015 r. poszedł na koncert hardrockowego zespołu Eagles of Death Metal w popularnym paryskim klubie Bataclan. Skąd mógł wiedzieć, że koncert jego idoli przerodzi się w piekło?

Atak islamskich terrorystów, uzbrojonych w pistolety maszynowe, Christophe przetrwał ukryty w schowku obok sceny [rekonstrukcję przebiegu zamachów w Paryżu w listopadzie 2015 r. przedstawiamy w ramce na kolejnych stronach – red.]. Wyszedł z niego dopiero po dwóch godzinach, gdy skończyła się operacja antyterrorystyczna. Nie doznał fizycznych obrażeń. Wśród 90 zabitych był natomiast jego przyjaciel Vincent, z którym przyszedł na koncert. Łącznie w serii przeprowadzonych wtedy zamachów, których celem były prócz klubu Bataclan także paryskie bary oraz stadion Stade de France w Saint-Denis na przedmieściach stolicy, zginęło 130 osób. Był to największy jednorazowy atak terrorystyczny we współczesnej Francji.

Po tamtej nocy senne koszmary miały prześladować Christophe'a przez kolejne lata. Dziś mówi, że czuje się raczej dobrze. Choć odczuwał napięcie w miarę, jak zbliżał się termin rozpoczęcia procesu ujętych wtedy terrorystów. – Na początku nie chciałem w nim zeznawać. Zmieniłem zdanie dopiero dwa tygodnie temu, po dyskusji z innymi osobami z naszego stowarzyszenia – mówi Christophe. Ma na myśli organizację Life for Paris, która zrzesza rodziny ofiar zamachu i tych, którzy go przeżyli. – Będę zeznawać, żeby opowiedzieć o moich bliskich. O matce, o mojej byłej towarzyszce życia. Ludzie powinni wiedzieć, co przecierpieli również wszyscy ci, którzy nie byli bezpośrednimi ofiarami.

Naiwność i zaślepienie

Swoją walkę ze skutkami zespołu stresu pourazowego Christophe Naudin opisał w książce „Dziennik ocalonego" (podtytuł: „Być historykiem i ofiarą zamachu"), wydanej w 2020 r. Przez pierwsze trzy lata po zamachu prowadził zapiski, w których notował obserwacje dotyczące długiej psychoterapii, zmagania się z traumą i powolnej rekonstrukcji psychicznej. Stara się też zrozumieć, jak wśród młodych ludzi, urodzonych na ogół we Francji, którzy są tylko nieco starsi od jego uczniów, mogła rozwinąć się ideologia nienawiści, odwołująca się do islamu. ↦

Psychiatra **THIERRY BAUBET** *pomaga tym, którzy przeżyli zamachy z 2015 r., a także rodzinom ofiar. Bobigny koło Paryża, 4 października 2021 r.*

↦ Czego oczekuje po procesie? Christophe: – Prawdę mówiąc, ci terroryści na ławie oskarżonych wcale mnie nie interesują. Nie chcę im patrzeć w oczy. Oni są płotkami, ich szefów tu nie ma. Mam nadzieję, że proces wyjaśni szerszej publiczności przebieg zamachu i śledztwa. I że wreszcie publicznie przemówią głosy setki ofiar, które wcześniej nie wypowiadały się w mediach. Proces jest filmowany, dla celów archiwalnych. W ten sposób pamięć jednostek połączy się w pamięć zbiorową.

Christophe obawia się natomiast, że proces zostanie wykorzystany w politycznej walce, która toczy się już w związku z wyborami prezydenckimi, zaplanowanymi na wiosnę 2022 r.

Mój rozmówca ma lewicowe poglądy, ale irytują go ludzie z jego własnego „obozu", którzy w dżihadystach widzą, jak mówią, ofiary Zachodu – np. z racji polityki USA i jego sojuszników na Bliskim Wschodzie czy też z powodu, jak twierdzą, islamofobii, która ma panować w Europie.

– Takie opinie to mieszanina naiwności i zaślepienia wobec dżihadyzmu – mówi Christophe, który uważa, że dyskryminowanie Francuzów pochodzenia arabskiego nie może tłumaczyć tego, iż część z nich poparła ideologię dżihadu. Podkreśla jednocześnie, że nie wolno stawiać znaku równości między islamem a przemocą, co lubi czynić francuska skrajna prawica.

Dla Francji i dla świata

Naudin należy do grona ponad trzystu pokrzywdzonych osób, które mają zeznawać w procesie, który rozpoczął się na początku września. Nazywa się go w skrócie „Proces V13" (franc. „*Vendredi 13*", czyli „W piątek trzynastego", bo tego dnia doszło do ataków).

Pod względem jego skali i zaplanowanego czasu trwania to jeden z największych procesów w historii francuskiego sądownictwa: co najmniej dziewięć miesięcy przewidzianych rozpraw, ponad 2 tys. osób mających status pokrzywdzonych, 330 adwokatów, *dossier* śledcze liczące 542 tomy (a w nich milion stron).

Aby pomieścić kilkaset osób, które jednorazowo uczestniczą w posiedzeniach sądu, w i tak wielkim Pałacu Sprawiedliwości zaaranżowano tymczasową salę o powierzchni 750 m². Pozostali uczestnicy – dziennikarze, bliscy ofiar, publiczność – mogą śledzić rozprawy dzięki transmisji na żywo na telebimach w dziesięciu salach. Dodatkowo uruchomiono radio internetowe dla tych, których nie ma na miejscu.

Zorganizowany z takim rozmachem, „V13" ma być też największym jak dotąd sądem nad islamskim terroryzmem, tutaj reprezentowanym przez Państwo Islamskie (w 2015 r. organizacja kontrolowała duże obszary Syrii i Iraku, gdzie proklamowała kalifat, czyli państwo boże). Minister sprawiedliwości Éric Dupond-Moretti oświadczył mediom, że proces ma pokazać wyższość praworządnej demokracji nad totalitarną ideologią.

Francuska prasa porównuje paryski proces do słynnego jerozolimskiego sądu nad hitlerowskim zbrodniarzem Adolfem Eichmannem z 1961 r., podczas którego obnażono mechanizmy funkcjonowania III Rzeszy.

Abdeslam i inni

Spośród dwudziestu oskarżonych sześć osób sądzonych jest zaocznie.

Największą uwagę skupia na sobie 31-letni dziś Salah Abdeslam. To jedyny żyjący członek 10-osobowego oddziału zamachowców (pozostali oskarżeni odpowiadają za współudział). Pochodzący z marokańskiej rodziny, Abdeslam ma francuskie obywatelstwo. Dorastał w osławionej brukselskiej dzielnicy Molenbeek, dziś znanej jako wylęgarnia islamskich terrorystów. Zresztą aż dziesięciu oskarżonych uczestniczących w procesie „V13" pochodzi z regionu brukselskiego. Według śledczych paryskie zamachy z 13 listopada – podobnie jak późniejsze ataki na lotnisku oraz w metrze w Brukseli, w marcu 2016 r. – zostały zlecone przez komórkę Państwa Islamskiego w Syrii, a logistycznie przygotowano je na terenie Belgii.

Abdeslam był szeregowym dżihadystą. W przeciwieństwie do wielu współtowarzyszy nie walczył w Syrii czy Iraku. W młodości prowadził rozrywkowe życie (seks, alkohol, hazard), nie był religijny i trafił do więzienia za włamanie. Zradykalizował się pod wpływem kolegi z dzieciństwa, który wcześniej walczył w Syrii w szeregach Państwa Islamskiego.

Śledztwo wykazało, że w zamachach z 13 listopada Abdeslam odgrywał podwójną rolę: logistyka (przewoził terrorystów na miejsce ataku, załatwiał materiały wybuchowe, auta i kryjówki) oraz niedoszłego zamachowcy samobójcy. Niedoszłego, bo choć miał na sobie pas z ładunkiem wybuchowym – tak jak jego koledzy atakujący paryski stadion – to jego pas nie eksplodował.

Dlaczego tak się stało, nie wiadomo. Być może pas szahida nie zadziałał, ale możliwe jest też, iż Abdeslam go nie zdetonował. Czy w ostatniej chwili się przestraszył? Niewykluczone. On sam od momentu aresztowania uparcie odmawiał zeznań. W dniu otwarcia procesu przerwał milczenie, aby wyrecytować swoje religijne *credo* i potwierdzić wierność Państwu Islamskiemu. Poskarżył się też na złe, jak twierdził, warunki w celi. Wstrząsnęło to wieloma osobami, które przeżyły zamachy i były obecne na sali rozpraw.

Francuscy i belgijscy śledczy sądzą, że główny mózg paryskich zamachów, Oussama Atar, mógł zginąć w Syrii. Brakuje

Nauczyciel **CHRISTOPHE NAUDIN** *był tamtego dnia na koncercie w klubie Bataclan. Przeżył, ale wśród ofiar był jego przyjaciel Vincent. Swoją walkę ze skutkami PTSD Christophe opisał w książce „Dziennik ocalonego". Paryż, 29 września 2021 r.*

potwierdzenia jego śmierci, w paryskim procesie Atar jest więc sądzony zaocznie. Podobnie jak pięciu innych oskarżonych, którzy zaginęli lub siedzą w więzieniach poza Francją, np. w Turcji.

Teraz śpiewam życie

Podczas pierwszych posiedzeń sądu, aż do początku listopada, przewidziano zeznania tych, którzy przeżyli, oraz bliskich zabitych. Co najmniej trzysta osób, dzień w dzień, od wtorku do piątku.

Skumulowanie ich świadectw sprawia wrażenie, jakby nad salą rozpraw unosiły się śmierć, ból i przerażenie. W opowieściach, często rozdzierających, wraca też koszmar ostatnich sześciu lat. Prócz ocalonych głos mają ci, których zwykle słyszymy rzadziej: rodziny tych, którzy zginęli na Stade de France, w Bataclanie i na tarasach paryskich barów.

Weźmy ten październikowy wtorek, gdy śledzę posiedzenie sądu w Pałacu Sprawiedliwości. Przed sądem staje kobieta, nazwijmy ją Florence (poprosiła mnie potem o zmianę imienia), z zawodu psycholożka. W średnim wieku, korpulentna, posiwiałe włosy, w okularach. Jej młodsza siostra, szwagier i przyjaciele zginęli w bistrze La Belle Equipe (poniosło tam śmierć ponad 20 osób).

U boku Florence stoi jej siostrzeniec, który w wieku 13 lat stracił wtedy matkę. Młody mężczyzna podtrzymuje ją za ramię, gdy Florence mówi, cicho i z wysiłkiem: – Mój ojciec zmarł dwa lata po zamachach. Miał swoje lata, ale myślę, że zabrała go zgryzota. Moja mama jakoś daje sobie radę dzięki antydepresantom. Każde święto czy rodzinne urodziny są dla nas bardzo ciężkie. Za dużo pustych krzeseł.

Kolejny zeznający pokrzywdzony to Gregory, wysoki muskularny mężczyzna. Na koszulce ma nadruk ze zdjęciem ukochanej. Zginęła w jednym z barów. Nie był z nią, został w domu, oglądał telewizję. Dziś nie może sobie wybaczyć, że nie byli w tamtej chwili razem. Mówi powoli, zacina się. Co jakiś czas odwraca się ku oskarżonym. – Wyrwaliście mi moją połowę! – woła, ledwie hamując gniew. Wracając na swoje miejsce po zakończeniu zeznań, wbija wzrok w oszklony boks, w którym siedzą oskarżeni.

Sala rozpraw bywa też miejscem wspominania najbliższych. Młoda kobieta, ocalona z La Belle Equipe, puszcza podczas zeznań krótki film o swym przyjacielu, Ludovicu. Zginął, zasłaniając ją własnym ciałem. Ocalił je życie, kula zraniła ją tylko w ramię. Na filmie widać Ludovica na kilka dni przed zamachem, jak świętuje urodziny w gronie przyjaciół.

Pokrzywdzeni mówią też o swoich traumach, i powolnej osobistej rekonstrukcji psychicznej. Niektórzy korzystają z okazji, by wielbić życie i każdą jego chwilę. Tak jak długowłosa brunetka, piosenkarka, która feralnej nocy stała za barem w La Belle Equipe. Z zamachu uszła cało, ale od tamtego czasu nie jest w stanie podjąć pracy w restauracji, paraliżują ją wspomnienia. Wróciła za to do muzyki. – Teraz śpiewam życie, śpiewam miłość! – niemal wykrzykuje w stronę sędziów, kończąc zeznanie.

Akurat kroiłem mięso

Podobnie jak Christophe Naudin, wielu spośród tych, którzy przeżyli zamachy, cierpi na zespół stresu pourazowego (PTSD). Psychiatra Thierry Baubet mówi „Tygodnikowi", że w tym przypadku jest to efekt zdarzenia traumatycznego, potocznie określanego jako otarcie się o śmierć. Do głównych objawów należy nawrót obrazów, dźwięków czy zapachów, które wywołują stan takiego samego przerażenia, jak w momencie traumatycznego zdarzenia.

Thierry Baubet prowadzi psychoterapię licznych poszkodowanych 13 listopada 2015 r. Zaznacza, że niektórzy nie potrzebują psychoterapii: – Każdy widzi i przeżywa inaczej. Nikt przecież w momencie ataku nie jest białą niezapisaną kartką, każdy ma inną osobowość.

Objawy PTSD mogą pojawić się dopiero po jakimś czasie. Jean-Luc Wertenschlag był świadkiem ataków: okna jego mieszkania wychodzą na jeden z ostrzelanych wtedy barów. Zbiegł na dół i wynosił rannych z baru na ulicę, zanim przyjechało pogotowie. W jego wspomnieniu tamta chwila jawi się jak scena wojenna: stos splątanych ciał, wszędzie krew.

– Potem przez wiele miesięcy nic się ze mną nie działo. Aż nagle, rok po zamachach, gdy akurat kroiłem czerwone mięso i kapnęła z niego krew, coś mnie sparaliżowało. Gdyby nie żona, runąłbym na ziemię – wspomina dziś Wertenschlag w rozmowie z „Tygodnikiem". On i jego nastoletnia wtedy córka, która widziała masakrę z okna, musieli odbyć długą psychoterapię.

Z czarną kulą u nogi

Dla tych, którzy przeżyli, oprócz opieki psychologicznej ważne jest wsparcie ze strony rodziny i otoczenia.

Christophe Naudin wrócił do nauczania w szkole kilka dni po ataku na Bataclan. Nie opowiadał nastolatkom o swoich przeżyciach. Mimo to uczniowie wiedzieli. Podczas lekcji pewna gimnazjalistka szepnęła do niego: „Martwimy się o pana, proszę odpocząć". Poruszony tymi słowami, Christophe pisze w książce: „Myślę, że każdy rozumie, dlaczego chce się być nadal nauczycielem, pomimo wszystkich kłopotów".

Wielu ocalonych podkreśla, że w przezwyciężeniu izolacji pomogła im przynależność do stowarzyszeń zrzeszających ↦

↦ tych, którzy przeżyli, oraz ich rodziny, a także rodziny zabitych.

Carole Damiani przewodniczy stowarzyszeniu Paryż Pomoc Ofiarom, które świadczy wsparcie prawne i psychologiczne, także „na gorąco", na sali rozpraw. – Wiele ofiar robi coś twórczego: jedni piszą wspomnienia, drudzy malują, rysują, kręcą filmy wideo. Dla nich jest bardzo ważne, że ich cierpienie może się na coś przydać innym – mówi „Tygodnikowi".

Jednym z przykładów takich wspomnień jest autobiograficzny komiks dla dorosłych autorstwa Catherine Bertrand. Nosi tytuł „Kroniki ocalonej". Bertrand, która przeżyła atak na Bataclan, opowiada o swojej codzienności osoby żyjącej z wielką czarną kulą u nogi, która na jej rysunkach symbolizuje PTSD. Nie stroni od ironii (np. stres pourazowy przedstawia jako namolnego adoratora, którego ona, kobieta, bez powodzenia próbuje „spławić"). Komiks ma nie tylko cel autoterapeutyczny, ale też edukacyjny: ma tłumaczyć w prosty sposób otoczeniu, co przeżywają ofiary traumatycznych zdarzeń i jak można je wesprzeć.

Coś pozytywnego

Czego ocaleni mogą spodziewać się po sądowym maratonie?

Psychiatra Thierry Baubet: – Sam proces nie ma w sobie nic z terapii. Często jest nawet przeciwnie: u ofiar, które mają się w miarę dobrze, zeznawanie może otworzyć na nowo rany. Mogę ujawnić tyle, że niedawno zgłosili się do mnie nowi pacjenci. Przez sześć ostatnich lat dawali sobie radę bez psychoterapii, choć mieli lekkie objawy, jak koszmary senne czy lęk przed jeżdżeniem metrem. Dopiero teraz, w obliczu rozpoczęcia procesu zamachowców, załamują się.

Innym problemem mogą być nadmierne oczekiwania wobec procesu. – Są osoby, które zeznają przed sądem, bo oczekują przeprosin ze strony terrorystów. Mówię im wprost: to prawie nigdy się nie zdarza, porzućcie nadzieję – komentuje Baubet.

Potwierdzeniem jego opinii mogą być słowa samego Salaha Abdeslama w trakcie procesu. Zwracając się do siostry jednej z ofiar, która tak jak on była wyznania muzułmańskiego, Abdeslam rzucił, iż ich celem byli „niewierni", a jeśli zabito przy tym muzułmanów, był to tylko „wypadek". Słowa te wzburzyły publiczność na sali.

Carole Damiani ze stowarzyszenia Paryż Pomoc Ofiarom tłumaczy, że przed procesem ich organizacja dyskutowała z pokrzywdzonymi na temat ewentualnego udziału w rozprawach. Jej zdaniem każdy musi sam podjąć dojrzałą decyzję i być świadomy, że składanie zeznań może być ciężką osobistą próbą.

Baubet przyznaje, że dla części pokrzywdzonych konfrontacja z oskarżonymi na sali rozpraw może być wręcz dobrym powodem, by zeznawać: – Niektórzy chcą spojrzeć w oczy sprawcy i powiedzieć: „Nie udało ci się mnie zniszczyć, patrzę na ciebie, nie jestem tym »kawałkiem mięsa«, do którego strzelałeś".

– To jest coś pozytywnego: z biernego obiektu agresji stają się stroną sprawczą – dodaje psychiatra. – Wtedy czymś mniej ważnym staje się to, czy ofiara powie potem: „Wybaczam", czy też: „Nie wybaczam". To każda z ofiar rozstrzyga z osobna. I nie ma tu jednej dobrej odpowiedzi.

© SZYMON ŁUCYK

Atak najkrwawszy

W PIĄTKOWY WIECZÓR, 13 listopada 2015 r., trzy grupy islamskich terrorystów prawie jednocześnie zaatakowały w kilku miejscach Paryża: na obrzeżach stadionu Stade de France, na tarasach barów i w klubie Bataclan. W atakach, do których kilka dni później przyznało się Państwo Islamskie, zginęło łącznie 130 osób, a kilkaset zostało rannych. Był to najkrwawszy atak terrorystów islamskich we Francji. Oto rekonstrukcja wydarzeń tego wieczoru i nocy (a także kolejnych miesięcy śledztwa).

OKOŁO GODZINY 21.15: atak na Stade de France w trakcie meczu piłki nożnej Francja–Niemcy. W tłumie widzów na trybunach siedzi prezydent François Hollande. Trzech terrorystów wysadza się przed wejściem na stadion, zabijają jedną osobę. Czwarty terrorysta ze stadionu, Salah Abdeslam (dziś główny oskarżony w procesie), ucieka, nie detonując pasa szahida. Zabrany autem przez dwóch wspólników, nocą opuści Francję i schroni się w Belgii.

21.24: trzech terrorystów atakuje bary i restauracje w paryskich dzielnicach 10. i 11. (w tym samym rejonie znajduje się klub Bataclan). Strzelają z kałasznikowów do ludzi siedzących na tarasach; łącznie ginie kilkadziesiąt osób. Potem jeden z tej trójki wysadza się obok w powietrze. Dwaj pozostali – wśród nich Abdelhamid Abaaoud, uznany potem za koordynatora akcji – uciekają. Zginą pięć dni później w trakcie policyjnej obławy pod Paryżem.

21.42: kolejnych trzech terrorystów atakuje Bataclan, gdzie koncertuje amerykańska grupa Eagles of Death Metal. W klubie bawi się półtora tysiąca osób. Terroryści strzelają do nich z broni maszynowej. Ludzie uciekają na ulicę przez wyjścia awaryjne.

21.56: początek interwencji policji w Bataclanie; ginie jeden z terrorystów. Pozostali dwaj, uzbrojeni także w pasy samobójcze, barykadują się na pierwszym piętrze klubu razem z zakładnikami.

14 LISTOPADA, 16 MINUT po północy: po prawie dwóch godzinach bezskutecznych negocjacji komandosi szturmują piętro klubu i zabijają obu terrorystów. Wśród zakładników nie ma ofiar. Bilans masakry w Bataclanie to 90 zabitych i setki rannych.

18 MARCA 2016: po czterech miesiącach poszukiwań, w brukselskiej dzielnicy Molenbeek zostaje aresztowany Salah Abdeslam (dziś jedyny żyjący członek 10-osobowej grupy zamachowców z 13 listopada 2015 r.).

22 MARCA 2016: atak terrorystyczny w Brukseli na lotnisko Zaventem i stację metra. Przeprowadza go ta sama komórka Państwa Islamskiego, która wcześniej zorganizowała paryskie zamachy. Belgijski proces sprawców tych zamachów ma zacząć się w 2022 r. (sądzeni będą w nim także niektórzy z oskarżonych w obecnym paryskim procesie).

8 WRZEŚNIA 2021: w Paryżu zaczyna się proces 20 oskarżonych o zorganizowanie zamachów z 13 listopada 2015 r. Dwunastu z nich może zostać skazanych na dożywocie, a większość pozostałych na 20 lat więzienia.

© SZYMON ŁUCYK

(źródła: „Le Monde", France Inter, „Le Point")

Portugalski interior wyludnia się w szybkim tempie. Na zdjęciu: opuszczony dom w Pedrógão Grande, 2021 r.

Próba ognia

TEKST I ZDJĘCIA KRZYSZTOF STORY Z PEDRÓGÃO GRANDE I VOUZELI (PORTUGALIA)

Jesienią 2021 roku południe Europy podsumowuje nie tylko wpływy z turystyki, ale też największe od lat pożary lasów. Wracają również wspomnienia.

Pamięta, że było cholernie gorąco, że przez kilka dni temperatura nie spadała poniżej 30 stopni. Pamięta, że oglądali z mężem film, a szczelnie zasunięte zasłony utrzymywały chłód w domu. Pamięta, że skończyli po godzinie szesnastej, bo o tej porze słońce nie oświetla już tej strony domu.

Tamtego dnia, 17 czerwca 2017 r., Sherrie Sweetman otworzyła okno. Pamięta, że poczuła zapach dymu. A potem wraz z mężem Grahamem wyszli na balkon i go zobaczyli.

Patrzyli, jak dym przesuwa się, gęstnieje i zbliża do ich domu w Valongo – małej wsi w centralnej Portugalii, 3 km od Pedrógão Grande. Patrzyli, jak helikopter gaśniczy kursuje tam i z powrotem. Jak dym na horyzoncie z siwego staje się czarny. Nie wiedzieli, że obserwują pierwsze minuty najbardziej tragicznego pożaru lasów w portugalskiej historii.

– Ogień był 200 metrów stąd – Sherrie, 65-letnia Brytyjka, która od sześciu lat mieszka w Portugalii, pokazuje mi konkretne miejsce z balkonu. – Nie baliśmy się, bo dbamy o teren wokół domu i pilnujemy, żeby nie rosło tam nic, co może przenieść pożar. Ale wolałam nie ryzykować. Wsadziliśmy nasze cztery psy do samochodu i pojechaliśmy nad rzekę, jak najdalej od ognia. Po kilku godzinach zdawało się, że zagrożenie minęło.

Wrócili tylko po to, aby tuż przed godziną 21 zobaczyć – bo było jeszcze jasno – kolejny dym, tym razem nad lasem kilkaset metrów za ich domem, gdzie Sherrie i Graham mają pasiekę. A potem gasili ogień wodą ze szlaucha. Było już ciemno, Graham poślizgnął się, łamiąc kilka żeber. – Powiedziałam mu: „Leż tu i czekaj, ugaszę, to zawiozę cię do szpitala" – wspomina Sherrie.

Chwilę później w Valongo było już bezpiecznie.

Wszyscy, którzy przeżyli taki pożar, podkreślają, jak szybko ogień przemieszcza się i zajmuje nowe tereny.

Tamtej nocy Sherrie zawiozła męża do szpitala w Avelar. Po obu stronach drogi krajowej szalał ogień, na asfalcie leżały ↦

płonące pnie i gałęzie. Ale najgorzej Sherrie wspomina powrót do domu.

– W szpitalu niewiele mogli mężowi pomóc, nie było prądu, ogień pozrywał kable. Sprawdzili tylko, czy nie ma zagrożenia życia. Chciałam wrócić do domu, ale wszystkie drogi były zamknięte, straż pożarna kierowała ruchem, co chwilę nas zawracano. Wyjeżdżałam z Figueiró Dos Vinhos, gdy auto nagle ogarnęły płomienie. Zawróciłam w ostatniej chwili. Wtedy się poddałam, wróciłam do Figueiró i do szóstej rano koczowaliśmy na parkingu pod supermarketem.

Droga do Castanheiry

Sherrie i Graham przeprowadzili się do Portugalii, aby tu spędzać wymarzoną emeryturę. O płonących lasach myśleli jedno: *not gonna happen to me* (mnie się to nie przydarzy). I choć wtedy, w 2017 r., Sherrie ani mężowi nic poważnego się nie stało, przetrwał też ich dom, to kobieta do dziś zmaga się z zespołem stresu pourazowego.

– Od czasu pożaru zaczęłam płakać – mówi Sherrie. – Nie tylko, gdy opowiadam tę historię, ale w różnych sytuacjach. Tak jakbym miała zmniejszoną odporność na silne emocje. Nie jestem w stanie tego kontrolować.

Głos łamie jej się kilkukrotnie podczas naszej rozmowy. Najdłuższa cisza następuje, gdy Sherrie przypomina sobie, jak dym zmienił kolor na czarny. – Na początku myśleliśmy, że helikopter się rozbił, bo chwilę wcześniej zniknął nam z oczu. A to był dym znad drogi do Castanheiry – wspomina.

Pożary lasów rzadko zbierają tak tragiczne żniwo, jak ten w Pedrógão Grande z 2017 r. Z 66 ofiar śmiertelnych aż 47 osób straciło życie na drodze numer 236, która łączy Figueiró Dos Vinhos z Castanheira de Pêra: 30 osób zostało w samochodach i w nich zginęło, natomiast 17 podczas próby ucieczki – rosnące tuż przy drodze eukaliptusy zamieniły się w ścianę, a potem w kopułę z ognia, zaś silnikom samochodów i ich właścicielom zabrakło tlenu.

Żywioł

Takich historii jest i będzie coraz więcej. Jesienią 2021 r. południe Europy podsumowuje nie tylko wakacje i dochody z turystyki, ale też największe od ponad dekady pożary lasów. Tylko do 17 sierpnia 2021 r. w całej Unii Europejskiej spłonęło ponad 430 tys. hektarów lasu. To ponad dwa razy więcej niż średnia z lat 2008-20 w tym samym okresie. Naukowcy z unijnego obserwatorium atmosfery Copernicus uważają, że pożary na całej północnej półkuli tylko w lipcu i sierpniu wyemitowały 2,5 mld ton dwutlenku węgla – tyle, co Indie w ciągu całego roku.

W samej Portugalii wybucha nawet 7 tys. pożarów rocznie – to prawie 50 dziennie (według zeszłorocznego raportu WWF). Choć jest już jesień, w kilkunastu regionach nadal obowiązuje wysoki stopień zagrożenia. Przebieg i zasięg pożarów można dziś na żywo śledzić w specjalnych aplikacjach. Najgroźniejszy w 2021 r. okazał się sierpniowy pożar w okolicy Castro Marim: w niecałe dwa dni spłonęło 10 tys. hektarów lasu, a przez chwilę zagrożone były pełne turystów kurorty południowej prowincji Algarve.

Każdy większy pożar trafia tu na czołówki mediów. W relacjach na żywo z Castro Marim można było dowiedzieć się, jak szybko rozprzestrzenia się ogień (w najgorszym momencie 650 hektarów na godzinę), jak wygląda akcja ratunkowa (ponad 600 strażaków i osiem samolotów), zobaczyć zniszczenia i relacje ewakuowanych. Ci zwykle mówią o ogniu, potężnym huku i huraganowym

Brytyjka **SHERRIE SWEETMAN** *wraz z mężem Grahamem zamieszkali w Portugalii sześć lat temu, aby tu spędzić wymarzoną emeryturę. Valongo, 2021 r.*

Gdy tylko pojawiła się taka szansa, 20-letni **DIEGO RODRIGUES** *wyjechał stąd na studia. Do domu wraca jedynie na wakacje. Ventosa, 2021 r.*

Przewodnicząca lokalnego samorządu **FÁTIMA FIGUEIRAL** *uważa, że władze centralne traktują ten region po macoszemu. Ventosa, 2021 r.*

MARIA DE JESUS *ma 88 lat, w Ventosie mieszka od urodzenia. Podczas pożaru w 2017 r. z całego domu uratowała tylko piżamę, kurtkę i buty.*

wietrze – pożar potrzebuje ogromnych ilości tlenu.

Medialna uwaga zazwyczaj gaśnie wraz z ostatnimi żarzącymi się gałęziami, gdy zaczyna się najtrudniejsza część: odbudowa. Dlatego cztery lata po pożarach z 2017 r. wybrałem się do Pedrógão Grande i Vouzeli – okolic najbardziej wtedy dotkniętych.

Ostatni akt

Ventosa – wieś położona 2 km na południe od Vouzeli – swoją próbę ognia przeszła pięć miesięcy po tym, jak pożar spustoszył region Pedrógão Grande.

15 października po godzinie 23 Fátima Figueiral, przewodnicząca lokalnego samorządu, wybiegła przed dom i stwierdziła, że niebo jest pomarańczowe. Jej telefon dzwonił bez przerwy. Dziś mówi: – To był oczywiście ogromny cios, ale tak naprawdę pożar był ostatnim aktem zapaści, która dzieje się tu od lat.

W regionie Vouzeli pożar zabił wtedy osiem osób, z czego pięć w samej Ventosie.

Fátima Figueiral mówi o problemie widocznym w liczbach: centralna Portugalia się wyludnia. Oddalony od oceanu i od profitów z turystyki portugalski interior jest traktowany przez władze w Lizbonie po macoszemu. – O takich miejscach jak Ventosa mówi się tylko przez dwa miesiące po pożarze. Potem jesteśmy sami: bez inwestycji, rozwiązań, bez pieniędzy np. na rozsądne zarządzanie lasami czy komunikację – wylicza Fátima.

Nawet do 10-tysięcznej Vouzeli autobus z nadmorskiego Aveiro jedzie tylko trzy razy dziennie. Nic dziwnego, że kto może, ucieka stąd, szukając lepszych perspektyw w dużych miastach, jak Lizbona czy Porto. Ventosa ma dziś o 15 proc. mniej mieszkańców niż w 2011 r. Z kolei z Vouzeli w ciągu 10 lat wyjechał co dziesiąty mieszkaniec, a z Castanheira de Pêra co piąty. Są miejsca, gdzie ten exodus jest jeszcze szybszy.

20-letni Diego Rodrigues pochodzi z Ventosy. Gdy tylko pojawiła się szansa, wyjechał do Porto na studia ekonomiczne. Teraz wrócił do domu jedynie na wakacje. – Gdy myślę o przyszłości, o mojej pierwszej pracy, widzę Porto – mówi Diego. – Już przed 2017 r. życie tu było trudne i biedne. Pożar to po prostu kolejny problem. Za dużo tych problemów się robi, żeby tu zostać.

Starych drzew się nie przesadza

W Ventosie czy Valongo wiedzą, czym jest katastrofa klimatyczna: doświadczają jej każdego lata, niektórym odbiera dorobek życia.

W całej Europie ze względu na ekstremalne zjawiska pogodowe w latach 2008-19 swoje domy musiało opuścić 695 tys. ludzi (według danych Internal Displacement Monitoring Centre). Tak drastyczne próby zmieniający się klimat funduje nam coraz częściej. W 2016 r. mieliśmy w Europie 43 zjawiska pogodowe powodujące wysiedlenia, w 2020 r. już okrągłe sto. Najczęstszą przyczyną wysiedleń są powodzie, ale w Hiszpanii i Portugalii znacznie większy wpływ mają pożary lasów.

Na prowincji ten odpływ ludzi jest widoczny gołym okiem. Wszechobecne tabliczki „*Vende-se*" (sprzedam) na drzwiach i oknach domów, martwe ulice, niszczejące szkielety spalonych domów – tak coraz częściej wygląda portugalski interior. Zostają ci, którzy wyjechać nie mogą – najczęściej starsi.

Maria de Jesus ma 88 lat, w Ventosie mieszka od urodzenia. Podczas pożaru z 2017 r. z całego domu uratowała tylko piżamę, kurtkę i buty. Z domu zostały popękane z gorąca mury. Gdy bezpośrednio po pożarze do Ventosy spłynęła fala doraźnej pomocy, Maria otrzymała fundusze na odbudowę i wyposażenie domu. ↦

↦ Powrót do normalności trwał dwa lata, mieszkała wtedy u syna.

Gdy pytam, czy boi się następnego pożaru, kiwa głową. Gdy pytam, czy myślała, żeby się przeprowadzić, odpowiada portugalską wersją przysłowia: „Starych drzew się nie przesadza”.

Eukaliptus rośnie szybciej

Ludzie, którzy stąd wyjeżdżają, rzadko mówią wprost o pożarach – częściej o sytuacji ekonomicznej, o samotności. Ale ich odpływ tworzy błędne koło.

– Oczywiście pożarów jest więcej przez zmiany klimatu, ale to niejedyny czynnik – tłumaczy Fátima Figueiral. – Brak ludzi powoduje, że coraz więcej pól leży odłogiem, zarasta krzewami i drzewami. Dużym problemem są też lasy i zarządzanie nimi. W 2017 r. paliły się tu głównie sosny. Dziś na ich miejscu odrasta eukaliptus, którym nikt się nie zajmuje.

Słowo „eukaliptus” wielu Portugalczyków wypowiada ze strachem albo złością. To najbardziej łatwopalne i jedno z najszybciej rosnących drzew na świecie. Zupełnie nieodpowiednie w śródziemnomorskim klimacie – gdzie najczęściej spotkamy lokalne i dość ognioodporne gatunki sosny – ale za to gospodarczo opłacalne.

Kilkadziesiąt lat temu całe połacie Portugalii obsadzono plantacjami tego „zielonego złota”, robi się to zresztą do dziś. Właśnie przylegające do drogi plantacje eukaliptusów płonęły, gdy do tragedii doszło na drodze nr 236, dziś znanej w kraju jako „droga śmierci”.

Całe połacie kraju porastają plantacje „zielonego złota”. Eukaliptus to jedno z najszybciej rosnących drzew i bardzo łatwopalne.

Po pożarach z 2017 r. Portugalia wprowadziła nowe prawo: drzewa nie mogą rosnąć bliżej niż 10 metrów od drogi, a za ich wycięcie odpowiada właściciel lasu. Droga nr 236 jest dziś pokazowym przykładem realizacji nowych regulacji: regularnie wycina się eukaliptusy na poboczu, a co parę kilometrów stoją baseny z wodą, w których można się schronić w razie pożaru.

Problem w tym, że wystarczy skręcić z „drogi śmierci” i przejechać kilkaset metrów, by nowe prawo przestało istnieć. Na wąskim pasku asfaltu do Nodeirinho młode eukaliptusy już ocierają się o boki samochodu. Tak samo jest w Ventosie.

– Mamy dwóch pracowników, którzy zajmują się zielenią w całym sołectwie – mówi Fátima Figueiral. – Kontraktujemy zewnętrzne firmy, ale nie mamy tyle pieniędzy. Rząd w Lizbonie wprowadził piękne nowe prawo, ale zapomniał je sfinansować.

Cisza w Nodeirinho

Pożary rzadko są jedyną czy nawet główną przyczyną migracji. Za to odpływ ludzi jest często jedną z przyczyn pożarów. Im mniej mieszkańców, tym mniej pieniędzy i dbałości o teren dookoła wsi czy miasteczka, a więc tym bardziej tragiczne w skutkach pożary.

W Ventosie, z której – jak wspomnieliśmy – w ciągu dekady wyjechało kilkanaście procent mieszkańców, wiele domów służy dziś tylko jako letniskowe dacze.

Jak wielu starszych Brytyjczyków, którzy przyjechali tu na słoneczną emeryturę, Sherrie Sweetman jest zdeterminowana, by zostać w Valongo. Ale widzi, że sąsiadów ubywa jej z roku na rok.

20-letni Diego Rodrigues nie zostanie w Ventosie, a Fátima Figueiral nie ma dobrej propozycji dla takich jak on.

Wsie portugalskiego interioru pustoszeją, ale chyba w żadnej nie znalazłem takiej ciszy jak w Nodeirinho.

W 2017 r. zginęło tu 11 osób. O tamtych wydarzeniach przypomina dziś we wsi pomnik. Tu i tam widać wypalone szkielety domów. Na jednej z bram wisi ogłoszenie, że zaginął rudy kot imieniem Sushi. Na pozostałych bramach dominują tabliczki „*Vende-se*”. Prawie cała wieś jest do sprzedania. Panuje tu absolutna cisza.

Na okolicznych wzgórzach niebieskawe liście eukaliptusów otaczają spalone kikuty sosen. Te nowe drzewa mają co najwyżej cztery lata, a niektóre już dorastają do ośmiu metrów.

Przez godzinę w Nodeirinho nie spotykam ani jednego człowieka.

©℗ KRZYSZTOF STORY

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK POWSZECHNY Legimi

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JUAN MEDINA / REUTERS / FORUM

Pracownik sezonowy z Gambii w szklarni, której właścicielem jest Juan Jose Bonilla, do niedawna koordynator prawicowej partii VOX w El Ejido. Hiszpania, 2019 r.

W napięciu

AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z EL EJIDO (HISZPANIA)

Andaluzyjska gmina El Ejido to od lat prawicowy bastion Hiszpanii. To także region rolniczy, korzystający z pracy imigrantów. Jak to funkcjonuje? Pojechaliśmy tam z wizytą.

Kupujący dźwigają ogromne plastikowe torby, w powietrzu unosi się zapach świeżych pomarańczy. W ogólnym gwarze dominują głosy przekrzykujących się straganiarzy: „Dwa kilo za jedno euro!", „Najwyższa jakość!", „Tanio!". Najpierw po hiszpańsku, później także po arabsku. Jest środa, trwa cotygodniowy mercadillo: targ, na który zjechali się ze swoimi produktami sprzedawcy z pobliskich miejscowości.

Moją uwagę przykuwa rozmowa pewnego Mauretańczyka (jak się później okaże) z dwiema kobietami przy stoisku z damską odzieżą. Widząc mój aparat fotograficzny, chyba specjalnie stara się mówić głośniej. – Nie chcę tu dłużej mieszkać! – rzuca impulsywnie. Dopytuję, o co chodzi. – Przecież słyszałaś. Nie chcę tu mieszkać i już! To miasto jest rasistowskie.

Mężczyzna zapala papierosa, a drugą ręką próbuje założyć na manekin spodnie dresowe. – Ja do moich sąsiadów Hiszpanów zwracam się *„señor"*, *„usted"* – przywołuje tradycyjne formy grzecznościowe. – A oni do mnie *„negro"* czy *„moreno"*. Mam być dla nich czarnuchem? To niesprawiedliwe. Żyję tu 10 lat i mam dość – ucina rozmowę.

Trochę dalej, wśród straganów z warzywami, dwóch Hiszpanów usiadło przy stoliku i zajadają się winogronami. Obok stoi 50-latek w białym T-shircie z logo własnej firmy. – Spójrz, nie ma jeszcze trzynastej, a im już nie chce się pracować – mówi do mnie, wskazując na mężczyzn, i zaczyna się śmiać.

Vincent mieszka w oddalonej o niespełna 40 km Almerii i przyjeżdża tu co tydzień sprzedawać warzywa i owoce. – El Ejido nie jest tolerancyjne. Jest znane jako jedno z najbogatszych miejsc w Hiszpanii, ale poziom tolerancji wynosi tu zero – rzuca. – Dla mnie nie ma znaczenia kolor skóry czy rasa. Rozumiem, że imigranci szukają lepszego życia i nie mam nic przeciwko. Ale niech przyjeżdżają z pozwoleniem na pracę – zaznacza.

Jedna trzecia

Od 1991 r. burmistrzem El Ejido (stolicy gminy o tej samej nazwie) jest polityk centroprawicowej Partii Ludowej (PP). Tak jest również i dziś – choć po wygranych dwa lata temu wyborach regionalnych ludowcy z rady miasta podzielili się władzą ze skrajnie prawicową partią VOX, która urosła do rangi drugiej siły politycznej i ma sześciu przedstawicieli w 25-osobowej radzie. Jednak w lutym tego roku doszło do zmiany lokalnej koalicji rządzącej – powodem miały być wzajemne nieporozumienia – i teraz Partia Ludowa współrządzi w El Ejido razem z socjalistami z PSOE (to partia obecnego premiera rządu centralnego w Madrycie, Pedro Sáncheza).

Według danych Instituto Nacional de Estadística z ostatniego roku, aż jedną trzecią spośród 84 tys. mieszkańców gminy El Ejido stanowią imigranci.

– W skali całego kraju partia VOX zyskuje najbardziej dzięki temu, że krytykuje dążenia niepodległościowe Katalonii ↦

↦ – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" prof. Pablo Pumares Fernández, socjolog i dyrektor Centrum Studiów Migracyjnych z Uniwersytetu w Almerii (to 200-tysięczna stolica prowincji Almeria, w regionie Andaluzja). – Natomiast w zależności od tego, o jaki region Hiszpanii chodzi, lokalnie VOX odwołuje się do różnych innych kwestii i emocji. To może być antyfeminizm, sprzeciw wobec rosnącej roli kobiet, a także nacjonalizm czy migracje. Tutaj, w El Ejido, kluczowa jest właśnie kwestia migracji.

Partia VOX istnieje od ośmiu lat, a od dwóch jej reprezentanci zasiadają także w centralnym hiszpańskim parlamencie: w izbie niższej (Kongresie Deputowanych) zajmują niemało, bo 52 z 350 miejsc. A popularność VOX wciąż rośnie. Według sondażu dziennika „El Mundo" z września tego roku, gdyby ogólnokrajowe wybory parlamentarne odbyły się dziś, władzę w kraju przejęłaby Partia Ludowa, która aby uzyskać większość, prawdopodobnie weszłaby w koalicję ze skrajnie prawicową VOX (jej sympatycy woleliby zapewne określenie: narodowo-konserwatywna).

Nie chcą się nauczyć

Wracając z mercadillo, mijam kobiety w hidżabach, które na ławkach w cieniu wydają się odpoczywać po udanych zakupach. Obok postawiły wypchane po brzegi torby. W drodze na dworzec autobusowy widzę kobietę siedzącą z może 10-letnim synem przed ośrodkiem zdrowia. Zadaję kilka pytań, kobieta się uśmiecha, wydaje się rozumieć, ale na każde z pytań odpowiada tylko „tak", „nie" lub „dobrze". Po chwili prosi syna o przetłumaczenie.

Fátima mieszka tu od siedmiu lat, wraz ze swoją rodziną z Maroka żyją na przedmieściach El Ejido. To tutaj częste: kiedy imigranci muszą załatwić np. sprawy urzędowe, zabierają ze sobą swoje dzieci, które znają już język i występują w roli tłumaczy. One bowiem uczą się hiszpańskiego w lokalnych szkołach.

Na problemy językowe z imigrantami narzeka 89-letni Juan, który mieszka w pobliżu cmentarza. Wokół jego domu powstało mnóstwo szklarni, przy których zamieszkali pracujący w nich Marokańczycy.

– Przyjeżdżają tu bez znajomości języka i wcale nie chcą się go nauczyć. Nie integrują się. To trudne mieć przy sobie tylu ludzi i nie móc z nimi porozmawiać – mówi Juan, który od śmierci żony mieszka sam. Ich siedmioro dzieci już wiele lat temu wyprowadziło się z domu. Juan czuje się samotny. Żeby sobie z tym poradzić, przelewa słowa na papier, a wiersze gromadzi w szufladzie.

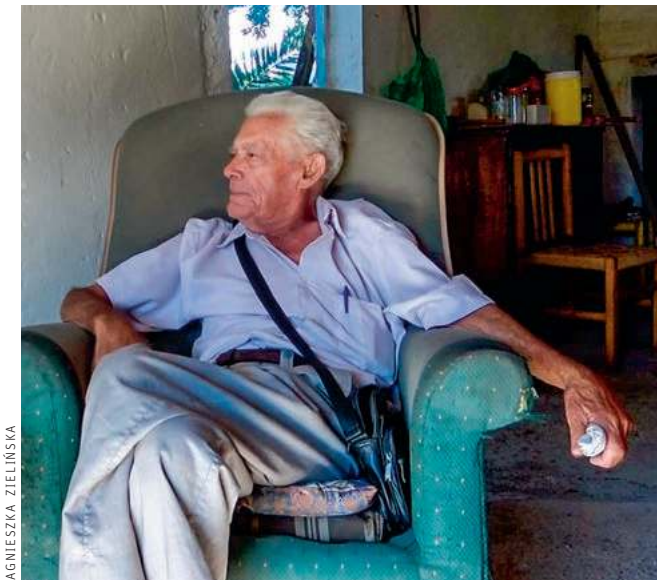

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Juan mieszka w El Ejido od 89 lat. Po śmierci żony żyje samotnie i ubolewa, że imigranci mieszkający po sąsiedzku nie znają hiszpańskiego, bo chętnie by z nimi porozmawiał. Październik 2021 r.

Na sprzedaż, na wynajem

Kiedy na głównym dworcu autobusowym czekam na miejski bus linii 11 lub 21, zagaduje mnie mężczyzna w średnim wieku. – Jedziesz do Almerimar, prawda? To zawsze przyciąga turystów – dodaje.

To prawda, w mieście nie ma wielu przyjezdnych, choć liczne plakaty informują o rozpoczynającej się następnego dnia 44. edycji Festiwalu Teatralnego. Nieliczni, którzy tu docierają, są raczej przejazdem w drodze na plaże w Almerimar.

Coraz mniej Hiszpanów chce mieszkać w centrum El Ejido. Przeprowadzają się do oddalonego o 8 kilometrów wspomnianego Almerimar, nadmorskiego kurortu. W efekcie koszt wynajmu mieszkania w El Ejido staje się niższy i bardziej przystępny dla imigrantów. Teraz, przechadzając się po mieście, niemal na każdej ulicy można znaleźć napisy: *„Se vende, se alquila"* (na sprzedaż, na wynajem).

Imigranci z El Ejido – pracujący we wszechobecnych tutaj szklarniach, gdzie uprawia się warzywa, owoce i kwiaty – dawnej pomieszkiwali w tzw. *asentamientos*, osadach nazywanych też dzielnicami biedy. Położone były one poza miastem, zwykle w pobliżu miejsca pracy. Obecnie wokół El Ejido pozostały zaledwie dwie takie typowe osady. Dla porównania: w całej prowincji Almeria jest ich wciąż około setki. Trudno to dokładnie oszacować, ponieważ ciągle powstają nowe, a niektóre są burzone.

Morze plastiku

Szklarnie, czyli ciągnące się kilometrami plastikowe tunele (plastik zastąpił używane kiedyś szkło w ich konstrukcji, ale nazwa pozostała), to cecha rozpoznawcza El Ejido. Okalają centrum miasta i rozpościerają się od Morza Śródziemnego aż po zbocza pobliskich gór. Łącznie zajmują 31 tys. hektarów, stanowiąc prawdopodobnie największe skupisko szklarni na świecie. Widoczne na zdjęciach zrobionych z kosmosu, z takiej perspektywy określane są jako *sea of plastic*, morze plastiku.

To właśnie szklarniom El Ejido zawdzięcza intensywny rozwój, zapoczątkowany w latach 80. XX w. (sama nazwa El Ejido znaczy dosłownie „pole na obrzeżach miasta"). Z czasem stały się one podstawą tutejszej gospodarki i źródłem zamożności mieszkańców. Uprawia się tu głównie paprykę, pomidory i cukinię: produkty, które trafiają na sklepowe półki w całej Europie, także w Polsce. Dzięki szklarniom uprawa warzyw może trwać cały rok.

Szacuje się, że El Ejido produkuje ponad 3 mln ton żywności rocznie, co zapewnia dochód o równowartości ponad 6 mld zł. Przyczyniają się do tego także imigranci z Afryki Subsaharyjskiej i Maroka, którzy stanowią dziś większość pracowników szklarni.

Gdy imigrant robi swoje

Pewne napięcie pomiędzy jednoczesną krytyką migracji i masowym zatrudnianiem imigrantów w szklarniach widział Juan Enciso, były burmistrz El Ejido i niegdyś członek Partii Ludowej. Jak mawiał: „O ósmej rano imigrantów jest mało. O ósmej wieczorem jest ich mnóstwo". Była to – czytelna tutaj – aluzja do faktu, że o poranku, gdy potrzeba rąk do pracy, właściciele szklarni chętnie zatrudniają imigrantów i wręcz narzekają, gdy nie znajdą ich w odpowiedniej liczbie. A potem, już po wykonanej robocie, ci sami ludzie najchętniej chcieliby, aby imigranci zniknęli z ich pola widzenia.

– Łamane są ich prawa dotyczące płacy minimalnej, warunków, w jakich pracują, czy prawa do odpoczynku – wylicza José García Cuevas ze Związku Zawodowego Pracowników Andaluzji SOC-SAT. I dodaje, że wielu polityków ma udziały w dużych firmach rolnych, które uprawiają warzywa. – Do tego dochodzi spektakularny rozwój tego miasta w tak krótkim czasie, migracja ludzi z różnych części świata i brak mieszkań. Już wiele lat temu doprowadziło to do ogromnej eksploatacji pracowników-imigrantów, ich marginalizacji oraz wykluczenia – uważa José García Cuevas.

Przykładem polityka-rolnika był Juan Jose Bonilla, do lipca koordynator partii VOX w El Ejido. Odszedł, jak uzasadniał lakonicznie, z powodu „rozbieżności" z partią. Wcześniej znany był jako polityk VOX, który swój kapitał publiczny budował na antyimigracyjnych hasłach. Zapytany w 2019 r. przez agencję Reuters, dlaczego w swoich szklarniach zatrudnia imigrantów, stwierdził, że w El Ejido potrzeba pracowników, natomiast nie potrzeba nielegalnych imigrantów i przestępców. „Zatrudniłem moich pracowników i pomogłem im zdobyć dokumenty" – mówił.

Zabójstwa i zamieszki

Na początku 2000 r. ojciec Bonilli został zamordowany przez Marokańczyka. W tamtym czasie, w ciągu zaledwie dwóch tygodni, miały tu miejsce trzy zabójstwa miejscowych Hiszpanów. Doprowadziło to do zamieszek w mieście. Czarę goryczy przelała ostatnia śmierć: 26-letniej Encarnación López, z rąk Marokańczyka, który leczył się psychiatrycznie.

Organizujący się mieszkańcy El Ejido przez trzy dni palili samochody i meczety, napadali na sklepy z obco brzmiącymi szyldami, a także na samych imigrantów, którzy w obawie chronili się na komisariatach policji. Aby zapanować nad chaosem, do El Ejido przybyły policyjne posiłki z Malagi, Walencji i nawet Madrytu. Podczas tamtych starć ranne zostały 22 osoby.

W księgarni w pobliżu Plaza Mayor, gdzie siedzibę mają władze miasta, znajduję książkę opowiadającą o tamtych wydarzeniach: „El Ejido: la ciudad-cortijo" (El Ejido: miasto-farma), którą napisali politolodzy i socjolodzy z Uniwersytetu w Almerii. Gdy proszę pracowniczkę księgarni o pokazanie książki, ta zaznacza z dumą, że mieszka tu od urodzenia, czyli od 46 lat. Gdy jednak zaczynam dopytywać o wydarzenia z 2000 r., jej twarz gwałtownie zmienia wyraz. – Przyjmujemy ludzi z całego świata, a później nazywają nas rasistami – oburza się. – Nie ↦

WAŻNE RADY: STOP UDAROM!

„SENIORADA. STOP UDAROM" to cykl porad kierowanych do osób 60+. Dotyczy m.in. żywienia, aktywności fizycznej osób starszych, badań wieku senioralnego, a przede wszystkim objawów i profilaktyki, takich jak np. udar mózgu.

GRZEGORZ NUREK: Czym jest udar mózgu i komu najbardziej zagraża?
MARIUSZ BAUMGART: Udar mózgu to nagłe zaburzenie czynności mózgu na skutek jego niedokrwienia lub krwotoku. Powoduje charakterystyczne objawy: niedowład kończyn górnych lub dolnych, zaburzenia mowy, trudności w rozpoznawaniu osób. Dotyka głównie ludzi po 60. roku życia, jednak ostatnio coraz częściej także osób młodych, co jest związane z chorobami cywilizacyjnymi.

Jak rozpoznać tę chorobę?
Używając akronimu słowa UDAR staraliśmy się przedstawić podstawowe objawy i zalecenia:
U – utrudniona mowa,
D – dłoń/ręka opadająca,
A – asymetria, opadający kącik ust,
R – reaguj natychmiast, wezwij karetkę pogotowia.

Co zrobić, gdy u bliskich dostrzeżemy objawy mogące wskazywać na udar mózgu?
Czas reakcji ma olbrzymie znaczenie. Jeśli pacjent szybko trafi na oddział ratunkowy, możemy nie tylko uratować mu życie, ale też zmniejszyć powikłania. Ludzie po udarach są w znaczącej części niepełnosprawni, bo zbyt późno trafiają do szpitala. Nie może być tak, że ktoś czuje drętwienie twarzy, bezwład kończyn i idzie spać z myślą, że rano mu przejdzie. Natychmiast trzeba wzywać karetkę pogotowia.

Ilu rocznie rodaków zmaga się z udarem mózgu?
W Polsce rocznie to 70-80 tys. nowych zachorowań. Około 55-60 proc. pacjentów po udarach jest trwale niepełnosprawnych. W krajach Europy Zachodniej to 40 proc.

Czym jest „Seniorada"?
„SENIORADA. STOP UDAROM" to cykl porad kierowanych do osób 60+, dotyczących żywienia, aktywności fizycznej, profilaktyki chorób serca

HELEN ROSSANT / ADOBE STOCK

i mózgu. Wiele chorób, takich jak nadciśnienie, cukrzyca, migotanie przedsionków, zwiększa ryzyko udaru mózgu. „SENIORADA" jest dostępna na stronie www.stopudarom.pl oraz na FB – Stop Udarom, w formie m.in. animacji edukacyjnych, nagrań wideo z wypowiedziami ekspertów i infografik z praktycznymi poradami.

Jakie badania powinni wykonywać seniorzy?
W ramach „SENIORADY" powstała infografika z podstawowymi badaniami. W domu pacjent może wykonać pomiar tętna oraz ciśnienia tętniczego krwi. Lekarz rodzinny może zlecić szereg badań podstawowych, np. badanie EKG monitorujące pracę serca czy lipidogram, który dostarcza informacji o poziomie cholesterolu, wskazując ryzyko wystąpienia choroby wieńcowej, zawału serca lub miażdżycy. Oznaczenie poziomu glukozy we krwi w porę ostrzeże nas o ryzyku cukrzycy. Warto te badania powtarzać. Samochód oddajemy do przeglądu raz w roku, a o przeglądzie stanu swojego zdrowia myślimy o wiele rzadziej.

O czym pamiętać? Diecie, aktywności fizycznej, rzuceniu palenia?
Powtarzamy pacjentom: trzeba kontrolować ciśnienie, poziom cukru we krwi czy tłuszczów i pamiętać o aktywności fizycznej. Według najnowszych wytycznych Światowej Organizacji Zdrowia powinniśmy aktywnie się ruszać co najmniej trzy razy po 45 minut tygodniowo. Ilu z nas znajduje czas na ruch? Osoby z dysfunkcjami też powinny aktywnie spędzać czas, aby zahamować proces choroby.

DR HAB. N. MED. MARIUSZ BAUMGART – prof. UMK, pełnomocnik ds. medycznych Stowarzyszenia „Udarowcy – Liczy się wsparcie!"

SENIORADA
WAŻNE RADY DLA SENIORA
www.stopudarom.pl

MATERIAŁ PROMOCYJNY W RAMACH KAMPANII STOP UDAROM

Na cotygodniowym targu w ogólnym gwarze dominują głosy sprzedawców zachwalających towar, najpierw po hiszpańsku, później także po arabsku. El Ejido. Październik 2021 r.

Jasmine i Fátima, nastolatki pochodzenia marokańskiego, urodziły się w El Ejido. Dla nich Hiszpania to już kraj rodzinny. Październik 2021 r.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA x2

↦ pozwolę, żeby ktoś źle mówił o El Ejido, proszę stąd natychmiast wyjść.

Każdy ma swoje życie

Temat jest drażliwy nie tylko dla Hiszpanów. Na ulicy Manolo Escobar, nazywanej Dzielnicą Arabską – ze względu na przewagę obco brzmiących szyldów sklepów i restauracji – ponawiam pytanie o atmosferę w mieście.

– Każdy ma swoje życie. Ja nie szukam problemów, chcę żyć ze wszystkimi w zgodzie. To wszystko – rzuca Omar i ucieka na zaplecze marokańskiej restauracji, w której pracuje.

Jednym z jej klientów jest Muhammad, od 15 lat mieszkający w Hiszpanii. – Wcześniej żyłem na północy Andaluzji, w Jaen. Spędziłem tam rok, pracując przy oliwkach, ale praca jest tam tylko w sezonie, dlatego przyjechałem tutaj. Teraz staram się o dokumenty dla mojej żony – opowiada.

Na ulicy Manolo Escobar spotykam też 17-letnią Fátimę i 19-letnią Jasminę, które spacerują wraz ze swoją mamą, ubraną w hidżab. Wracają właśnie ze szczepienia.

– W Hiszpanii jest dużo rasizmu – mówi Fátima perfekcyjnym hiszpańskim. – Pewnego dnia przechodziłam tędy i powiedzieli mi, żebym wracała do mojego kraju – dodaje. – Jestem pochodzenia marokańskiego, ale przecież urodziłam się tutaj. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Gdy to mówi, jej mama zaczyna krzyczeć na nią po arabsku. Najwyraźniej zrozumiała i nie spodobało jej się to, co powiedziała córka.

Bezrobotna

Tymczasem według hiszpańskiego MSW w lipcu poziom bezrobocia w El Ejido po raz pierwszy od siedmiu lat wzrósł do blisko 19 proc. (w całym kraju w drugim kwartale 2021 r. poziom bezrobocia wynosił ok. 15 proc., czyli trochę mniej niż przed wybuchem pandemii).

Na brak pracy skarży się wielu Hiszpanów, wśród nich rudowłosa María. Rozmawiamy przed jej zniszczonym domem, tuż za cmentarzem. Warunki życia w jej domu, jak sama mówi, są tak złe, że gmina odmówiła jej zameldowania.

– Od dłuższego czasu staram się o pracę w szklarniach czy firmie sprzątającej i nic. Trzy miesiące temu złożyłam dokumenty, aby dostać pomoc od państwa, ale powiedzieli mi, że nie jestem do tego uprawniona – opowiada.

Pracownicy organizacji pozarządowych przyznają, że praca imigrantów jest zwyczajnie tańsza niż praca Hiszpanów, bo ci pierwsi zgadzają się nie tylko na więcej godzin pracy, lecz także na niższe stawki. Przypominają, że imigranci z Afryki, którzy nie znają języka i tutejszych przepisów prawa pracy, łatwo padają ofiarami nadużyć.

Nie chcą, ale potrzebują

– Zależność tego regionu od sektora rolnego sprawia, że trzeba zatrudniać pracowników najemnych, czyli w praktyce imigrantów. To klucz do zrozumienia konfliktowej sytuacji w El Ejido. Z jednej strony mieszkańcy nie chcą imigrantów, ale z drugiej strony ich potrzebują. Rolnictwo jest przecież motorem wzrostu gospodarczego El Ejido – uważa Pablo Pumares Fernández z Uniwersytetu w Almerii.

Socjolog zauważa, że każda strona tego konfliktu ma swoją wersję – imigranci, którzy czują się wykluczeni i wykorzystywani do pracy, oraz mieszkańcy-Hiszpanie, którzy uważają, że przez ogromną liczbę imigrantów przestają być obywatelami we własnym kraju. Fernández uważa, że trzeba wypracować spójną politykę migracyjną i odrobić „zaległą lekcję z integracji", by nie powtórzyły się wydarzenia z 2000 r.

11 września El Ejido obchodziło el Día del Municipio, Dzień Gminy: tego dnia minęło 39 lat, odkąd oddzieliło się od pobliskiej gminy Dalías. Z tej okazji radni VOX opublikowali na swojej stronie na Facebooku nagranie wideo. Radna Almudena Martínez zauważa w nim, że od tego czasu El Ejido czterokrotnie zwiększyło liczbę mieszkańców. Mówi: „Stało się to dzięki przedsiębiorcom i rolnikom, a także ich rodzinom, które imigrowały do naszego miasta z innych miejscowości prowincji Almería, a także z la Alpujarra granadina", czyli ze wspólnoty 24 gmin z prowincji Granada.

W całym nagraniu nie ma padło ani jedno słowo o imigrantach z Afryki, którzy swoją pracą przyczyniają się do zamożności gminy.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Cienie po słonecznej stronie Alp

MARTA SZPALA Z LUBLANY (SŁOWENIA)

Kiedyś Janez Janša był symbolem walki o demokrację i wolność słowa – teraz sam je ogranicza. Kiedyś zjednoczył społeczeństwo – teraz, aby utrzymać się u władzy, coraz bardziej je dzieli.

Gdy na początku października przywódcy państw Unii Europejskiej zjeżdżali do Lublany, ulice sielskiej zazwyczaj stolicy Słowenii spowijały kłęby gazu łzawiącego.

Następnego dnia odbywał się szczyt Unia–Bałkany Zachodnie – priorytetowe dla rządu spotkanie w ramach sprawowanego obecnie przewodnictwa w Radzie Unii. Premier Janez Janša chciał pokazać się jako lider i adwokat państw regionu. Tak ważnej okazji nie mogli przepuścić przeciwnicy obostrzeń epidemicznych. Choć protesty nie były bardzo gwałtowne, policja użyła gazu łzawiącego i armatek wodnych. Wieczorem w centrum miasta nie dało się oddychać. – Nasza policja ostatnio tak ma – tłumaczył mi przechodzień. – Używa gazu, gdy tylko ma okazję. A tych nie brakuje.

– Lublana przywykła do demonstracji, bo my jako naród bardzo lubimy protestować – komentuje z uśmiechem Marko Balažić, analityk polityczny.

Szczególnie od wiosny 2020 r., gdy Janša – polityk, który jak nikt inny polaryzuje społeczeństwo – objął stanowisko premiera (wcześniej był nim w latach 2004-08 i 2012-13). Gdy w styczniu 2020 r. szef centrolewicowego rządu Marjan Šarec podał się do dymisji – licząc, że w przedterminowych wyborach poprawi wynik swojej partii – Janša wykorzystał okazję, aby wrócić do władzy. Dzięki poparciu posłów, którzy byli świadomi, iż nie mają szans na uzyskanie mandatu w kolejnych wyborach, po latach politycznej izolacji zdołał utworzyć rząd.

Bohater (części) narodu

Jak wielu słoweńskich polityków jego pokolenia, 63-letni dziś Janša zaczynał karierę w młodzieżówce partii komunistycznej. Wielu mu to wypomina, szczególnie w kontekście forsowanej dziś przez niego ostrej retoryki antykomunistycznej. Jednak faktem jest, że w drugiej połowie lat 80. XX w. to właśnie jego środowisko stało się – wraz z lewicową gazetą „Mladina" – ważnym ośrodkiem domagającym się demokratycznych przemian.

Jako absolwent studiów nad obronnością Janša z pozycji pacyfistycznych krytykował wtedy jugosłowiańską armię – instytucję będącą jednym z głównych filarów systemu komunistycznego. Nawet jego dzisiejsi przeciwnicy podkreślają, że w tamtych czasach było to aktem wyjątkowej odwagi. Ówczesny proces Jansy, który wraz z trzema kolegami został aresztowany pod zarzutem ujawnienia w artykułach prasowych tajemnic wojskowych, był impulsem, który doprowadził do zjednoczenia ruchów prodemokratycznych i proniepodległościowych – i do wybuchu Słoweńskiej Wiosny. W jego obronie na ulice niewielkiej, niespełna 300-tysięcznej Lublany wyszło rekordowe 40 tys. manifestantów.

W nowym rządzie Słowenii – wybranym już demokratycznie, choć kraj formalnie nadal wchodził w skład jugosłowiańskiej federacji i nie był niepodległy – Janša objął tekę ministra obrony. Pacyfistyczne poglądy poszły w zapomnienie: chętnie fotografował się na poligonach i przygotowywał się na konfrontację. Po ogłoszeniu niepodległości w czerwcu 1991 r. młode siły słoweńskie zmusiły armię jugosłowiańską do opuszczenia ↦

Aby uniknąć mandatu za udział w zakazanym zgromadzeniu, niektórzy organizują protesty rowerowe. Nie zawsze to pomaga. Na zdjęciu: antyrządowy protest w Lublanie, kwiecień 2021 r.

BORUT ZIVULOVIC / REUTERS / FORUM

↦ kraju. Wojna trwała zaledwie 10 dni. Do sławy antykomunistycznego dysydenta Janša dodał aurę obrońcy niepodległości i „bohatera naszej wojny". Na tych dwóch legendach buduje swoją pozycję do dziś.

Głębokie państwo

Dla wielu osób w Polsce czy na Bałkanach słoweński model stopniowej transformacji gospodarczej jest dziś wzorcowy. Kraj nigdy nie odnotował drastycznego spadku PKB, a przemysł pozostał w rodzimych rękach – beneficjentami prywatyzacji często była kadra zarządzająca. Społeczeństwo nie doświadczyło dramatycznej pauperyzacji ani znacznego wzrostu bezrobocia.

Jednocześnie proces ten miał swoje ciemne strony. Marko Balažić tłumaczy mi, że taka transformacja pozwoliła elitom komunistycznym na zachowanie kluczowej roli w gospodarce, instytucjach państwa i mediach. Dość powiedzieć, że to wieloletni przywódca Związku Komunistów Słowenii, Milan Kučan, został wybrany w 1990 r. na prezydenta.

Z biegiem lat o wszystkie swoje niepowodzenia Janša zaczął oskarżać „głębokie państwo", mające bronić swoich pozycji. Za głównych wrogów uznał krytykujących go dziennikarzy, którzy w jego optyce są obrońcami interesów starych elit. Paliwa dla takiej retoryki dostarczyło mu też ujawnienie przez fińską gazetę dokumentów wskazujących, że w 2006 r. Janša miał przyjąć łapówkę od koncernu Patria w związku z przetargiem na zakup transporterów opancerzonych. Skandal ten przyczynił się do porażki premiera w wyborach w 2008 r. Skazujący wyrok w tej sprawie (później uchylony) został przez Jansę uznany za motywowany politycznie i stał się pretekstem do ataków na wymiar sprawiedliwości.

Od tego czasu jego antykomunistyczna retoryka i postulat oczyszczenia państwa z roku na rok stawały się coraz radykalniejsze. Częściej też pojawiały się hasła gloryfikujące domobranów – lokalną formację samoobrony z czasu II wojny światowej, kolaborującą z Niemcami.

Podzielona lewica, zmobilizowana prawica

– Większość Słoweńców ma poglądy centrowe lub lewicowe – tłumaczy mi prof. Marko Lovec z Uniwersytetu z Lublanie. – Wiele osób z sentymentem wspomina czasy komunizmu, popularnością cieszą się hasła nawiązujące do sprawiedliwości społecznej, zwłaszcza biorąc pod uwagę rosnące nierówności.

Jednocześnie ta część sceny politycznej jest bardzo podzielona. Przy okazji każdych wyborów powstają ugrupowania tworzone przez nowicjuszy z niewielkim doświadczeniem. W konsekwencji od 2008 r. żaden rząd nie przetrwał całej kadencji, a wszystkie wybory były przedterminowe. Głównym spoiwem niestabilnych centrolewicowych koalicji jest niechęć do współrządzenia z Janšą, dla którego to kolejny dowód spisku elit.

Zupełnie inaczej wygląda prawa strona sceny politycznej. Kombinacja haseł antykomunistycznych, patriotycznej retoryki, krytyka mediów i instytucji państwa – wszystko to daje Janšy stabilne poparcie 20-30 proc. społeczeństwa. Kryzys migracyjny z lat 2015-16 dodatkowo skonsolidował to środowisko (przez Słowenię przeszło wtedy ponad pół miliona osób), a sam Janša zaczął mocno odwoływać się do antymigracyjnej retoryki oraz haseł o „obronie katolickiej Europy" i „prawdziwie europejskich wartości".

Jednak to, co mobilizuje i konsoliduje zwolenników obecnego premiera, powoduje też jego coraz większą izolację na scenie politycznej i budzi opór znacznej części społeczeństwa. Krytycy premiera argumentują, że jego osobiste poglądy są drugorzędne – interesuje go władza. Był już komunistą, pacyfistą, militarystą, gorącym zwolennikiem Unii (to za jego kadencji w ekspresowym tempie przyjęto euro), liberałem i adwokatem ostrych programów oszczędnościowych. Teraz popiera hojne programy społeczne skierowane przede wszystkim do jego wyborców. Wybiera taką narrację, która najlepiej służy jego karierze. A retoryka antyemigracyjna przysporzyła mu też jednego, za to ważnego sojusznika.

Sojusznik znad Dunaju

Historii dotyczących początków znajomości Janšy z Viktorem Orbánem krąży po Lublanie wiele. Jedni mówią, że ich zażyłość sięga lat 90. XX w.; inni, że dopiero kryzys migracyjny ich zbliżył. – Bliskie związki z Węgrami to nowość w słoweńskiej polityce – mówi Marko Lovec. Słowenia zawsze grawitowała w stronę Niemiec, dystansując się i od Europy Środkowej, i od Bałkanów.

Od kilku lat Węgrzy finansują media wspierające Jansę. Nie dość, że premier Węgier zyskał sojusznika w Unii, to jeszcze propaguje swoją narrację w kolejnym kraju – tak korzyści z inwestycji Orbána komentuje jeden z moich rozmówców. Po Lublanie krążą też plotki o przekazywaniu datków na partię Janšy przez oligarchów bliskich Orbánowi, co pozwoliło mu przetrwać czasy w opozycji.

Zyski dla Orbána są zresztą jeszcze większe. Za rządów Janšy węgierskie koncerny przejęły dużą sieć stacji benzynowych i drugi największy bank Słowenii. Marko Balažić uważa, że dla Janšy prywatyzacja i wprowadzenie większej konkurencyjności na rynku są narzędziem osłabiania pozycji postkomunistycznych elit. Samo w sobie nie jest to być może złym pomysłem, ale problemem jest tu brak transparentności.

Jansę od Orbána różni natomiast jedno: premier Słowenii ma bardzo krytyczny stosunek do Rosji i np. bardzo aktywnie popiera białoruską opozycję.

Co piątek nowy protest

Swoje kolejne rządy Janša zaczynał tradycyjnie od przejmowania kontroli nad instytucjami. Na pierwszy ogień szła policja, instytucje kultury (że zbyt mało patriotyczne) i państwowe media. Nie mogąc zmienić szefa Słoweńskiej Agencji Prasowej (STA), premier przestał ją finansować, co wywołało zaniepokojenie instytucji Unii.

Utworzony w marcu 2020 r., obecny rząd Janšy szybko jednak utracił większość, co ograniczyło jego możliwości wprowadzenia poważnych zmian instytucjonalnych. Wykorzystując więc pandemię, zaczął rządzić dekretami (część uchylił później Trybunał Konstytucyjny). Ponadto narzędziem walki politycznej stał się dla Janšy Twitter. Celem ataku są wszyscy, którzy mu się sprzeciwiają: sędziowie, prokuratorzy, urzędnicy, media, lekarze i w ogóle niezależne instytucje. Premier słynie też z tego, że źle reaguje na krytykę i jest apodyktyczny. To właśnie ten arogancki styl rządzenia w połączeniu z agresywną retoryką wobec przeciwników budzą największy opór społeczny i protesty.

W każdy piątek, już od ponad roku, przeciwnicy rządu wychodzą na ulice, domagając się dymisji premiera. Gdy rząd ograniczył wolność zgromadzeń, powstała idea protestów rowerowych, a rower stał się symbolem oporu wobec władzy.

Posypały się też mandaty. Jak mówi mi młoda dziennikarka Lea, z którą spoty-

MARTA SZPALA x2

Demonstracja antyrządowa w Lublanie, 5 października 2021 r.

kam się w jednej z licznych kawiarni nad brzegiem Lublanicy, protestujący otrzymali mandaty o łącznej wysokości ponad 2 mln euro. Wystawiano je nawet za logo protestów na parasolach i ubraniu.

Lea mówi, że premier chciał też przeforsować w parlamencie kary w wysokości tysiąca euro dla osób, które nie okazują szacunku przedstawicielom organów państwa. Złożył też doniesienie do prokuratury, że protestujący grożą mu śmiercią – poszło o hasło „Śmierć janszyzmu, wolność dla narodu!". Uczestnicy demonstracji ripostują, że protestują przeciw ideologii, którą reprezentuje Janša.

Frustracja na ulicach

Skutkiem nieufności do rządu jest niski poziom wyszczepienia – Słowenia zajmuje w Unii szóste miejsce od końca. Jeszcze pod koniec września zaszczepiona było mniej niż połowa społeczeństwa, a ponad 25 proc. deklarowało, że nigdy się nie zaszczepi.

Aby skłonić ludzi do szczepień, rząd wybrał drogę restrykcji. W Lublanie, aby wejść do kawiarni, instytucji publicznej, autobusu, sklepu czy na uczelnię, trzeba okazać certyfikat, lokalną wersję paszportu covidowego. Od 1 października zaszczepieni mieli być wszyscy pracownicy sektora publicznego (ostatecznie decyzję tę zawiesił Trybunał Konstytucyjny).

Rząd promował zwłaszcza jednodawkowe szczepionki Johnson&Johnson. Pod koniec września informacja o śmierci dwudziestokilkuletniej dziewczyny dwa tygodnie po przyjęciu szczepionki sprawiła, że na ulice wyszły tysiące ludzi protestujących przeciw restrykcjom. Dotąd protestowali przeciwnicy Janšy, teraz protestuje także część jego dotychczasowych zwolenników. Nie ma tygodnia bez doniesień o kolejnej demonstracji.

Według badań Eurobarometru 62 proc. Słoweńców krytycznie ocenia działania rządu w walce z epidemią. Bardziej negatywne oceny w Unii zbierają tylko rządy Litwy i Słowacji. Aby jak najszybciej zdusić pandemię, słoweńskie władze wprowadziły też inne ostre restrykcje: długą godzinę policyjną i zakaz poruszania się między gminami.

W efekcie w społeczeństwie narastało poczucie, że rząd walczy z pandemią, uderzając w ludzi mieszkających w miastach i w młodszych, którzy nie są wyborcami Janšy. Dodatkowo pogłębiło to społeczną polaryzację. Rządowi zarzuca się podejmowanie arbitralnych decyzji, sprzecznych z zaleceniami lekarzy.

Polaryzacja jako strategia

Według Žigi Faktora, analityka think tanku Europeum, to, co się dziś dzieje, to tylko preludium. Celem Janšy jest wygranie wyborów, które odbędą się najpóźniej w czerwcu 2022 r. Główną jego strategią jest polaryzacja i agresywna retoryka, co ma doprowadzić do mobilizacji jego zwolenników.

Redaktor naczelny gazety „Mladina" Jure Trampuš tłumaczy mi, że działania Janšy mają na celu zastraszanie obywateli i utwierdzanie ich w przekonaniu, że kraj jest pogrążony w chaosie. Może się bowiem wtedy prezentować jako ten jedyny, który uratuje kraj – tak jak w 1991 r. Być może dlatego policja tak gwałtownie reaguje na pokojowe w sumie protesty na ulicach Lublany.

Ostatnio celem ataków Janšy stały się też instytucje Unii, zaniepokojone sytuacją w Słowenii. Choć premier podkreśla, że obiektem jego krytyki nie jest Unia jako taka, lecz unijni politycy, którzy mają nie rozumieć dynamiki jego kraju, jest to ryzykowna strategia.

Wszyscy moi rozmówcy podkreślają, że Słoweńcy są bardzo proeuropejskim narodem. Badania wskazują też, że 69 proc. z nich popiera przekazywanie szerszych kompetencji instytucjom unijnym. – Dla słoweńskiej gospodarki, uzależnionej w dużym stopniu od eksportu, wyjście z Unii Europejskiej byłoby samobójstwem – mówi mi prof. Marko Lovec.

Jak to się mówi w Słowenii: gdy Niemcy kichną, Słowenia ma gorączkę. Dobrze obrazuje to charakter powiązań z najsilniejszą gospodarką w Unii.

Post od Twittera?

W październiku w Słowenii przebywała delegacja Parlamentu Europejskiego, aby zbadać stan praworządności i wolności słowa. Przedstawiciele władz odmówili spotkania z europarlamentarzystami. Ci stwierdzili w konkluzjach ze swej podróży, że mimo silnych nacisków ze strony władz niezależne instytucje działają sprawnie.

Europarlamentarzyści podkreślili też jednak, że atmosfera ciągłego konfliktu negatywnie wpływa na sytuację w kraju. Jedna z europosłanek żartobliwie zaleciła słoweńskim politykom ograniczenie korzystania z Twittera.

Przed wyborami parlamentarnymi nie ma na to szans. Janša nie zrezygnuje z narzędzia, które w jego ocenie pozwala mu bezpośrednio kontaktować się z wyborcami i utrzymać się na fali od wielu lat.

© MARTA SZPALA

CO MÓWIĄ GROBY

Warto ich słuchać. Wiele z nich dopomina się, by opowiedzieć do końca historie leżących w nich ludzi. To nie zawsze możliwe, ale czasem wysiłek przynosi efekty.

DAWID GOLIK

Otaczają nas i do nas przemawiają. Choć na co dzień nie zdajemy sobie z tego sprawy, to natrafić możemy na nie właściwie wszędzie, w najmniej spodziewanych miejscach.

Wyjątkowe przesłanie dotyczy grobów z II wojny światowej i pierwszych lat po jej zakończeniu. Nie wszystkie bowiem wiążą się z ofiarą, heroizmem i martyrologią. Oczywiście, w opowieści o nich często pojawia się brąz. Ale częste są też odcienie szarości.

Za tyle naszych klęsk

Myśląc o wojnie, najpierw wyobrażamy sobie sceny przesuwającego się frontu. Pojawiają się w opracowaniach historyków i relacjach świadków. W Małopolsce, która posłuży jako tło tych rozważań, są to wydarzenia z gorącego września 1939 r., a także opowieści o wkroczeniu Armii Czerwonej w styczniu 1945 r. I w jednym, i w drugim przypadku walki frontowe oznaczały ofiary – wojskowe i cywilne.

Po wojnie w wielu zakątkach Polski można było odnaleźć ukryte wśród pól i lasów cmentarzyki, gdzie na drewnianych, a później betonowych już krzyżach wisiały hełmy poległych w 1939 r. Przerdzewiałe, z czasem znikały – rozpadały się lub trafiały na giełdy staroci. Mogiły zostały, a część z nich zamieniła się w miejsca pamięci.

Jednym z nich jest cmentarz w sercu Puszczy Niepołomickiej, na uroczysku Osikówka. Spoczywa tu 52 żołnierzy ze 156. Rezerwowego Pułku Piechoty, których 9 września otoczył w tym miejscu Wehrmacht. Po bitwie zwycięzcy nakazali miejscowej ludności pochować Polaków w zbiorowych mogiłach. Obok urządzili kwaterę siedmiu swoich poległych.

Kilkudziesięciu Polaków i kilku Niemców. Skąd taka dysproporcja? Gdy przyjrzymy się temu starciu i relacjom świadków, okaże się, że Niemcy nie udzielali rannym wrogom pomocy, że ich dobijali. Czy stało za tym tylko bestialstwo i nazistowska ideologia?

Niekoniecznie. Podczas nocnego biwaku poprzedzającego bitwę, odcięci od swoich jednostek Polacy byli przemęczeni, morale w oddziale niskie. Zdarzały się wypadki samowoli i lekceważenia rozkazów. Wtedy to, wbrew wyraźnemu sprzeciwowi jednego z oficerów, zakłuto bagnetami wziętego do niewoli dwa dni wcześniej Niemca. Z relacji wynika, że żołnierze mieli przy tym mówić: „Za tyle naszych klęsk giń i ty". Może to właśnie ten fakt, ujawniony już po starciu, sprawił, że wobec Polaków postąpiono tak bezwzględnie?

To niejedyna tajemnica związana z tym miejscem. Poległych było bowiem najprawdopodobniej więcej, niż leży w zadbanej dziś leśnej kwaterze. Gdy po kilkunastu tygodniach pobojowisko przeszukiwał pewien młody człowiek (przyszły żołnierz ZWZ-AK), zbierający porzuconą broń i amunicję, natknął się w gęstwinie na szczątki. Przestraszony, nie pochował ciała. Niewykluczone, że ten polski żołnierz czeka na swoją mogiłę do dziś.

W dolinie Dunajca

Kilka miesięcy po zakończeniu wrześniowych walk, na początku 1940 r., Niemcy zaczęli akcję ekshumacji swoich poległych i przenoszenia ich na kwatery wojenne oraz specjalnie urządzone cmentarze. Równolegle porządkowaniem mogił zajmował się Polski Czerwony Krzyż – choć w jego wypadku chodziło raczej o skatalogowanie grobów Polaków niż o tworzenie nowych miejsc pochówku.

O ile Niemcy podchodzili do sprawy urzędowo i skrupulatnie, o tyle w przypadku żołnierzy Wojska Polskiego wiele zależało od miejscowych. Jeżeli przykładali wagę do grobów, mogiły miały szansę ↦

ZE ZBIORÓW RALPHA BROOKSA

Partyzanci IV batalionu 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK przy grobie poległych kolegów, „Brzozy" i „Szarotki". Ochotnica Dolna, 1944 r.

↦ na opisanie i z reguły przetrwały do dziś. Jeśli nie – znikały z prywatnych pól i lasów, jak też z parafialnych cmentarzy.

Niewykluczone, że taki właśnie los przypadł polskim obrońcom doliny Dunajca w Tylmanowej, których mogił do dziś nie udało się odnaleźć. Z kolei z przestrzeni pobliskiego cmentarza w Ochotnicy Dolnej, ale też z pamięci samych górali, zniknął zbiorowy grób naszych przeciwników – żołnierzy słowackich, którzy w 1939 r. atakowali wzdłuż doliny. W przeciwieństwie do Niemców, ich nie miał kto ekshumować, państwo słowackie [z lat 1939-45 – red.] o nich się nie zatroszczyło. Dziś w miejscu, gdzie jeszcze w latach 50. XX w. był ich oznaczony grób, są współczesne pochówki.

Pod śmietnikiem

Także przejście frontu w 1945 r. pozostawiło po sobie w Małopolsce wiele mogił, głównie żołnierzy niemieckich i sowieckich.

Te ostatnie doczekały się z reguły uporządkowania podczas dużej akcji prowadzonej kilka lat po wojnie. W wielu przypadkach szczątki poległych wykorzystywano też jako swoisty fundament dla powstających w różnych miejscowościach, bynajmniej nie w sposób spontaniczny, tzw. pomników wdzięczności dla Armii Czerwonej.

Los grobów „znienawidzonych hitlerowców" był dużo gorszy i właściwie do dziś trwają prace – realizowane na zlecenie niemieckich władz federalnych – mające na celu godne ich pochowanie. Takim z całą pewnością nie było „uporządkowanie" ich kwatery, przeprowadzone w 1948 r. na cmentarzu Rakowickim w Krakowie. W ciągu trzech miesięcy ponad tysiąc Niemców wykopano z ich dotychczasowych imiennych grobów (powstałych w czasie okupacji; byli to głównie ranni, którzy zmarli w krakowskich szpitalach), po czym wrzucono do dwóch masowych dołów. Ich ekshumacja – spod cmentarnej toalety i alejki prowadzącej do śmietnika – odbyła się dopiero w 2020 r.

Długo też, bo do 1996 r., na swoją ekshumację musieli czekać żołnierze niemieccy pochowani w gorczańskiej Szczawie. Niemal czterdziestu z nich wziął do niewoli akowski patrol, aby następnie przekazać ich partyzantom sowieckim. Ci z kolei zdecydowali o ich zabiciu. W marcu 1945 r. podobną egzekucję, mającą miejsce w rejonie Nowego Sącza, relacjonował Niemcom sowiecki dezerter. Wspominał, że niemieccy jeńcy zostali pozbawieni odzieży, po czym Sowieci zmuszali ich do upadlających pojedynków na pięści. I dodawał: „Każdy, kto padł z wyczerpania, zostawał zastrzelony z pistoletu maszynowego".

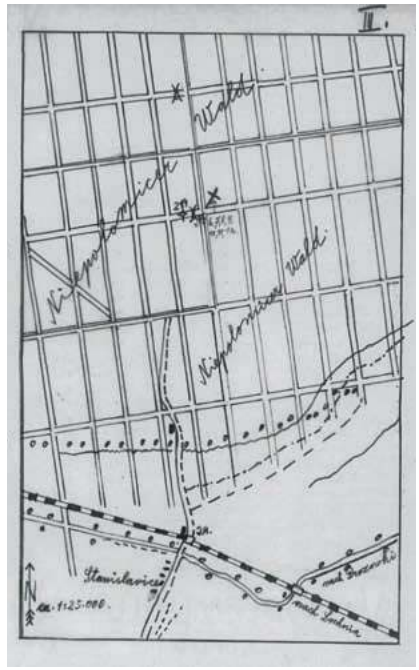

ZBIORY NATIONAL ARCHIVES AND RECORD ADMINISTRATION

Niemiecka mapa pokazująca lokalizację grobów z 1939 r. na terenie Puszczy Niepołomickiej.

Krzyże w Gorcach

W pierwszym wydaniu przewodnika „Gorce" z 1959 r., jego autor Józef Nyka (podczas wojny żołnierz AK, potem taternik) wspomina o polanie Bieniowe, leżącej przy szlaku z Gorca na Turbacz. Notuje: „W zaroślach można odszukać krzyż na grobie jednego z poległych partyzantów". Chodziło o grób Władysława Pisarskiego pseudonim „Piwonia", rannego w walce z obławą w październiku 1944 r., a następnie dobitego przez Niemców. „Piwonię" po kilku dniach pogrzebali jego koledzy z IV batalionu 1. Pułku Strzelców Podhalańskich AK.

Miesiąc wcześniej w okolicy miały miejsce dwa inne partyzanckie pogrzeby: na cmentarzu w Ochotnicy Górnej pochowano zastrzelonego w pobliżu Knurowa kierowcę akowskiego samochodu, Władysława Oczkosia „Władka". Z kolei w Ochotnicy Dolnej pogrzebano dwóch innych akowców poległych obok schroniska na Lubaniu: Aleksandra Krzystyniaka „Szarotkę" i Ignacego Gorczewskiego „Brzozę". Ich pochówek miał mieć charakter uroczysty, stąd też zgromadzeni nad świeżym grobem partyzanci polscy i sowieccy postanowili oddać salwę honorową.

Wykonano ją fatalnie: śmiertelnie postrzelony został odprawiający pogrzeb ksiądz Jan Chojnacki. Grób duchownego, który na Podhale trafił jako uciekinier z Kresów, znajduje się na miejscowym cmentarzu do dziś. Nie ma już natomiast upamiętnienia partyzantów: jednego przeniesiono do grobu rodzinnego w Nowym Targu, mogiła drugiego zniknęła zaś pod współczesnymi nagrobkami.

Drugie życie

Wielu partyzantów po wojnie ekshumowano. Tak stało się m.in. z grobami akowców ze zgrupowania „Murawa", których chowano na górze Grodzisko nad Poznachowicami Górnymi (powiat Myślenice). W podobny sposób postąpiono z leśnymi mogiłami na Wyrębiskach Zalesiańskich (powiat Limanowa), które były zlokalizowane obok miejsca, gdzie w czasie wojny odprawiano partyzanckie msze.

O ile jednak fakt pochówku i istnienia mogił silnie wpisywał się w świadomość lokalnych społeczności, o tyle ich ekshumacje i przeniesienie szczątków na cmentarze parafialne już nie. Bywało, że puste mogiły uzyskiwały „drugie życie", zasiedlane też były nowymi legendami. Niekiedy dopiero podjęcie próby ich przebadania pozwala przekonać miejscowych opiekunów, że pod odnowionym brzozowym krzyżem nikt już nie leży.

Ale bywa również, że z biegiem lat pamięć o mogiłach się zaciera. Kilka metrów od grobu wspomnianego „Władka" na cmentarzu w Ochotnicy Górnej pochowano wiosną 1945 r. Jana Chariasza „Blondyna" – partyzanta z oddziału „Ognia", poległego w walce z sowiecką obławą. Obie mogiły znane były przez kilkadziesiąt lat jako „grób nieznanego partyzanta" i „grób nieznanego żołnierza". I choć dziś mają imienne tablice, wspominające obu poległych, nie jesteśmy w stanie z całą pewnością stwierdzić, czy ustawiono je na właściwych mogiłach.

Nie tylko zdrajcy

„Lis", „Hugo", „Krokus" i „Kiełbaska" – to pseudonimy czterech partyzantów AK, zbiegów z „granatowej" policji, których koledzy-akowcy rozstrzelali pod zarzutem planowania buntu w oddziale. Leśny grób tej czwórki wciąż znajduje się na terenie jednego z góralskich osiedli w Gor-

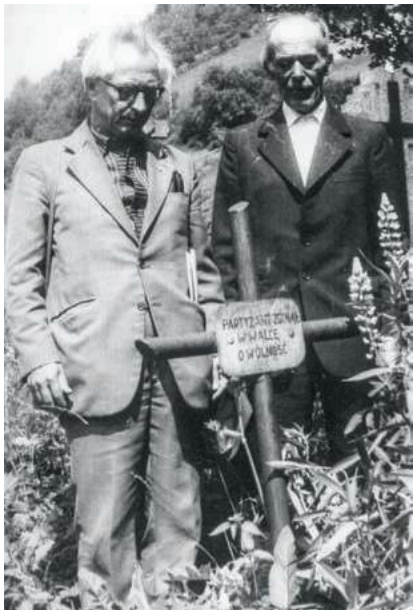

ZE ZBIORÓW WŁODZIMIERZA BUDARKIEWICZA

Byli partyzanci nad grobem Władysława Oczkosia „Władka" w Ochotnicy Górnej w 1977 r. Nie ma jednak pewności, czy nie jest to w rzeczywistości mogiła Jana Chariasza „Blondyna".

ZE ZBIORÓW DAWIDA GOLIKA

Mogiła dwóch niemieckich żołnierzy poległych pod Starym Sączem 5 września 1939 r. Rok później ich szczątki zostały przeniesione na cmentarz do Bielska (miasto było wtedy włączone do III Rzeszy).

cach. Do niedawna palono na nim znicze i opiekowano się jak mogiłą wojenną, nie zdając sobie sprawy, że leżą w nim ludzie, którzy poza niesubordynacją zamieszani też byli m.in. w rabunek i morderstwo.

Własne szeregi podziemie oczyszczało nie tylko ze zdemoralizowanych wojną jednostek, ale też z osób, które współpracowały z wrogiem. W listopadzie 1944 r. w pobliżu akowskiego obozowiska zabity został były funkcjonariusz policji kryminalnej, Michał Mnichowski. Trafił on kilka miesięcy wcześniej do partyzantki i służył w jej szeregach pod pseudonimem „Żbik". Akowski kontrwywiad cały czas sprawdzał jednak jego niejasną przeszłość i okazało się, że był on odpowiedzialny m.in. za mordowanie Żydów i niemieckie akcje prowokacyjne w powiecie miechowskim. W takiej sytuacji wyrok mógł być tylko jeden.

Podobnie jak w przypadku innego akowca o pseudonimie „Arsen", którego przyłapano z końcem 1944 r. na tajnych rozmowach z oficerami NKWD, którym przekazywał informacje o miejscowej konspiracji. Zastrzelono go obok partyzanckich kwater. Mieszkańcy opowiadają, że po wojnie próbowano oznaczyć to miejsce krzyżem, ale właściciel terenu każdorazowo go usuwał. Dziś to ledwie widoczny kopczyk pośród krzaków.

Najwięcej mogił osób, które zginęły z rąk członków podziemia w czasie wojny i po jej zakończeniu, nie znajdziemy jednak w leśnych ostępach, lecz na cmentarzach. I niemal każda z nich wzbudza jakieś kontrowersje, wątpliwości, pytania.

Tak jest w przypadku Lubomierza nieopodal Mszany Górnej, gdzie na miejscowym cmentarzu partyzanci kazali grabarzowi nocą wykopać mogiłę. Po wykonaniu zadania odesłali go do domu, a rankiem zastał on zasypany już dół. Gdy po latach przygotowywano w tym miejscu kolejny pochówek, natrafiono na szczątki dwóch osób. Czy byli to żołnierze podziemia pochowani przez swoich, czy może konfidenci, po których „słuch miał zaginąć" – tego dziś nie sposób już ustalić.

W każdej gminie

Szczególny charakter mają groby zbiorowe, przede wszystkim te związane z niemieckimi akcjami pacyfikacyjnymi. Zlokalizowane w miejscach straceń, jak dawne wyrobiska, leśne przecinki czy po prostu pola – przypominają o tragediach całych lokalnych społeczności. Skrywają zagrażające niemieckiemu panowaniu polskie elity, ludzi związanych z konspiracją, skazanych na zagładę Żydów, więźniów, a także tzw. zakładników, których nazwiska widniały na „afiszach śmierci".

Właściwie w każdej polskiej gminie można natrafić na takie miejsca. Niekiedy jest to rzeczywista mogiła – jak ta w podkrakowskim Kaszowie, skrywająca ofiary pacyfikacji tej wsi 1 lipca 1943 r. Często jednak ciała z prowizorycznych grobów ekshumowano – zabierano z miejsca kaźni i chowano na cmentarzach.

Bywa i tak, że cmentarne upamiętnienia są mylące. Np. w Waksmundzie ofiary niemieckich represji, choć zginęły w różnych okolicznościach i różnym czasie, rzeczywiście spoczywają w zbiorowej kwaterze, znajdującej się w centralnej części cmentarza. Natomiast w Ochotnicy Dolnej główny monument – określany często jako wspólna mogiła ofiar „krwawej wigilii" z grudnia 1944 r. – to w dużej mierze miejsce symboliczne, bo większość ofiar tej pacyfikacji pochowano w kilkunastu punktach cmentarza, w grobach rodzinnych.

Więcej badań, więcej pytań

Problemem mogą być też prawdziwe groby w nieodpowiedni jednak sposób opisane. Dotyczy to np. Glinnika, miejsca w zachodniej części Krakowa, niedaleko Lasu Wolskiego. Przez lata utrzymywano, że miejsce to może skrywać nawet tysiąc ofiar. Najnowsze badania, w tym prowadzone tam prace archeologiczne, nie potwierdziły tych szacunków, obniżając liczbę pochowanych do 125 (tylu odnaleziono).

Nie jest też jasne, kto dokładnie w Glinniku spoczywa, bo część nazwisk łączonych dotąd z tym miejscem odnajdujemy w księgach cmentarza Rakowickiego w Krakowie, gdzie w rzeczywistości ich ↦

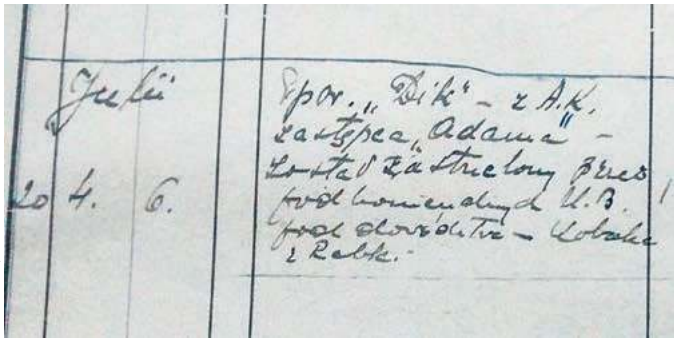

ZBIGNIEW JAROSZ

Adnotacja w księdze zmarłych parafii w Olszówce dotycząca ppor. Zbigniewa Kondala „Dicka”.

MARTA GORAJCZAK

Tabliczka na mogile nieznanego żołnierza we wsi Nieporaz (pow. chrzanowski). Podczas badań okazało się, że grób kryje szczątki dwóch osób. Ustalanie ich tożsamości trwa.

pochowano. Z kolei już teraz wiadomo, że wśród ofiar odnalezionych w czasie prac archeologicznych byli nie tylko więźniowie przywożeni tam na rozstrzelanie z więzienia przy ul. Senackiej w Krakowie, lecz także osoby niebrane dotąd pod uwagę. Wśród zamordowanych ujawniono bowiem m.in. Zofię Eichenbaum – Żydówkę prawdopodobnie ukrywającą się po tzw. aryjskiej stronie, której nazwiska z tym miejscem nigdy wcześniej nie łączono.

Z kolei w jednej z jam grobowych natrafiono na szczątki mężczyzny w niemieckim mundurze oficerskim. Pojawia się zatem pytanie, czy okupanci wykonywali też w Glinniku wyroki na obywatelach niemieckich?

Nieoznaczone, nieupamiętnione

Warto opowiedzieć także o grobach, które nie mogą nikogo wprowadzać w błąd, gdyż w ogóle nie zostały jeszcze oznaczone, zbadane czy upamiętnione.

Dotyczy to szczególnie nieuporządkowanych po wojnie mogił ofiar Zagłady. Zlokalizowane często na terenach prywatnych, bywają wstydliwym problemem, który czeka na rozwiązanie. Takim może być ekshumacja – w szczególnych okolicznościach, jeśli mogiły są zagrożone. Częściej jednak liczyć trzeba na życzliwość właścicieli terenu i skromne przynajmniej upamiętnienie.

O mogiłach takich dowiadujemy się z akt powojennych śledztw, ale także z relacji mieszkańców. Bywa, że są to większe groby zbiorowe, jednak większość to mogiły kilku osób lub pojedyncze. Niedawno na ślad takiej natrafiono w lesie Bór pod Nowym Targiem, gdzie niemiecka policja dokonywała doraźnych egzekucji. Część mogił po wojnie ekshumowano, inne nigdy nie zostały znalezione. Zdarzały się też przypadki, że bliscy – dowiedziawszy się o miejscu śmierci konkretnej osoby – rozkopywali grób i zabierali tylko jedno konkretne ciało. Obcych, nierozpoznanych, pozostawiano.

Właśnie tak stało się po starciu Oddziału Samoobrony AK „Szerszeń” z Sowietami w Sierockim (powiat tatrzański) w czerwcu 1945 r., gdy miejscowi pogrzebali na miejscu dwóch zabitych partyzantów. Jeden pochodził jednak z Zakopanego, więc rodzina zabrała go po kilku dniach na cmentarz. Drugi nie miał tyle szczęścia, gdyż przybył do oddziału z Żywiecczyzny.

Na nieoznaczone, zapomniane groby bardzo ciężko natrafić. Czasem pomagają w tym kosztowne badania geofizyczne i archeologiczne lub pomoc tzw. poszukiwaczy skarbów z detektorami metali. Przed kilkoma laty właśnie za pomocą takiego wykrywacza miejscowy pasjonat historii zlokalizował grób kilkunastu żołnierzy niemieckich w miejscowości Młynne (powiat Limanowa). Pod płytką warstwą ziemi znalazł zardzewiały magazynek do karabinu, a 30 centymetrów niżej pojawiły się ludzkie kości.

Paradoksalnie ów przerdzewiały kawałek stali był jedynym metalowym przedmiotem ujawnionym w tym miejscu. Gdyby nie on, na szczątki najprawdopodobniej nie udałoby się nigdy natrafić.

Warto słuchać

Grobów warto szukać – zwłaszcza gdy robimy to dla rodzin, które od dziesiątków lat nie mogą ustalić, co stało się z ich bliskimi, lub pragną ich wreszcie godnie pochować. Tak dzieje się w wielu regionach w odniesieniu do żołnierzy powojennego podziemia, którzy polegli w walce z komunistami lub zostali straceni na mocy sądowych wyroków.

Jednak obok nich w kolejce czekają ich nieco starsi koledzy i ludzie, którzy ich wspierali – zapomniane ofiary okupacji niemieckiej. Zapomniane dlatego, że powszechnie uważa się, iż o ich groby zadbano już odpowiednio po 1945 r. Nic bardziej mylnego. Coraz częściej dojrzewamy też do tego, by na cmentarze przenosić również rozsiane po różnych miejscach szczątki ludzi, na których ciążyły zarzuty zdrady, współpracy z okupantem czy przestępstwa pospolite, a które zginęły z rąk żołnierzy podziemia.

Grobów warto też słuchać. Wiele z nich dopomina się bowiem o to, żeby opowiedzieć historię leżących w nich ludzi do końca. Nie zawsze jest to możliwe, czasem jednak wysiłek przynosi efekty.

Przez długie dekady upominał się o to zlokalizowany w Olszówce (powiat Limanowa) grób oficera AK o pseudonimie „Dick”. Żołnierza tego dopadła 4 lipca 1945 r. obława UB – zginął, sięgając po broń. Pośmiertnie „Dick” został odznaczony przez likwidujące się struktury AK Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami. Po 1989 r. jego mogiłę wpisano na listę grobów wojennych i objęto ochroną.

Brakowało jednak ostatniego istotnego elementu: nazwiska oficera pochowanego w Olszówce. Udało się je ustalić po kilkunastu latach żmudnych poszukiwań, przy okazji których natrafiono na wiele cennych informacji o przeszłości „Dicka”. Nazywał się Zbigniew Kondal, urodził się 1 maja 1917 r. we Lwowie, był zawodowym żołnierzem Wojska Polskiego, a w szeregach AK m.in. zastępcą kompanii w 2. Pułku Piechoty Legionów AK, który w 1944 r. walczył na Kielecczyźnie.

Ale to już temat na osobną opowieść.

© DAWID GOLIK

Autor (ur. 1984) jest doktorem historii i politologiem, pracuje w Oddziale IPN w Krakowie oraz Instytucie Historii UJ. Autor licznych publikacji nt. niemieckiej okupacji i polskiego podziemia wojennego i powojennego na Podhalu i w Małopolsce. Sekretarz redakcji „Zeszytów Historycznych WiN-u” i „Prac Historycznych”.

REKLAMA

Mistrzyni rozmowy, **Katarzyna Kubisiowska,**
zaprasza do intymnego
świata wyjątkowych osobowości

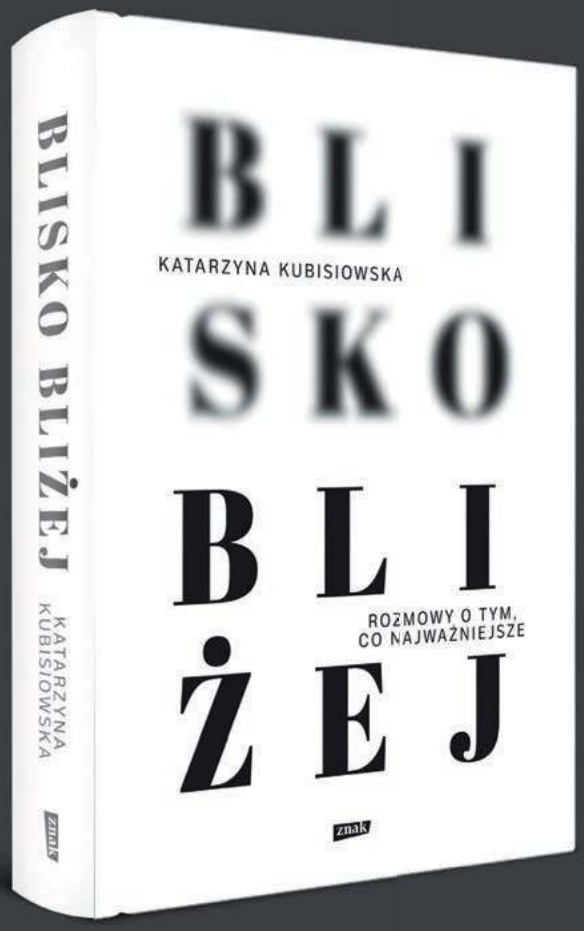

Nosowska | Tokarczuk | Kulig | Wilczyński | Holland
Santor | Bonowicz | Bargielska | Zagajewski | Bieńczyk
Braunek | Englert | Glińska | Hund |Klicka | Przemyk
Pilch | Łoziński | Barański i inni

Premiera 27 października

Książka dostępna na www.znak.com.pl

znak

TYGODNIK POWSZECHNY

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Niedosłuch*

Tramwaj

Spytał, czy może mnie odprowadzić. (W Łazienkach, w stronę Agrykoli).

Wiedziałam – zaraz mi coś opowie.

Jak ktoś odprowadza mnie albo odwozi, to żeby historię opowiedzieć, wspomnieniem się podzielić.

Wiem, o czym pani pisze, zaczął i chyba był trochę wzruszony. I rozumiem. Ten rozumie, kto widział, a ja patrzyłem na wszystko własnymi oczami.

Mówił o getcie.

Patrzył na nie w Warszawie co parę dni, czasami nawet codziennie. Dwa razy dziennie, z tramwaju, przez okno.

Był to aryjski tramwaj, dla Polaków. Jeździł przez getto tranzytem, nie zatrzymując się.

Widział trupy na ulicach, ludzi w łachmanach i dzieci-szkielety. Chłopców w swoim wieku szmuglujących żywność i żydowskich policjantów, którzy ją zabierali. Drewniane wózki ze stosami zwłok...

Spytałam, dokąd jeździł.

Do dziadków. Przez getto było najbliżej.

Często, bo po mleko.

Dziadkowie mieli krowę – domyśliłam się.

Zniecierpliwił się – jakie to ma znaczenie. Mówił o rozumieniu, nie o mleku.

To było straszne... powtarzał.

To było cudowne... myślałam.

Żyjący, prawdziwy dziadek, prawdziwy dom...

Nie spytałam, którędy jeździł, i już go nie zapytam. Nie ma Profesora.

Mleko, więc na wieś. Więc na któryś z dworców.

Na Wileński? To Chłodną i Lesznem, podpowiada Jacek Leociak (który, jak wiadomo, wie wszystko). Numer szesnaście albo dwadzieścia dwa.

Na Gdański?

To czwórką. Nalewki, Bonifraterska. Tylko pamiętajmy, dodaje J.L., że wschodnia strona Bonifraterskiej odpadła od getta, a środkiem ulicy szedł mur.

J.L. rozumie, że to ważne – jaki tramwaj i jakie ulice, chociaż oboje nie wiemy, dlaczego ważne. Rozumie też, że można mówić, nie całkiem słysząc, co się opowiada.

Chciałbym tylko milczeć
a milcząc kłamię...
– przypominają mu się słowa Jerzego Ficowskiego.

Czytam wspomnienia Profesora.

Już wiem.

Nie jeździł na wieś. Dziadkowie byli w Warszawie i mleko w Warszawie. Ze wsi, od rodziny, przywoziła je gosposia.

Dziadkowie gosposię mieli...

Jakie to ma znaczenie, zniecierpliwiłby się Profesor i miałby rację.

Ważne – że tramwaj. Że widział. Że rozumie.

Strach

Były ni to miastem, ni wsią. Takie Wiskitki. Wyciszone i niemrawe nieco.

Chodziłam sobie to tu, to tam.

Zaczęłam od komitetu partyjnego – Polska Zjednoczona jeszcze istniała.

Sekretarz stał przy oknie, tyłem do drzwi. Patrzył na ulicę. Mówiono mi, że potrafi godzinami tak stać.

Miał spory gabinet, do którego nikt nie pukał. Telefony na biurku milczały. Na regale stały dzieła Lenina – czterdzieści dziewięć tomów, których nikt nigdy nie przeczytał.

Spytałam, co słychać.

Odwrócił się na chwilę w moją stronę. Milczał.

Spytałam, o czym myśli.

Zastanawiam się... powiedział. Czy będą komunistów wieszać.

Potem rozmawiałam z mężczyzną, który pracował w Żyrardowie. Bał się, że zakład zbankrutuje i Niemcy go wykupią, że u Niemca będzie robił, jak ojciec za okupacji.

Potem rozmawiałam z emerytem. Bał się, że wódka zdrożeje. (Z emerytką – że zdrożeje wszystko).

Z działaczem Solidarności. Bał się Ruskich, którzy nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa...

Wyglądało na to, że w Wiskitkach boją się wszyscy. Poza księdzem wikarym (do którego w gości przyjechałam). Który, być może, też mógłby się bać. Samego siebie.

Wróciłam do Warszawy.

W Pałacu Prezydenckim trwało przyjęcie, pierwsze po czerwcowych wyborach. Było podniośle i radośnie. Nikt niczego się nie bał. Ludzie stali w kolejce do premiera, mówili, że są szczęśliwi i dobrze mu życzą.

Podeszłam i ja.

Powiedziałam – opowiem panu o Wiskitkach. W których wszyscy się czegoś boją. Nie jest dobrze, kiedy wszyscy...

Premier spoważniał.

Nie, to nie była powaga.

To była nuda. To było – o Boże, nawet tutaj, nawet dziś...

Zrozumiałam.

Powiedziałam – to ja kiedy indziej. To wszystkiego najlepszego, panie premierze.

Uśmiech wrócił na jego twarz.

Ustąpiłam miejsca legendarnej piosenkarce, która rzuciła się premierowi na szyję.

Co ty mu powiedziałaś? Dziewanowski stał obok i z zainteresowaniem przyglądał się całej scenie.

O Wiskitkach chciałam, ale się nie udało.

Pytał cię o to?

Jak miałby pytać?

Zwyczajnie. „Co tam w Wiskitkach słychać?" – spytałby i wtedy mogłabyś opowiadać. A ty się pchasz niepytana...

...jak idiotka, Kaziu. Masz świętą rację.

Hiszpania

Moje niesłyszenie to literat, pan S. Pisałam o nim w „Zdążyć przed Panem Bogiem", bronił Marka Edelmana przed oburzeniem amerykańskich czytelników.

Przyjechał do Warszawy któregoś dnia i M.E. traktował go z widocznym szacunkiem. Był na wojnie hiszpańskiej – tłumaczył mi. Pisał do żydowskich gazet, wszyscy czytali jego reportaże...

Był to był. Hiszpania literata S. nie zrobiła na mnie większego wrażenia.

Hiszpańskie reportaże ukazały się po polsku.

Ciekawa ta jego wojna, daleka, ale i dziwnie bliska. I nie na froncie się dzieje.

Listy kobiet – szukają swoich mężów, synów i braci. Cmentarz listów – w specjalnej szafie, w centrali pocztowej.

Schron w Madrycie podczas nalotu. Naftowa lampa. Kobiety robią na drutach, dzieci bawią się w bum bum.

Warszawski handlarz na corridzie. Skupuje skóry byków. Woli pikadorów-frankistów, bo ich skóry są bez dziur. Republikańscy pikadorzy – no niestety, zwyczajni partacze.

Właściciel fabryki tkanin. Ma szczęście, brakuje mu czterech ludzi do stu. Uniknął kolektywizacji dzięki temu i kieruje swoją fabryką. Przed wojną tkał dla paryżan rzeczy wykwintne, teraz dla wojska – grube i żółte.

Koszerny rzeźnik w Barcelonie pochodzi z Oświęcimia.

Filozof od Spinozy dowodzi batalionem saperów.

Pralnia w Madrycie zatrudnia byłe prostytutki. Czują się dumne, bo stoją przy stołach do prasowania z uczciwymi żonami partyjnych towarzyszy...

Nie pogadałam z autorem reportaży.

Szkoda.

Niedosłuch. ©

S.L. Sznajderman
„Wojna w Hiszpanii. Reportaż z głębi kraju",
Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

weź, czytaj!

w prenumeracie:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"
Obowiązuje do 30 listopada 2021 r.

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALESmanago marketing automation

ROZMOWA

NIE W NICOŚĆ

KRZYSZTOF M. BEDNARSKI, RZEŹBIARZ:

Chcę oddać ból obciętej nogi kapitana Ahaba, którą czuł bardziej niż tą żywą. Podobnie odczuwamy śmierć bliskiej osoby. Od pięćdziesięciu lat w nagrobkach opowiadam o nieobecności, odejściu.

PIOTR KOSIEWSKI: Dlaczego tak długo nie chciałeś projektować nagrobków?

KRZYSZTOF M. BEDNARSKI: Miałem wewnętrzny opór, bo nie chciałem bezdusznie przyciskać przyjaciół kamieniem. Dopiero po latach zrozumiałem, że to jedyna dobra rzecz, jaką mogłem dla nich zrobić. A śmierć była w mojej twórczości obecna niemal od zawsze.

Pierwsze traumatyczne przejście, jakie najmocniej utkwiło mi w pamięci, zdarzyło się, kiedy miałem piętnaście lat. Był kwiecień, Warszawa rozmrażała się właśnie – wtedy były ostre zimy. Na skrzyżowaniu Nowowiejskiej i Niepodległości ciężarówka potrąciła psa. Doczołgał się pod drzewo i na moich oczach skonał. Postanowiłem zrobić jego odlew, by mieć psa takiego jak ten z Pompejów. Po dziadku pozostał warsztat w piwnicy. Zaciągnąłem tam psa i obrzuciłem go gipsem murarskim. I dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że nie założyłem warstwy izolującej na ciało. Sierść psa połączyła się na trwałe z gipsem. Nie sposób było otworzyć tego odlewu. Pies w gipsowym sarkofagu skończył na śmietniku. A potem śniło mi się po nocach, że wygłodzony pije z kałuży.

Był rok 1968 i nagle nasza klasa, a było to liceum imienia Klementa Gottwalda, niemal opustoszała. To jednak inna historia.

W 1984 r. powstaje „Thanatos polski", poświęcony przyjaciołom z Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego. To jeszcze nie nagrobek, ale praca o śmierci i pamięci.

Do Jerzego Grotowskiego trafiłem jako student dzięki moim przyjaciołom, Jackowi Zmysłowskiemu i Leszkowi Kolankiewiczowi. To oni mnie wciągnęli do Teatru Laboratorium (który miał wówczas znacznie dłuższą nazwę). Od 1976 r. aż do rozwiązania Teatru robiłem wszystkie plakaty do przedsięwzięć parateatralnych. Jednocześnie pracowałem też w kamieniołomach w Gniewkowie, około 60 kilometrów od Wrocławia, bo po studiach na ASP ma się tylko podstawy, a o resztę trzeba samemu zawalczyć. Dla mnie był to bardzo intensywny czas. W okresie parateatralnym do Teatru Laboratorium przyjeżdżały setki młodych ludzi z całego świata, by doświadczyć intensywnego życia i czystego, bezinteresownego udziału w „kulturze czynnej". Związałem się z aktorami ze starej ekipy Grotowskiego. Mocno się zaprzyjaźniłem ze Staszkiem Scierskim, który chciał ze mną założyć teatr w Katowicach; zdążył nawet wynająć salę. Wreszcie przyszedł ostatni spektakl, „Thanatos polski – Inkantacje", wspólne przedsięwzięcie młodych i starych członków zespołu. To był mój ostatni plakat dla Teatru Laboratorium.

Potem pustka, beznadzieja stanu wojennego, wpadłem w alkoholizm – prawie wszyscy wtedy pili. To był stan zapaści, wyczuwało się bliskość śmierci. Nagle wszystko się urwało. Nie tylko z powodu sytuacji politycznej, ale też serii nieszczęśliwych, dramatycznych śmierci, w okresie zaledwie trzech lat, ludzi związanych z Teatrem: Antka Jahołkowskiego, Staszka Scierskiego, mojego rówieśnika Jacka Zmysłowskiego, który miał być następcą Grotowskiego, bo ten od zawsze umierał, ale przeżył prawie wszystkich. Antek miał pięćdziesiąt lat i wydawał mi się taki stary... Właśnie wtedy powstał „Thanatos". Poświęciłem go moim przyjaciołom, tym, którzy umarli wcześniej i później, i być może dojrzałem do tego, by inaczej patrzeć na to, czym może być nagrobek.

Jednak pierwszy powstał dopiero po ośmiu latach, dla Konstantego Puzyny.

Nie mogłem odmówić prośbie o nagrobek dla Keta (tak nazywali go przyjaciele). Podobnie było pięć lat później, w przypadku Krzysztofa Kieślowskiego. Moja żona była zafascynowana jego twórczością, tłumaczyła Kieślowskiego na włoski. Co więcej, on zobaczył mój pomnik Federica Felliniego dla Rimini i poprosił, bym zrobił nagrobek dla niego. Zażartowałem, że nie pora umierać, kiedy się jest w pełni sił twórczych.

Dzisiaj widzę też, że moje wcześniejsze prace, takie jak „Hommage à Igor Szum" z 1978 r., poświęcona mojemu przyjacielowi rzeźbiarzowi, zakatowanemu przez milicję we Wrocławiu, w istocie były nagrobkami. Także „Ślad" z 1985 r., który zadedykowałem sobie samemu („Hommage à soi-même", niestety zakupiony, nie może więc być moim nagrobkiem).

LESZEK FIDUSIEWICZ // K. PURCHALAK

Przy monumencie dla trębacza Tomasza Stańki na Powązkach Wojskowych w Warszawie i podczas pracy nad sarkofagiem Adama Zagajewskiego, maj 2021 r.

Byłem typem autodestrukcyjnym, a jednocześnie głodnym życia. Rzeźba zaś jest sposobem na uwiecznienie tego, co ulotne, utrwalaniem śladu naszej obecności.

Tworzenie przez rzeźbiarza nagrobków nie jest dziś oczywistym wyborem. Owszem, przez wieki tworzyli je najwięksi, nawet w minionym stuleciu tak się zdarzało – Constantin Brâncuşi, Jacob Epstein, Niki de Saint Phalle... Jednak to były wyjątki. Zmieniły się same cmentarze.

KRZYSZTOF M. BEDNARSKI (ur. 1953) jest rzeźbiarzem, autorem plakatów. Absolwent ASP w Warszawie (1978). W latach 1976-1981 związany z Teatrem Laboratorium Jerzego Grotowskiego. Od 1986 r. mieszka w Rzymie. Autor nagrobków ludzi kultury oraz pomników „Spotkanie z Federico Fellinim" (Rimini, 1994) i Fryderyka Chopina – „La note bleue" (Wiedeń, 2010). Do 13 marca 2022 r. w Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK w Krakowie trwa jego wystawa „Symbole życia po śmierci – rzeźba komemoratywna".

Tak. Gdybyśmy jeszcze cofnęli się w przeszłość, to zobaczylibyśmy, że wszyscy wybitni rzeźbiarze wykonywali nagrobki. Teraz niegdyś piękne cmentarze popadają w brzydotę. Nawet Powązki Wojskowe, które założono na bardzo klarownym planie parkowo-architektonicznym, z dobrze przemyślanym układem przestrzennym, dziś zatracają swój charakter. Jeden nagrobek wchodzi na drugi. Nekropolie nasycają się seryjną tandetą. Więc wszedłem w puste miejsce. Początkowo projektowania nagrobków nie traktowałem zawodowo. To były, jak mówiłem, prośby, którym nie mogłem odmówić. Jedna, druga, trzecia... I nagle poszło lawinowo.

W tym roku zrealizowałem już trzy nagrobki, a mam zrobić kolejnych sześć – macewę dla Ludwika Flaszena na Nowym Cmentarzu Żydowskim w Krakowie; dla Jerzego Limona, twórcy Teatru Szekspirowskiego, na cmentarzu w Sopocie; dla Jana Lityńskiego i Karola Modzelewskiego w Alei Zasłużonych na Powązkach Wojskowych. Jak nie przyjąć propozycji wykonania nagrobków dla tak wybitnych postaci?

Ale tworzyłeś monumenty również dla żywych.

Od młodości dedykowałem swe prace twórcom, których podziwiałem i którym wiele zawdzięczałem. Lista jest bardzo długa: Osip Mandelsztam, Dylan Thomas, Rainer Maria Rilke, Paul Celan, ale też Tymoteusz Karpowicz, Stanisław Barańczak, Adam Zagajewski, Ryszard ↦

↦ Krynicki i wielu innych. Poezja zawsze była dla mnie ważna, a przecież śmierć jest jednym z jej najważniejszych tematów. Czytałem Rafała Wojaczka i poetów przeklętych. Do dziś pamiętam cienki tomik Włodzimierza Szymanowicza z 1969 r. „Zaproście mnie do stołu". Wstęp do niego napisał Edward Stachura, który podobnie jak Szymanowicz skończył śmiercią samobójczą. Do dziś pamiętam przywołane przez niego słowa Michela Deguy: „Beaucoup dèjá cessèrent de vivre". Miałem wtedy szesnaście lat, ale słowa: „Wielu już przestało żyć" wciąż tkwią w mojej głowie.

Mówiłem już, że byłem typem autodestrukcyjnym. Przez lata niszczyłem swoje prace. Niektóre przetrwały dzięki mamie, która ukrywała je przede mną. Teraz już rzadziej niszczę, bo po latach zrozumiałem, że to, co robię, niekoniecznie musi się wszystkim podobać.

Co jest najtrudniejsze w zaprojektowaniu nagrobka?

Jeżeli kogoś znam, to bardzo szybko znajduję odpowiednią formę. Bardzo łatwo przychodzi mi robić nagrobki dla ludzi kultury.

A co jest kluczem do pomysłu?

Na pewno ważna jest znajomość osoby. Puzynę znałem osobiście. Podobnie było z Kieślowskim. Tomasza Stańki słuchałem od liceum, a utwory Krzysztofa Pendereckiego towarzyszyły mi od młodości. Dlatego też na pytanie, jaką formę powinien mieć nagrobek, bardzo szybko mogłem udzielić odpowiedzi.

Teraz rozpoczynam nowy rozdział – z ludźmi innych profesji. To było dla mnie najtrudniejsze. Ale poradziłem sobie nawet z nagrobkiem profesora Romualda Dębskiego (2019), choć w pierwszej chwili odmówiłem. Odpowiedziałem wdowie, że robię projekty tylko dla osób, które znałem lub bardzo podziwiałem. Tylko wtedy potrafię znaleźć adekwatny dla nich kształt nagrobka. A jaki ma być nagrobek dla wybitnego ginekologa? Jak uciec przed najbardziej podstawowym skojarzeniem z tym, co było jego profesją?

Jednak po pięciu minutach, bo tyle zajęło mi przetasowanie w głowie kart-obrazów, wpadłem na właściwe skojarzenie. Wymyśliłem splot dwóch kolumn – jakby para w czułym uścisku – które przypominają drabinę DNA, ale też mogą być pępowiną między ziemią a niebem. Udało się znaleźć formę nośną, a jednocześnie pozbawioną dosłowności, co jest bardzo ważne. Istotne jest wreszcie wczucie się w osobowość, znalezienie tego, co dla danej osoby własne i zarazem odmienne. Inskrypcja też jest istotna. Stąd w nagrobku Tomasza Stańki słowa z Witkacego: „Istnienie poszczególne IP", słowa, z którymi w pełni się utożsamiał. „Jestem istnieniem poszczególnym IP (...) Żaden związek ani grupa, ani też patriotyzm, tylko IP". Bo też każdy z nas jest istnieniem poszczególnym.

> Nigdy nie stawiam skrzyni, niczym wielkiego łóżka z zagłówkiem, bo powszechne jest przekonanie, że zmarły musi leżeć z wyciągniętymi nogami, nawet jeśli jest skremowany. A do tego kilka pięter marmuru, by pokazać, **jak bardzo kochało się zmarłego.**

Szukasz formy, która w jednym spojrzeniu pozwala dookreślić osobę, której nagrobek jest poświęcony?

Tak, dobór materiału, forma, skala i symbolika mają korespondować z duchowością, dziełem i charakterem zmarłego. Musi to być forma prosta, a jednocześnie wieloznaczna. Takie są ręce na nagrobku Kieślowskiego. Dłonie reżysera w charakterystycznym geście. To jest czytelny symbol. Trzeba jednak wiedzieć, że on był ostatnim reżyserem, który tak składał dłonie, by w ten sposób kadrować rzeczywistość. Teraz, pośmiertnie, nadal kadruje otaczający nas świat. Stając przed grobem – aleja w tym miejscu idzie po łuku – poprzez prześwit utworzony przez palce widzimy przechodzących. Kieślowski w jakiś sposób wciąż narzuca nam swoje widzenie. Wreszcie, co bardzo ważne, to są dłonie reżysera – zrobiłem je na podstawie zdjęć wykonanych przez jego córkę. A każdy ma odmienne dłonie – to nasz znak szczególny. Dlatego też moja „Victoria" z 1983 r., z obciętymi palcami, to mój autoportret. Wyrzeźbiłem własne dłonie.

W nagrobku Wojciecha Fangora (2017) sięgnąłeś do jego obrazów.

Nie tylko sięgnąłem, ale też dopowiedziałem. Pracując nad projektem, spytałem jego żony, jakie były ulubione kolory malarza. Odpowiedziała: niebieski i zielony. Zrobiłem więc wstęgę Möbiusa w tych kolorach, ale wpisaną w perfekcyjnie wypolerowany okrąg. Sama wstęga, symbol nieskończoności, jest przerwana, jakby została przecięta. To paradoks – wstęga nonfinita ma początek i koniec; podobnie jak nasze życie jest nieskończone, ale też ograniczone. Jednocześnie powierzchnia wstęgi jest tak wykonana, że odbija się w niej świat otaczający nagrobek – zmieniające się niebo i drzewa poruszane wiatrem. W tym projekcie chciałem zawrzeć esencję malarstwa Fangora. Uwielbiał wpatrywać się przez swój teleskop w gwiaździsty firmament.

We wszystkich moich nagrobkach pojawia się symbolika przejścia. Staram się, by oddawały one to, co jest po tej i tamtej, niewidzialnej stronie rzeczywistości. Kiedy mnie pytano, dlaczego w „Thanatosie polskim" wykorzystałem pół łodzi, odpowiadałem, że drugie pół pozostało po drugiej stronie. Choć tak naprawdę skończyło w zamarzniętej rzece Bug.

Z kolei na nagrobku Puzyny pojawiła się stalówka.

W dedykowanym mu wierszu Tadeusz Różewicz pisze, nawiązując do języka dzieci: „więc to już / wszystko / mamo?". To powrót do samego początku. Jestem z pokolenia – twoje już tego nie robiło – które posługiwało się stalówkami z krzyżykiem. To nimi pisało się w zeszytach szkolnych. Stalówka przypomina o początkach. Myślę, że czułby się nieswojo, gdyby na jego grobie stanął krzyż. Znalazłem sposób na inną jego obecność. A w nagrobku Krzysztofa Krauzego umieściłem „Om", najświętszą sylabę buddyzmu. Krzysztof był zafascynowany buddyzmem. W nagrobkach stale szukam sposobu, w jaki można przedstawić połączenie ziemi z niebem czy na nowo pokazać symbolikę przejścia.

Gdy pracowałem nad nagrobkiem Stańki, wszyscy mnie pytali, czy będzie tam trąbka. Oczywiście musiała być, ale chciałem przede wszystkim pokazać jej nieobecność, więc pojawia się otwór,

który jest powiększeniem czaszy trąbki. Początkowo myślałem o pustym futerale na instrument... Oddać ból obciętej nogi kapitana Ahaba z „Moby Dicka", którą czuł bardziej niż tą żywą. Podobnie odczuwamy śmierć bliskiej osoby.

W pewnym sensie przez pięćdziesiąt lat na różne sposoby opowiadam o nieobecności, odejściu. Mój „Moby Dick" jest skorupą, w której ścigany i ścigający jest tym samym. Pustym miejscem do wypełnienia emocjami. A zarazem przełożeniem tej opowieści na język rzeźby. I zawsze w moich realizacjach istotne są dobór materiału, skala dzieła, sposób jego kształtowania, kontekst, w jakim się znajdzie.

Jakie znaczenie ma to, gdzie nagrobek ma stanąć?

Podstawowe! Nigdy nie sięgam po materiał wykorzystany w sąsiedztwie. Najbardziej lubię, gdy mam sytuację zastaną – dokoła stoją już nagrobki. W przeciwnym razie zdarza się, że inni sugerują się tym, co zrobiłem, i używają podobnego materiału. Wtedy nagrobki „znoszą się" wzajemnie, tracą siłę wyrazu. Na cmentarzu w Pyrach zrobiłem pomnik nagrobny dla Konrada Stańczaka, młodego chłopaka, który zginął we włoskich Alpach. Wykonałem go w bloku białego marmuru z Carrary i czarnego szwedzkiego granitu. I nagle w najbliższym otoczeniu nagrobka zaczęto używać tak samo zestawionych materiałów.

Twoje nagrobki, chociaż odbiegają od tych, które dzisiaj stawia się na cmentarzach, bardzo dobrze wpisują się w miejsca, w których się znalazły.

Zawsze dopasowuję się skalą i formą. A jednocześnie nigdy nie stawiam skrzyni, niczym wielkiego łóżka z zagłówkiem, bo powszechne jest przekonanie, że zmarły musi leżeć z wyciągniętymi nogami, nawet jeśli jest skremowany. No i uważa się, że najlepiej położyć kilka pięter marmuru, by pokazać, jak bardzo kochało się zmarłego.

Nagrobki Puzyny i Kieślowskiego są bardzo klasyczne i służą za tło do wyeksponowania rzeźb, w których wszystko się symbolicznie zamyka. W późniejszych latach zmieniłem sposób pracy, teraz myślę o nagrobkach jako o małych formach rzeźbiarsko-architektonicznych, a nie tylko o ekspozycji tego jednego elementu, który przywołuje pamięć o zmarłych. Nie używam już odlewów z brązu, ponieważ hieny cmentarne są ciągle nienasycone, a skupy metali często znajdują się w pobliżu cmentarzy.

Oczywiście wcześniej było mi łatwiej. Rzeźbę robiłem własnymi rękami. Teraz potrzebuję współpracy kamieniarzy. Szczęśliwie od lat współpracuję z tym samym zakładem i wiem, jakie mają możliwości. Owszem, ręczne wykucie kartek do ↦

RAFAŁ SOSIN X2

Nagrobek Krzysztofa Kieślowskiego na Starych Powązkach. Poniżej: grób Wojciecha Fangora na Powązkach Wojskowych.

KRZYSZTOF M. BEDNARSKI

Projekt pomnika „Spotkanie z Federico Fellinim", 1994 r.
Poniżej: nagrobek Romualda Dębskiego na Powązkach Wojskowych.

↦ sarkofagu Adama Zagajewskiego jest do wykonania, ale wykończyłoby mnie. A już niemożliwe byłoby perfekcyjne wykonanie granitowej klepsydry dla Krzysztofa Pendereckiego.

A skąd właśnie ten kształt, niekojarzący się wprost z muzyką?

Myślę przede wszystkim o sile formy, zastanawiam się nad skalą i miejscem. Znałem krypty, w których miały zostać ustawione sarkofagi Adama Zagajewskiego i Krzysztofa Pendereckiego, musiałem zatem myśleć o takiej ich formie, by miejsce oddziaływało na rzeźby, a one na miejsce. Aby wszystko się dopełniało. W przypadku Pendereckiego klepsydrę wziąłem ze swojej wczesnej pracy nawiązującej do poematu Dylana Thomasa „Vision and Prayer" (szczególnie do części: „Zna kraj gwiazdę wiecznej nocy..."); ten mroczny poemat dotyczy narodzin, śmierci i wiecznego powrotu, a wersy drugiej części układają się w kształt klepsydry. Jednak to nie tylko odwołanie się do symboliki wanitatywnej, lecz także kształtu kielicha. Górna część rzeźby jest wypolerowana i jeśli dobrze ustawi się oświetlenie, powstaje wrażenie, że jest to forma wypełniona światłem, a sama rzeźba wygląda, jakby była pozbawiona ciężaru. Mamy tu zatem świadectwo męki i śmierci Zbawiciela, ale jest też odwołanie do psalmów gradualnych. Sam Penderecki powiedział w jednym z ostatnich wywiadów, że 70 procent jego dzieł to muzyka sakralna.

RAFAŁ SOSIN

Celowo nadałem temu sarkofagowi formę monumentalną, bo taki był Krzysztof Penderecki i jego muzyka. Z kolei w przypadku Adama Zagajewskiego kartki, na których wyryto wiersz: „Spróbuj opiewać okaleczony świat", nie powinny być materialne, choć obiektywnie mają swój ciężar (cztery tony marmuru). I w przyszłości też go będą miały. To kartki Guliwera, bo Zagajewski był nim wśród ludzi małych i niewrażliwych. Wybrałem też konkretny marmur z Carrary – venato, użylony, a nie biały, statuario – ponieważ te kartki mają być jak ciało, mają żyć.

Swój tekst o nagrobkach zatytułowałeś „Pomost między żywymi a umarłymi".

Nagrobek staje się rodzajem śluzy. Prowadzi na drugą stronę, w wymiar nieskończony, niematerialny, ale nie w nicość. Przed nicością broni nas pamięć o zmarłych. Staram się, by moje nagrobki były czytelne, choć wieloznaczne w swej wymowie symbolicznej. I muszą silnie działać na emocje. W nagrobku dla Stańki chciałem, by odbiorca mógł sensualnie odczuć materię dźwięku, jego wymiar metafizyczny. By chciał dotknąć rzeźby, choć dziś w dużej mierze zatraciliśmy zmysł haptyczny. Ekrany komputerów i smartfonów sprawiły, że poznajemy się przez kontakt z obrazami z ekranu, a nie przez dotyk czy zapach. Rzeźba natomiast nadal zachowała swą materialność. W niej wszystko jest ważne: użyty materiał, sposób jego obróbki, skala, kontekst. Wydaje się, że wystarczy mieć pomysł i ona już istnieje. Nie! To jest dopiero początek długiego procesu jej powstawania.

Mówiłeś o nagrobku jako o unaocznieniu pustki. Czy on pozwala ją zapełnić, czy też przeciwnie – zapomnieć o niej?

Nagrobek nie zastąpi nam tych, którzy już odeszli. Uzmysławia stratę, ale też to, jakimi jesteśmy egoistami. A dostrzegamy to dopiero po utracie kogoś bliskiego. Mówię w liczbie mnogiej, ale ja sobie to uświadomiłem, gdy straciłem matkę. Byłem najmłodszym dzieckiem i ona całą miłość przelała na mnie. Mówiła: „Krzysiu, kiedy ty się ustatkujesz, bo ja nie mogę umrzeć". „Nie umieraj, mamo, nie umieraj" – odpowiadałem.

Czasami też w nagrobku jest ważna intymność. Nawet działanie na pograniczu kiczu. W nagrobku moich rodziców – najbardziej intymnym, jaki zrobiłem – umieściłem odlane w brązie (w małej skali) dwa splecione ze sobą krzewy w doniczce ustawionej na serwetce zrobionej na szydełku przez mamę. Może lepiej zrobić coś z potrzeby serca, niż się silić na jakiś monument, który wcześniej czy później skończy na złomowisku.

© Rozmawiał PIOTR KOSIEWSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszam!
Katarzyna Kubisiowska

Zostań
PATRONEM
PODKASTU
POWSZECHNEGO
od 5 zł miesięcznie!

Wspieraj nas na: **Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego**
Ciesz się nagrodami i słuchaj podkastów tworzonych z myślą o Tobie!

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj
i rób, co chcesz!

W cyklu **„Tygodnik" na ucho**
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOJCIECH

Bonowicz:
Pewien mężczyzna

Budzi się o wpół do siódmej, wstaje piętnaście minut później. Jego pies czeka na niego w przedpokoju, ale on idzie najpierw do łazienki, żeby się umyć i ogolić. Nigdy nie wychodzi na spacer nieogolony.

Idą nad wyschnięte koryto rzeczki, przy okazji wstępując do małych sklepów lub na targ. Pies trzyma się blisko pana, pan co chwilę drapie go za uchem lub głaszcze po karku. Zakupy są skromne: trochę pieczywa, nabiału, mięsa, jarzyny do obiadu. Dopiero za granicą osiedla pies zrywa się do biegu. Mężczyzna myśli o tym, że właściwie logiczniej byłoby robić sprawunki w drodze powrotnej. Nigdy jednak tak nie robi.

Po powrocie napełnia psią miskę, nastawia kawiarkę i przygotowuje dla siebie małe, energetyczne śniadanie. Jeśli jest sezon na truskawki, koniecznie przyrządza koktajl. Potem siada przed komputerem. Nie zaglądajmy mu przez ramię: może zajmuje się rachunkami, poprawia czyjąś ekspertyzę albo męczy się nad zamówionym artykułem. Zanim usiądzie do pracy, wyłącza dzwonek w telefonie. Musi się skupić. Nawet jeśli dzwoniących i tak jest niewielu, woli, żeby nic go nie rozpraszało. Siedzi tak bez przerwy przez dwie, trzy, czasem trzy i pół godziny. Ma dobry fotel, którego oparcie dostosowuje się do pleców. Mężczyzna jest wyprostowany, garbi się tylko wtedy, gdy coś go zaniepokoi albo gdy musi się pospieszyć. Trzeba przyznać, że garbi się rzadko.

Razem z psem znów wychodzi, tym razem na lunch. Cieszy się, że w dużym mieście, mimo pandemii, ciągle jeszcze można w różnych miejscach tanio coś zjeść. Jest oszczędny, więc szuka nowych miejsc, które oferują promocje. W zasadzie jest mu wszystko jedno, co będzie jadł. Wieczorem przygotuje coś sam, a teraz po prostu potrzebuje napełnić żołądek. W upalne dni zabiera psa do parku i tam spędzają godzinę – a bywa, że i więcej – na wspólnej zabawie. Wcześniej mężczyzna miał kota, ale z nim nie wychodził dalej niż na najbliższy trawnik. Pies, który jest czarny jak smoła, lubi zaczepiać inne psy.

Czasem mężczyzna puszcza psa i zanurza twarz w gazecie. Czytanie gazet nudzi go, ale uważa je za konieczne. Nie zaglądając mu przez ramię, możemy bez trudu zgadnąć, jakie strony pomija. Najdłużej zatrzymuje się na gospodarczych. Gazeta, którą regularnie kupuje, najwięcej stron poświęca ekonomii i prawu. Mężczyzna siedzi na ławce, a jego czarny jak smoła pies cieszy się wolnością. Kiedy pada deszcz, pan czyta gazetę w domu, a pies opiera mu wtedy łeb na nieruchomych stopach.

Wszystko to są znane obrazki – z literatury, filmu, ale przede wszystkim z życia. Chociaż może kogoś zastanowić, czy mężczyzna nie pracuje za krótko. Otóż nie, kiedy wróci do domu, wstawi jednodaniowy obiad i znów zasiądzie do pracy. Bardzo tego pilnuje, żeby pracować przynajmniej siedem godzin dziennie. Bywa, że ślęczy nad komputerem nocami. Na jego zaspanej twarzy nigdy nie odbija się pasjans ani przewijane szybko zdjęcia z mediów społecznościowych. Na ogół widać rzędy liter, wśród których zamigocze czasem jakaś reklama.

Co byście zjedli na obiad? Mężczyzna nakłada na talerz duszone warzywa i kawałek podobnie przyrządzonego kurczaka. Danie przyprawia delikatnie, ostrożnie używa soli i pieprzu. Podczas obiadu ogląda w telewizji serwisy informacyjne. Wie, że wiadomości mają go zaniepokoić, zdenerwować, w taki czy inny sposób pozbawić dobrego nastroju. Ale wie również, że na świecie nic od niego nie zależy. Nie mając wpływu na nic, nie myśli za wiele o tym, co mógłby robić inaczej. Naprawdę sumiennie wykonuje swoją pracę. „I naprawdę o mnie dba", powiedziałby pies, gdyby umiał mówić.

Jedzenie jest proste i dobre, mieszkanie czyste i suche, żarówki energooszczędne. Kiedy sąsiedzi obok urządzają imprezę i długo w noc śpiewają szanty, nigdy nie dzwoni po policję. Czasem nalewa sobie whisky i nuci pod nosem razem z nimi: „Gdy kadłub zacznie wodę brać, wypij za mnie łyk".

Mężczyzna żyje życiem, którego wszyscy mu zazdroszczą. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu pod sygnaturą akt I Ns 478/21 toczy się postępowanie z wniosku Sylwestra Warchoła, z uczestnictwem Agnieszki Warchoł, o zasiedzenie nieruchomości położonej w obrębie Furmany, gmina gorzyce, stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 671, o powierzchni 0,3719 ha, która nie posiada księgi wieczystej.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa do zgłoszenia w terminie trzech miesięcy swego udziału w sprawie wszystkich zainteresowanych prawnie wynikiem toczącego się postępowania. Jeśli we wskazanym terminie nikt się nie zgłosi albo zgłosiwszy się, własności nie wykaże, Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie, I Wydziale Cywilnym, w sprawie I Ns 391/21 z wniosku Feliksa Hybickiego toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Gozdowskim, zm. 8 maja 2015 r. w Chełmie, i Genowefie Gozdowskiej, zm. 15 marca 2021 r. w Hrubieszowie, ostatnio stale zamieszkujący oboje w Chełmie.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, a w szczególności spadkobierców Jana Gozdowskiego, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

XXX FESTIWAL
ARS CAMERALIS

TYGODNIK POWSZECHNY

+

DODATEK SPECJALNY
„TP" 44/2021

KOSMOS

5–26.11.21

ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

Kosmos: materia, energia, zabawa

JAKUB KORNHAUSER

Kosmos staje się dla nowoczesnych artystów i myślicieli poręczną metaforą nieskończoności ludzkiej wyobraźni, ale też bezmierności poszukiwań twórczych.

Niech nas nie zmyli wizja kosmosu jako wszechpotężnej przestrzeni, którą za wszelką cenę należy ujarzmić i przerobić w kolejny łup dla deweloperów. Kosmos to raczej drobny zakamarek pomiędzy oczekiwaniami, gdzie, jak pisał w latach 70. serbski poeta i teoretyk Miroljub Todorović, ważne są trzy elementy: materia, energia i zabawa. Materia – czyli wszystko, co konkretne, namacalne, istniejące realnie wbrew wszelkim metafizykom. Energia – czyli porzucanie konwencji i schematów na korzyść niespodzianek i odkryć. Zabawa wreszcie – czyli doświadczanie zmienności form i treści. Powiedzmy to wyraźnie: kosmos w takim wydaniu dostępny jest nie tylko miliarderom i astronomom, lecz każdemu śmiertelnikowi. Pośrednikiem między wielkimi wizjami i zakamarkowością jest sztuka. To bowiem w obrazie, tekście, rzeźbie otwierają się niespotykane gdzie indziej przestrzenie, to tam spotykamy coś, co wydawało nam się niemożliwe do pomyślenia.

W stronę Nieznanego

Nazwisko Todorovicia przywołuję nie bez przyczyny: to bowiem twórcy awangardowi – a Todorović był jednym z głównych przedstawicieli powojennej awangardy środkowoeuropejskiej – postawili na zbliżenie sztuki i nauki, w tym szczególnie na możliwość opracowania nowego rewolucyjnego porządku zjawisk. To właśnie artyści poszukujący innowacyjnych form wyrazu zwracali się w stronę Nieznanego, które z jednej strony oferowało przegląd dziwności, z drugiej – dawało nadzieję na ziszczenie snutych na ziemi utopii, choćby w mikroskopijnym, zakamarkowym właśnie, wymiarze.

Todoroviciowski sygnalizm został pomyślany jako kierunek spajający poznawcze dążenia człowieka, ale przecież nie był w tym pierwszy. I tak Eugen Gomringer nazwał swoje wizualno-przestrzenne wiersze konstelacjami, do galaktyk zaś odwoływali się zarówno futuryści, jak i pop-artowcy. Prawa ziemskie można było ominąć jedynie na drodze pojęć mgliście zarysowanych: czymże, jeśli nie przestrzenią kosmiczną, okazuje się nadrzeczywistość z manifestów André Bretona? A serbski zenityzm nawołujący do budowy kolosalnego wszechświata z mężnym i czystym barbarogeniuszem jako ideałem nadczłowieka? Kosmos staje się dla nowoczesnych artystów i myślicieli poręczną metaforą nieskończoności ludzkiej wyobraźni, ale też bezmierności poszukiwań twórczych. Eksploracja systemu słonecznego zbiega się z przekraczaniem kolejnych granic w sztuce – w tym sensie lądowanie Apollo 11 na Księżycu w 1969 r. idzie o lepsze z pierwszymi wierszami komputerowymi pisanymi wspólnie przez Todorovicia i mózg elektronowy IBM360.

Bezkompromisowa postawa wobec przestrzeni wokół nas, którą moglibyśmy określić wypożyczonym ze świata reklam sloganem „impossible is nothing", skutkuje niebywałym zainteresowaniem tym, co dzieje się między gwiazdami. Uruchamiane mocą wyobraźni światy pęcznieją w fantastycznonaukowych rozważaniach, ale nie dają o sobie zapomnieć także w ciut klasyczniejszej literaturze: dzięki prozom poetyckim Zbigniewa Herberta dowiadujemy się przecież, że księżyc „jest tłusty i niechlujny" oraz że „włazi pod łóżka i wącha buty".

A skoro jesteśmy przy motywach lunarnych: można zaryzykować twierdzenie, że dwudziestowieczne eksperymentowanie zamyka się w ramach nakreślonych przez filmowców: Georges'a Melièsa w legendarnej „Podróży na Księżyc" (1902) oraz Nicka Parka w pierwszej z serii przygód Wallace'a i Gromita, w polskiej dystrybucji znanej również jako „Podróż na Księżyc" (1989). Upersonifikowane ciała niebieskie, ożywione nie-ludzkie byty je zamieszkujące, humor biorący się z nieprzystawalności ziemskich nawyków do kosmicznych okoliczności (w tym walka z kosmitami na parasole), wreszcie pasywno-agresywny stosunek człowieka wobec nowych terytoriów: nic w tej mierze na przestrzeni stulecia się nie zmieniło. Zmieniła się jedynie relacja między dziedzinami aktywności człowieka.

Własny język

Przyjrzyjmy się nieco szerzej temu, w jaki sposób sztuka radziła sobie z astronomicznymi odkryciami. Todorović przypomina, że Hezjod, Empedokles, Parmenides i Lukrecjusz, tworząc swoje wielkie kosmogonie, które obejmowały refleksję nad dziejami i naturą całego świata (a więc kosmosu), byli jednocześnie poetami, filozofami i naukowcami. Rozłam między tworzeniem a objaśnianiem świata zaczyna się w średniowieczu od rozwoju alchemii, kiedy to dyscypliny naukowe stopniowo wkraczają na twardy grunt racjonalizmu, budując szczególny obraz świata i własny język. Rozwój chemii i fizyki pod koniec XIX wieku doprowadził do rozbicia mechanistycznego obrazu świata i zburzenia imponującej, ale w swoich podstawach nieskomplikowanej, jednostajnej wizji makro- i mikrokosmosu, opartej na atomie jako „jedynej niepodzielnej" cząsteczce.

Nieco później przyjęcie mechaniki kwantowej Plancka oraz teorii względności Einsteina zachwiało podstawami – negowanej zresztą przez wieki – formalno-logicznej i racjonalistycznej struktury ducha naukowego. Awangardziści początku XX wieku z chęcią korzystali z wszystkich możliwości geometrii nieeuklidesowej, badając – jak dadaiści czy surrealiści

PARTNER

TYGODNIK POWSZECHNY

Województwo Śląskie

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 44/2021

REDAKCJA: Grzegorz Nurek
FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
OKŁADKA: Aleksandra Grunholz / studiochaotyczne.com

– związki bytów materialnych z niematerialnymi. Wreszcie, za sprawą Louisa de Broglie'a teorii falowych właściwości materii, Wernera Heisenberga zasady nieoznaczoności oraz nowych odkryć w biologii (protoplazma i białka w żywej materii, związki między pętlowymi zjawiskami kwantowymi a mutacją, rola genów i chromosomów w procesie formowania żywych organizmów), nauka bezsprzecznie zbliżyła się do swojej źródłowej irracjonalności.

Materia, energia, zabawa

Dało to niewątpliwy asumpt do rozwoju sztuki – dość przypomnieć spacjalizm Ilse i Pierre'a Garnierów czy neoawangardowe, kombinatoryczno-permutacyjne poszukiwania z ducha OuLiPo. Nowocześni artyści-naukowcy-wizjonerzy, konstruując wielkie hipotezy na temat wszechświata i podróżując w obszary pozaziemskie, na nowo zbliżyli sztukę do nauki. Działania artystyczne uległy systematycznej demistyfikacji. Todoroviciowskie trio – materia, energia i zabawa – przypomina zatem „zabawę człowieka w kosmosie w obliczu niegasnącego zagrożenia lawiną entropii, chaosu i bezkształtności". Porządki metafizyczny i teologiczny rozpadły się, powstają nowe wielowymiarowe przestrzenie: wolności, zabawy, eksploracji. Sztuka ma przezwyciężyć własne wyobcowanie i wkroczyć na drogę „całkowitej ekspansji" wszechświata, nawet jeśli ta ekspansja ma mieć charakter symboliczny, a nie faktyczny, i ma się cechować synekdochiczną naturą, w której za kosmos może uchodzi byle zaułek, ledwie uliczka, niechby i marny pokoik Virginii Woolf, Maxa Blechera czy Henriego Michaux.

Sygnalistyczne teorie wiodą Todorovicia do odkrycia „cudownych praw odnowionego życia, niewyczerpanej energii umierających gwiazd". Wyobraźmy sobie więc lubieżne zabawy ciał niebieskich, w których jest zalążek wszelkich narodzin, miłosne gry planet przyciągających się uniwersalnym prawem miłości: siłą grawitacji. Ich język doprowadzi do ponownego kataklizmu i zniszczenia, by w chaosie mroku wyzwoliła się mocarna metaenergia. Taka wizja procesu twórczego – i sztuki jako takiej – musi prowadzić nas do dramatycznego finału: w obliczu wszechświata jesteśmy niczym Qfwfq, bohater „Opowieści kosmikomicznych" Itala Calvina. Wychodząc od teorii o Wielkim Wybuchu, dopowiadamy sobie całkiem zmyślone historie o otaczającym nas świecie, piętrzymy przyczyny i skutki, staramy się rozrysowywać kolejne mapy i odczytywać ruchy dalekich ciał. Choć nawet nie wiemy, kim sami jesteśmy. ©

BARTOSZ KRUPA / EAST NEWS

JAKUB KORNHAUSER – poeta, eseista, tłumacz, redaktor i wykładowca akademicki. Laureat Nagrody im. Wisławy Szymborskiej.

SVEN GUTJAHR / MATERIAŁY PRASOWE ARS CAMERALIS

Anika

Lot w kosmos

MAREK ZIELIŃSKI, TOBIASZ MELANOWSKI, EWA SUROWIEC:

Na Festiwalu Ars Cameralis staramy się pokazać rozpiętość gatunków: od elektroniki i muzyki eksperymentalnej, przez rock, po wysublimowany pop i jazz.

GRZEGORZ NUREK: Trzydziesta, jubileuszowa edycja Ars Cameralis skłania do podsumowań. Największe niespodzianki i zachwyty trzech dekad?

MAREK ZIELIŃSKI: Największa niespodzianka? Że ciągle istniejemy... Ars Cameralis był jednym z pierwszych interdyscyplinarnych festiwali w Polsce. Podczas pamiętnego koncertu Kronos Quartet z Henrykiem Mikołajem Góreckim w 1995 r. repertuar był zaskakujący: nie tylko Górecki, ale i utwory Elvisa Presleya. Koncert łączył muzykę i wizualizację, bowiem Kronos Quartet już od początku istnienia miał świadomość przenikania się sztuk. Albo koncert Johna Zorna dedykowany Hansowi Bellmerowi. Zorna zafascynowała historia lalki, trafił do Japonii, a tam zainteresował się urodzonym w Katowicach Bellmerem. I w stulecie urodzin tego artysty dał w Katowicach niezwykły koncert, chociaż sam nie pojawił się na scenie, ukrył się za dźwiękiem. Albo cała seria wydarzeń związanych z poezją konkretną (Václav Havel i Stanisław Dróżdż) czy np. koncert utworów fortepianowych Nietzschego – nie każdy wie, że w ogóle je pisał.

Gdy zaczynaliśmy, interdyscyplinarność przyjmowana była dosyć nieufnie. Dziś jest czymś naturalnym, największe festiwale muzyczne umieszczają w swoich programach wystawy, warsztaty dla dorosłych i dzieci, spotkania literackie. My to robimy od trzydziestu lat.

Każdej edycji towarzyszy hasło. Poprzednio była to Utopia, w tym roku Kosmos. To nie tylko upamiętnienie setnej rocznicy urodzin Stanisława Lema, także pięćdziesięciolecie Spodka, najbardziej kosmicznego obiektu w Katowicach.

MZ: Chodziło nam bardziej o filozoficzny niż fizyczny wymiar kosmosu. Potrzebna jest dyskusja o sprawach przyziemnych i wzniosłych, o mikro- i makrokosmosie. Gdy patrzymy w kosmos, widzimy jedynie te 5 procent, o których cokolwiek wiemy. A jak wygląda pozostałe 95 procent? Pozostają szumy, dźwięki, rozbłyski, domysły. Parafrazując ↦

↦ Carla Sagana można powiedzieć, że jesteśmy małą sceną, a kosmos jest audytorium. Oczywiście, Spodek to ważny symbol w Katowicach, ale myślimy o nim raczej w szerszym kontekście.

Po lekturze książki Konstantego Usenki uświadomiłem sobie, jak Związkiem Radzieckim i krajami Europy Środkowo-Wschodniej zawładnęła architektura kosmiczna. Spodek wygląda dosyć skromnie w porównaniu z architekturą kosmiczną na Bałkanach chociażby.

O życiu i twórczości Lema porozmawiają Ewa Lipska i Agnieszka Gajewska.

TOBIASZ MELANOWSKI: Trudno nie wspomnieć o Lemie, trudno przy tej rocznicy nie oddać mu pokłonu w ramach Festiwalu. Zaprosiliśmy znakomitą poetkę i przyjaciółkę Lema, Ewę Lipską, i autorkę właśnie ukazującej się biografii pisarza, Agnieszkę Gajewską. Chcemy zapytać, dla kogo i w jaki sposób Lem jest punktem odniesienia.

Niedawno w katowickiej dzielnicy Szopienice powstał mural poświęcony Lemowi.

MZ: Lemowi można by poświęcić osobne festiwale, co się zresztą dzieje. W Dubaju, na EXPO, jeden z pawilonów będzie dedykowany właśnie jemu. Nie mogliśmy Lema pominąć.

Festiwal potrwa trzy tygodnie. Tradycyjnie wspiera się na czterech filarach: muzyka, sztuka, literatura, kino.

MZ: Inaugurujemy Festiwal szczególną wystawą Poli Dwurnik w Pałacu Schoena – Muzeum w Sosnowcu. Pola przygotowuje wielką, kosmiczną papugę, płótno 6 na 3 metry. Wspominała, że to może być jeden z jej najlepszych obrazów, a na pewno największy, jaki do tej pory namalowała.

Reszta wydarzeń w Katowicach?

MZ: Do Ronda Sztuki w Katowicach zapraszamy na wystawę „Wszechświaty równoległe". Organizujemy ją wspólnie z francuskim kuratorem Alexandre'em Devaux oraz artystami z Polski i Francji. Wystawa pokaże, w jaki sposób zaproszeni artyści rozwijają i kształtują swoje uniwersum. A jednocześnie odniesie się, czasem między wierszami, do różnych zjawisk współczesnej kultury. Wiele prac będzie także związanych z francuskim street artem.

Będzie można zobaczyć filmy Rolanda Topora.

MZ: Topor to inny świat, cały kosmos.

TM: Kolejny raz pojawia się na Festiwalu Ars Cameralis. Kilka lat temu zrobiliśmy wystawę „Planeta Topor", na której prezentowane były obrazy Rolanda, jego ojca Abrama i syna Nicolasa. Już wtedy w tytule pobrzmiewały kosmiczne odniesienia.

Najbardziej lemowski z ducha będzie chyba koncert Floexa.

EWA SUROWIEC: To będzie muzyczne wejście do świata Lema i wspaniałe podsumowanie Festiwalu. Czeski kompozytor wystąpi na Scenie w Malarni w towarzystwie artystki Never Sol i uroczego robota o imieniu Josef, znanej postaci z kultowej gry przygodowej „Machinarium".

Zawsze staramy się pokazać rozpiętość gatunków: od elektroniki i muzyki eksperymentalnej, przez rock, po wysublimowany pop i jazz. Tak będzie i w tym roku. Do udziału w festiwalu zaprosiliśmy m.in. Aleca Ounswortha z jego projektem Clap Your Hands Say Yeah. W tym roku Ounsworth wydał płytę, która jest nieco w kontrze do tego, co CYHSY nagrywali w 2005 r., kiedy byli jeszcze regularnym zespołem. Będzie nieco spokojniej, mocno nostalgicznie – Ounsworth specjalnie z myślą o jesiennej trasie przygotował nowe aranżacje utworów, w tym na fortepian. W Katowicach wystąpią również muzycy z Lipska – Warm Graves, określani przez krytykę mianem Sci-Fi-delic-Rockband. A z Berlina przyjedzie do nas Anika, uznawana za jeden z ciekawszych głosów muzycznej alternatywy, porównywana z Nico. Anika znana jest w Polsce chociażby ze współpracy z Synami, ale chyba najbardziej z popularnego serialu „Russian Doll", w którym wykorzystano jej wersję utworu The Kinks „I go to sleep". Na jej drugi album musieliśmy czekać aż 11 lat.

W programie nie zabraknie propozycji dla fanów eksperymentalnego popu: zapraszamy zwłaszcza na kosmiczny – również wizualnie – koncert amerykańskiej artystki JJ Weihl, ukrywającej się pod pseudonimem Discovery Zone. Nie zapominamy także o muzykach działających na Śląsku: podczas koncertu otwarcia będziemy mogli usłyszeć Æther CTRL, czyli solowy projekt Piotra Jeziorko z towarzyszącymi muzyce wizualizacjami autorstwa Kuby Kalisza. A to przecież nie wszystko.

Jak obostrzenia pandemiczne zmieniły festiwal?

MZ: Poprzednia edycja była całkowicie online. W tym roku też będziemy nadawać ze Sceny w Malarni Teatru Śląskiego. Ale w miarę możliwości chcemy zaprosić do Malarni widzów. Artyści budują swoje koncerty na interakcjach z publicznością, pusta sala jest dla nich trudna. Dla nas zresztą też.

ES: Liczymy na spotkania ze słuchaczami, nie możemy się już ich doczekać. Bilety na poszczególne wydarzenia można już kupować.

Co jeszcze polecacie?

TM: Spotkanie z autorką ilustracji książek dla dzieci Joanną Rusinek. Interesujący będzie performans literacko-muzyczny Teresy Tyszowieckiej i jej zespołu. Na co dzień jest tłumaczką. Jej przekład „Afrykańskich korzeni UFO" Anthony'ego Josepha to mistrzostwo świata. Będą wykłady: Katarzyny Czeczot o astrologii oraz Jędrzeja Burszty o Ursuli K. Le Guin. Po rocznej przerwie wraca poezja – będziemy gościć Jakuba Pszoniaka i Lucynę Skompską. Z kolei Igor Jarek, Zyta Rudzka, Marcin Polak i Małgorzata Boryczka zmierzą się z pytaniami Macieja Libicha o stan polskiej prozy. Cieszę się bardzo na dyskusję o obcym, Golemie, potworze Frankensteina i upiorze, w której wezmą udział Jakub Kornhauser i Łukasz Kozak. Ten ostatni opublikował rewelacyjną książkę „Upiór", w której śledzi wątki wampiryczne w polskiej kulturze.

MZ: Ubiegłoroczne hasło – Utopia – niespodziewanie zrealizowało się z nawiązką. Tymczasem wszechświat to ciągle wielka zagadka. W ostatnich dwustu, trzystu latach poznaliśmy przecież tak mało tajemnic kosmosu. Patrząc na to, co robi ostatnio Jeff Bezos, zaczyna się moda na kosmos. W trakcie Festiwalu Ars Cameralis zadamy wiele pytań o istotę kosmosu i naszej w nim egzystencji.

ES: Tyle światów mamy jeszcze do odkrycia!

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

MAREK ZIELIŃSKI – dyrektor Instytucji Kultury Ars Cameralis
TOBIASZ MELANOWSKI i **EWA SUROWIEC** – kuratorzy Festiwalu Ars Cameralis

XXX FESTIWAL ARS CAMERALIS — PROGRAM

28 PAŹDZIERNIKA (CZWARTEK)
GODZ. 18:00
PAPUGA FÉLICITÉ
Wystawa: POLA DWURNIK
Miejsce: Pałac Schoena – Muzeum w Sosnowcu

5 LISTOPADA (PIĄTEK)
GODZ. 20:00
KONCERT: ÆTHER CTRL
Wizualizacje: KUBA KALISZ

8 LISTOPADA (PONIEDZIAŁEK)
GODZ. 18:00
„KOSMICZNA SONDA ULICZNA", CZYLI O ILUSTRACJI DLA DZIECI
Spotkanie: JOANNA RUSINEK
Prowadzenie: TATIANA AUDYCKA-SZATRAWSKA

9 LISTOPADA (WTOREK)
GODZ. 18:00
PLANETA LEM
Spotkanie: AGNIESZKA GAJEWSKA, EWA LIPSKA
Prowadzenie: ARTUR MADALIŃSKI
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

10 LISTOPADA (ŚRODA)
GODZ. 18:00
AFRYKAŃSKIE KORZENIE UFO
Performance na podstawie powieści Anthony'ego Josepha:
TERESA TYSZOWIECKA

12 LISTOPADA (PIĄTEK)
GODZ. 18:00
WSZECHŚWIATY RÓWNOLEGŁE
Wernisaż wystawy: CAPTAIN CAVERN, OLIVIA CLAVEL, KILLOFFER, RENÉ LALOUX, PIOTR LUTYŃSKI, FRANÇOIS MORELLET, JUSTYNA OLSZEWSKA, OX, JACQUES PYON, MICHAŁ SMANDEK, DANIEL SPOERRI, SURFIL, SZYMON SZEWCZYK, ROLAND TOPOR
Kurator: ALEXANDRE DEVAUX
Współpraca kuratorska: MAREK ZIELIŃSKI
Miejsce: Galeria ASP w Katowicach Rondo Sztuki
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy
Wystawa potrwa do 12 grudnia 2021
Oprowadzanie kuratorskie odbędzie się 12 listopada o godz. 19:00

13 LISTOPADA (SOBOTA)
GODZ. 11:00
ŚWIATŁOKOPIE
Warsztaty artystyczne dla dorosłych:
KOLEKTYW GOOD NIGHT

GODZ. 18:00
NIEBO CIEMNĄ NOCĄ
Spotkanie autorskie towarzyszące instalacji: JUSTYNA OLSZEWSKA
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

GODZ. 20:00
KONCERT: DISCOVERY ZONE (US)

14 LISTOPADA (NIEDZIELA)
GODZ. 11:00
MALOWANIE ŚWIATŁEM
Warsztaty artystyczne dla dzieci (5–9 lat):
KOLEKTYW GOOD NIGHT

GODZ. 17:00
300 TYSIĘCY KM/S
Spotkanie autorskie: KOLEKTYW GOOD NIGHT
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

15 LISTOPADA (PONIEDZIAŁEK)
GODZ. 18:00
POKAZ FILMÓW: BAFTA 2020 SHORTS

16 LISTOPADA (WTOREK)
GODZ. 18:00
O WPŁYWACH CIAŁ NIEBIESKICH. WSTĘP DO ASTROLOGII POLITYCZNEJ
Wykład: KATARZYNA CZECZOT

GODZ. 20:00
KONCERT: LAEL NEALE (US)

17 LISTOPADA (ŚRODA)
GODZ. 18:00
OBCY, GOLEM, FRANKENSTEIN, UPIÓR
Dyskusja: JAKUB KORNHAUSER, ŁUKASZ KOZAK
Prowadzenie: ARTUR MADALIŃSKI
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

GODZ. 20:00
OBCY, GOLEM, FRANKENSTEIN, UPIÓR VOL. 2
Koncert: MALA HERBA & AGATA SOKÓŁ

18 LISTOPADA (CZWARTEK)
GODZ. 18:00
O „LEWEJ RĘCE CIEMNOŚCI" URSULI K. LE GUIN
Wykład: JĘDRZEJ BURSZTA
Wydarzenie będzie tłumaczone na polski język migowy

GODZ. 20:00
KONCERT: WARM GRAVES (DE)
KONCERT: ANIKA (DE)

20 LISTOPADA (SOBOTA)
GODZ. 20:00
KONCERT: CLAP YOUR HANDS SAY YEAH / SOLO (US)

22 LISTOPADA (PONIEDZIAŁEK)
GODZ. 18:00
POKAZ FILMÓW: BAFTA 2021 SHORTS

24 LISTOPADA (ŚRODA)
GODZ. 20:00
KONCERT: BLED

25 LISTOPADA (CZWARTEK)
GODZ. 18:00
MIKROKOSMOSY – SPOTKANIE O POLSKIEJ PROZIE
Spotkanie prozatorskie:
MAŁGORZATA BORYCZKA, IGOR JAREK, MARCIN POLAK, ZYTA RUDZKA
Prowadzenie: MACIEJ LIBICH

26 LISTOPADA (PIĄTEK)
GODZ. 18:00
KOSMOSY INTYMNE – SPOTKANIE O POEZJI
Spotkanie poetyckie: JAKUB PSZONIAK, LUCYNA SKOMPSKA
Prowadzenie: JAKUB SKURTYS

GODZ. 20:00
KONCERT: FLOEX (CZ)

→ Wszystkie wydarzenia odbędą się w Teatrze Śląskim na Scenie w Malarni (ul. Teatralna 2a, Katowice), chyba że zaznaczono inaczej.
→ Bilety na poszczególne wydarzenia można kupić na portalu internetowym Ticketmaster.
→ Wszystkie wydarzenia, poza pokazami BAFTA 2020 Shorts, BAFTA 2021 Shorts oraz warsztatami, będą dostępne również online.
→ Wszystkie bieżące informacje będą dostępne na stronie internetowej arscameralisfestiwal.pl

ORGANIZATORZY
Województwo Śląskie
Ars Cameralis Silesiae Superioris
ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

PARTNERZY
DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY, DZIEDZICTWA NARODOWEGO I SPORTU POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY
Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu
TYGODNIK POWSZECHNY
TEATR ŚLĄSKI im. St. Wyspiańskiego

PATRONAT MEDIALNY
Polskie Radio Katowice
Ultramaryna

BILETY
ticketmaster

NAUKA

TO NIE SĄ CZARY

Osoby wprowadzone w stan hipnozy stają się bardziej podatne na sugestię. Mimo niezbyt naukowej historii zjawisko to ma dziś zastosowanie w psychologii.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Wpadasz w trans, twoje powieki robią się ciężkie, nie możesz poruszyć żadnym mięśniem" – zwraca się do Kąska tytułowy bohater filmu „Kochany Urwis 2", jednocześnie rytmicznie wymachując przed jego nosem medalionem. Pies podąża wzrokiem za dyndającym przedmiotem, a chłopak kontynuuje tonem nieznoszącym sprzeciwu, że po odliczeniu do trzech i klaśnięciu Kąsek się obudzi i będzie postępować zgodnie z jego rozkazami. Ten nie zachowuje się już jednak jak pies, i na pewno nie wygląda, jakby gdziekolwiek się wybierał. Zamienił się w styropianową rzeźbę, którą urwis w przestrachu wrzuca w krzaki.

Za tą karykaturalną sceną z początku lat 90., która zadziwiająco silnie zapadła mi w pamięć (być może z obawy o nieszczęsnego psa!), kryje się zestaw popularnych wyobrażeń dotyczących hipnozy – w dużej mierze zaczerpniętych zresztą z jej barwnej historii.

Niewidzialne fluidy

Już praktyki, z których wywodzi się hipnoza, przywodzą na myśl zwierzęta. Odwoływały się one do tajemniczego wpływu dotyku na zachowanie i stan zdrowia innych ludzi – i swego czasu pretendowały do tego, by uznawać je za naukowo uzasadnione. Zyskały miano „magnetyzmu zwierzęcego". Nazwa podkreślała, że zjawisko dotyczy nie tylko ludzi.

Twórca tej koncepcji, francuski lekarz Franz Anton Mesmer (1734-1815), uważał, że w ciele znajdują się kluczowe dla życia płyny, które podlegają „zwierzęcej grawitacji", podobnie jak wody na powierzchni Ziemi oddziałują grawitacyjnie z ciałami niebieskimi. Niektóre choroby, zarówno ciała, jak i umysłu, miały być skutkiem zaburzeń przepływów tej substancji. Ponieważ Mesmer i tak nie był zwolennikiem stosowania procedur medycznych, które mogły powodować skutki uboczne, w końcu doszedł do wniosku, że niektórych pacjentów najlepiej leczyć dotykiem.

Uzdrowiciel, którym po przeszkoleniu mógł zostać każdy, miał przywracać prawidłowy przepływ płynów magnetycznych w ciele, zwłaszcza w obrębie ognisk choroby. Tyle że Mesmer substancję uznawał za niewidzialną, a ona na zawsze taka pozostała. Nie zlokalizowała jej nawet komisja składająca się z członków Francuskiej Akademii Nauk i wydziałów lekarskich (w jej skład weszli m.in. twórca nowożytnej chemii Antoine Lavoisier i ówczesny ambasador USA we Francji Benjamin Franklin), która w 1784 r. z przekonaniem orzekła, że teoria Mesmera nie ma żadnego poparcia w faktach. Nie była też jednak nawet wystarczająco precyzyjna, aby można było ją obalić. Mesmer leczył dalej.

Silił się na wyjaśnienie, które byłoby ugruntowane w materialnej rzeczywistości, ale zaprowadziło go to do twierdzeń mających niewiele wspólnego z kryteriami naukowości. Nie powinno to dziwić – z jednej strony u źródła takich praktyk leżało nastawienie na konkretne rezultaty, w szczególności medyczne, a więc ich zwolennicy szukali poparcia w twardych danych empirycznych, coraz istotniejszych w czasach oświecenia. Z drugiej – ważnym elementem tych praktyk było jednostkowe doświadczenie związane z funkcjonowaniem mózgu, którego nadal w pełni nie rozumiemy, co sprzyjało interpretacjom w kategoriach duchowych.

Czas na sen

Mesmer potrafił wywoływać u pacjentów konwulsje, senność czy mutyzm. Kolejni naśladowcy uczyli się od niego technik „zarządzania zwierzęcym magnetyzmem", zwanych już wtedy me-

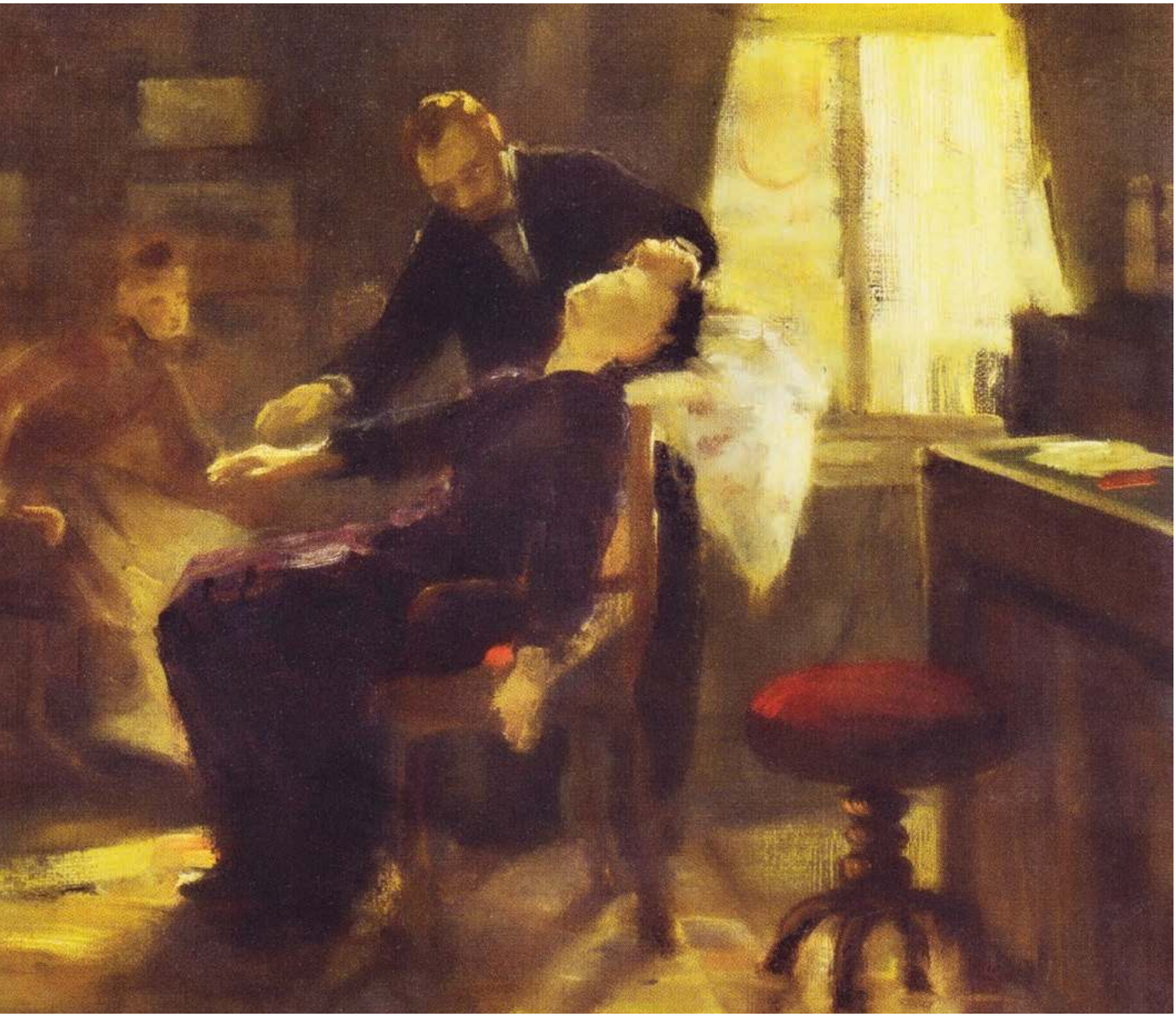

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Albert von Keller, Hipnoza w Schrenck-Notzing, 1885 r.

smeryzmem. Leczyli, odganiali demony, wprowadzali własne innowacje. Do wywoływania pożądanych efektów używali dłoni, siły umysłu oraz namagnesowanych przedmiotów.

Nietypowe efekty, które miały zaważyć na losach całej dziedziny, osiągnął podczas jednej z sesji Amand-Marie-Jacques de Chastenet, markiz de Puységur (1751--1825). Kiedy spotkał się z Victorem, pacjentem cierpiącym z powodu przekrwienia płuc i gorączki, miał już na koncie niewielkie sukcesy w sztuce – ulżył kilku osobom w bólu zębów. Poważniejsze schorzenie stanowiło kolejne wyzwanie.

De Puységur próbował przywrócić właściwy przepływ rzekomych płynów w organizmie pacjenta, a czekając na nadejście kryzysu zdrowotnego, Victor miał wstąpić w stan świadomości na granicy jawy i snu. De Puységur nazwał go „magnetycznym somnambulizmem", w nawiązaniu do zaburzenia snu zwanego też sennowłóctwem, które, choć rzadko, występuje u niektórych bez ingerencji osób trzecich. Ludzie w tym stanie wstają i wykonują różne czynności, jednak nie są do końca sobą – omijają przedmioty na swojej drodze, ale mogą nie czuć bólu czy nie poznawać bliskich, a przede wszystkim nie słyszą, co się do nich mówi. Po właściwym i pełnym wybudzeniu nie pamiętają całego epizodu. De Puységur podkreślał jednak, że „magnetyczny somnambulik" reagował na wydawane przez niego komunikaty. Przyczyny tego stanu rzeczy dopatrywał się w szczególnej więzi, jaka miała łączyć magnetyzera i jego pacjenta. Więzi, która sprawiała także, że osoby „namagnetyzowane" stawały się podatne na jego sugestie.

Próby wyjaśnienia przez Mesmera efektów „terapii" w kategoriach fizycznych zaprowadziły go w ślepy zaułek i ostatecznie pogrążyły w ocenie sceptyków. De Puységur natomiast przyjmował, że wszelkie efekty stosowanych przez niego zabiegów wynikały z nawiązania psychologicznej więzi pomiędzy uzdrowicielem a pacjentem. Przyjmował, że gwarancją sukcesu jest obopólna gotowość do współpracy i wiara w możliwość osiągnięcia niezwykłego stanu świadomości.

Ta idea była już nie do zatrzymania. ↦

Odpływ magnetyzmu

↦ José-Custódio de Faria (1756-1819) na początku XIX w. na swoich demonstracjach zwierzęcego magnetyzmu zaczął gromadzić tłumy. Zasłynął ze zdolności wprowadzania w „stan somnambuliczny" za pomocą krótkiej komendy „spać!" wszystkich osób zgromadzonych na jego prezentacji w sali. Wiedział, że dopóki obserwatorzy nie uwierzą w jego wyjątkową moc, to nie będą reagować na jego komunikaty w oczekiwany sposób. Podkreślał istotny aspekt: otwartość podmiotu na sugestie. Dzisiaj wiadomo, że lepszą współpracę z hipnotyzerem wróży ogólnie wyższa podatność na sugestie na co dzień. Warto jednak zaznaczyć, że tak rozumiana cecha nie ma nic wspólnego z łatwowiernością czy konformizmem.

Określenie „hipnotyzm" zaproponował Étienne d'Hénin de Cuvillers (1755-1841), który próbował zbudować wizerunek mesmeryzmu jako wiarygodnych praktyk o wymiernych efektach. Jednak pojęcie, które ostatecznie przerodziło się w „hipnozę", spopularyzował dopiero James Braid (1795-1860), chirurg, który zainteresował się technikami mesmeryzmu w latach 40. XIX w. Utrzymując, że hipnotyczna indukcja „nerwowego snu" opiera się tylko na ugruntowanych zjawiskach psychologicznych i fizjologicznych, stanowczo odrzucał ideę magnetycznego wpływu. Tym samym zakwestionował też zasadność pozorowania jakichkolwiek fizycznych ingerencji w ciało pacjenta – w szczególną koncentrację wprowadzał poprzez techniki fiksacji wzroku.

Pojęcia „hipnotyzm" i „hipnotyzowanie" (od greckiego *hypnos*, czyli „sen") miały grubą kreską oddzielić praktyki związane ze „snem nerwowym" od „mylnych teorii o magnetycznych płynach".

Jednym z przykładów prezentacji, które po dziś dzień wzbudzają niedowierzanie, jest tzw. most kataleptyczny. Poprzez wprowadzenie osoby w stan hipnozy można ułatwić napięcie dużych grup mięśni, dzięki czemu człowiek jest w stanie wytrzymać długi czas w pozornie bardzo nienaturalnej pozie, leżąc kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią, z podparciami tylko pod stopami i karkiem. Choć taki widok może przywoływać skojarzenia z lewitacją, to jedyną odpowiedzialną za niego siłą jest siła mięśni. Do podobnej sztywności dochodzi np. podczas stuporu katatonicznego, występującego u osób z zaburzeniami psychicznymi lub schorzeniami neurologicznymi – przybierają one pozy, które pozornie wydają się wymagać nadludzkiej siły.

Lepszą współpracę z hipnotyzerem wróży ogólnie wyższa podatność na sugestie na co dzień. Ta psychologiczna cecha nie ma jednak wiele wspólnego z łatwowiernością czy konformizmem.

Widzenie z zamkniętymi oczami

Stan, w jakim znalazł się Kąsek, mógł być nawiązaniem do zjawiska katalepsji, ale niewykluczone też, że został zapośredniczony przez inne mity. W internecie można znaleźć filmiki z trwającymi w bezruchu zwierzętami, o tytułach takich, jak „zahipnotyzowana kura".

Oczywiście, zwierzęta nie mogły ulec sile jakiejkolwiek sugestii – można wprowadzić je w ten stan poprzez utrzymywanie ich w konkretnej pozycji. To zasługa systemu reakcji pozwalających im się uchronić przed drapieżnikami. Tzw. bezruch toniczny, który być może ma odległy związek z zastyganiem ludzi w różnych pozach, ma jednak niewiele wspólnego ze stanem hipnozy, w jaki wprowadza się ludzi.

Takie zjawiska, które wydawały się wymagać nieziemskich mocy, a mimo to były wytłumaczalne na gruncie nauki, wzbudzały zaufanie do innych, już czysto okultystycznych koncepcji. I tak rytuały mesmerystów już nie tylko leczyły, wprowadzały w nietypowe stany świadomości, wywoływały chwilowe zmiany osobowości czy doprowadzały do drgawek, ale też pozwalały obudzić zdolności do telepatii, a nawet do przewidywania przyszłości.

Opisy niektórych z nich pojawiały się początkowo w tygodniku medycznym „The Lancet", aż pod koniec lat 30. XIX w. Thomas Wakley, założyciel czasopisma, postanowił poddać je weryfikacji. Przeprowadził eksperyment, w którym nabrał podatną na mesmeryzm kobietę, że oddziałuje na nią magnetycznie – a gdy ta wpadła w trans, Wakley uznał, że cały mesmeryzm to jedno wielkie oszustwo.

Wyraźnie nie docenił jednak mocy autosugestii. Badania przeprowadzone przez Balaganesha Gandhiego i Davida Oakleya, opisane w 2005 r. w „Consciousness and Cognition", wskazują, że samo słowo „hipnoza" może potęgować jej efekt. Uczestników eksperymentu próbowano wprowadzić w stan hipnozy za pomocą standardowej procedury, w której słowo „zahipnotyzowany" zmieniono na „zaabsorbowany". Okazało się, że miało to wpływ na ich zaangażowanie – rzadziej ulegali sugestiom hipnotyzera, chociaż pozostałe elementy procedury w obu przypadkach były identyczne.

Jeżeli hipnoza miała być traktowana poważnie w kręgach naukowych, a nie rozrywkowych, to potrzebowała odróżnienia jej od sztuczek stosowanych przez grających niekoniecznie czysto mesmerystów. To zadanie okazało się jednak trudne nawet dla komisji powołanej przez paryską Akademię Medyczną, która od 1826 r. skrupulatnie przyglądała się mesmeryzmowi. Członkowie komisji obserwowali dziesiątki prezentacji mesmerystów i starali się podważać ich wiarygodność. Ustalono wtedy, że magnetyzer jest w stanie wprowadzać niektórych w stan somnambulizmu, podczas którego nie docierają do nich żadne bodźce i pozostają nieczuli nawet na zabiegi wywołujące ogromny ból. Co ciekawe, raport nie odrzucał jednak mniej wiarygodnych z dzisiejszej perspektywy doniesień – takich jak pojawianie się zdolności do widzenia z zamkniętymi oczami. Widocznie komisja dała się przekonać.

Jesteś pochłonięty lekturą

Nadużyciem byłoby stwierdzenie, że dzisiaj wszystko, co się tyczy stanu hipnozy, jest jasne. Nie należy już ona jednak do sfery magii ani trochę bardziej niż jakakolwiek zdolność ludzkiego umysłu – czy to ubieranie w słowa abstrakcyjnych idei, ponadprzeciętna sprawność liczenia czy zmiana postrzegania konkretnego obrazka w zależności od tego, czego oczekujemy. To ostatnie, choć często wbrew naszej woli, jest nieodłącznym elementem percepcji.

Argumenty przemawiają za tym, że coś podobnego dzieje się w przypadku hipnozy – w wyniku połączenia naszych biologicznych predyspozycji i uwarun-

kowań społecznych stosunkowo łatwo wprowadzić nas w stan, w którym sugestie hipnotyzera kształtują sposób, w jaki postrzegamy rzeczywistość.

Wprowadzenie w hipnozę rozpoczyna się od indukcji, czyli przedstawienia instrukcji, które pozwalają hipnotyzowanemu się uspokoić, skoncentrować i ułatwiają mu przyjęcie pożądanego nastawienia. To zalecenia w rodzaju „skup się na dźwięku własnego oddechu". Ta procedura ma wprowadzić w stan nazywany przez niektórych hipnotycznym transem. Niektórym osobom może ułatwiać koncentrację zastosowanie wahadła, choć ten gadżet nie jest ani niezbędny, ani zbyt często używany.

Kolejnym etapem jest przedstawianie sugestii, czyli komunikatów w formie stwierdzeń, odnoszących się do stanu i działań hipnotyzowanego, np. „Twoja ręka robi się tak sztywna, że nie jesteś w stanie jej zgiąć". I już na tym etapie większość osób pozytywnie nastawionych do współpracy z hipnotyzerem będzie przekonana, że kontrola kończyny nie jest w ich mocy. Tylko 10-15 proc. osób wykazuje niską podatność na sugestię i pozostanie niewzruszone. Pozostali będą realizować słyszane komunikaty – często nawet wtedy, gdy faza indukcji nie będzie miała miejsca.

Wciąż nie jest jasne, które elementy indukcji są kluczowe i jakie aspekty sugestii wywierają największy wpływ na uzyskiwany efekt. Badania dostarczyły już jednak przekonujących argumentów za tym, że w stanie hipnozy naprawdę percypujemy rzeczywistość w specyficzny sposób.

Przede wszystkim eksperymenty potwierdzają, że w wyniku sugestii hipnotycznych poddane jej osoby są w stanie efektywniej redukować doznawany ból. Vilfredo De Pascalis z Uniwersytetu Rzymskiego wraz ze współpracownikami przebadał osoby o różnej podatności na sugestie. Podczas hipnozy aplikowano im w palce bolesną stymulację elektryczną. Badacze zauważyli, że u osób najbardziej podatnych na sugestie sugerowane strategie radzenia sobie z bólem były najskuteczniejsze.

Kiedy badani wyobrażali sobie, że ich dłoń chroni rękawiczka, cierpieli mniej. Efekt był widoczny także podczas analizy wyników EEG, które potwierdziły, że reakcje mózgowe w okolicach sensorycznych były stłumione, pomimo aplikowania tych samych bodźców bólowych.

Nie umiesz czytać

Przekonujących dowodów istnienia odmiennych stanów percepcyjnych w trakcie hipnozy mogłyby dostarczyć też obserwacje związane z reakcjami automatycznymi. Jedną z takich reakcji jest czytanie wyrazów, na które pada wzrok. Ten efekt wykorzystuje się w teście Stroopa – prezentuje się badanym słowa oznaczające kolory, ale w kolorach niezgodnych ze znaczeniem, np. „żółty" napisane na niebiesko. Badani mają nazywać kolory liter, ignorując słowo. To wymaga jednak wysiłku, więc nazwanie koloru zajmuje więcej czasu, niż gdyby znaczenie słowa i kolor były zgodne. Dzięki odpowiedniej sugestii hipnotycznej, np. „nie umiesz czytać", czas odpowiedzi badanych się skraca. Tak jakby w wyniku hipnozy ich mózg rzeczywiście oduczył się czytać, od czego nie są w stanie go powstrzymać poza stanem podwyższonej podatności na sugestie.

Innym razem zaobserwowano, że hipnotyzer może manipulować świadomymi odczuciami badanego. Zadaniem uczestników eksperymentu Patricka Haggarda z University College London było wskazanie, w jakim miejscu na tarczy zegara znajdowała się wskazówka, kiedy ich palec się poruszył. Badani zostali wprowadzeni w stan hipnozy i wykonywali zadanie w trzech warunkach.

W pierwszym decydowali samodzielnie o momencie, w którym ruszą palcem. W drugim ich palec został poruszony przez guzik, na którym mieli go trzymać. W trzecim hipnotyzer zasugerował, że palec „sam wykona wyraźny ruch w dół" i chociaż „nie będą wiedzieć, kiedy to się wydarzy, to będą tego wyraźnie świadomi". Badani wcielili sugestię w życie i faktycznie oceniali ruch palcem (który w końcu wykonywali sami) w trzecim warunku jako nie do końca dobrowolny. W dodatku w tym warunku rejestrowali czas poruszenia palcem z opóźnieniem typowym dla ruchów mimowolnych, a nie samodzielnych.

Stan hipnozy sprawił, że swój własny ruch naprawdę postrzegali jako spowodowany jakąś zewnętrzną siłą.

Dla zdrowia

Więc jak to jest z tą magią – jakie zachowania da się wywołać podczas „hipnotycznego transu", a które rewelacje powinny wzbudzić podejrzenia o oszustwo? To zależy. Przede wszystkim od nastawienia samego hipnotyzowanego, od relacji, jaką nawiąże z hipnotyzerem, a może nawet od oczekiwań społecznych, jakie wyczuwa. Osoba, która wyznaje zasadę, że nie przyjmuje śmiesznych póz przed dużą publicznością, najprawdopodobniej także pod wpływem hipnozy nie da się skłonić do żadnych wybryków na scenie. Jeżeli natomiast ktoś zgłosi się jako ochotnik, to jego brak zahamowań nie powinien dziwić. U wybranych osób hipnotyzerowi może udać się nawet wywołać halucynacje (np. latającego wokół nich motyla) albo zmienić ich percepcję bodźców (np. tak, by jedząc cebulę, byli pewni, że to jabłko). Szansę powodzenia ma także próba wpłynięcia na zachowanie już po wyjściu z właściwej hipnozy. Gdyby filmowy Kąsek cokolwiek rozumiał, być może w hipnotycznym transie dałby się przekonać do przyszłej współpracy przeciwko wspólnemu wrogowi.

Niektórzy psychologowie wskazują, że tzw. sugestie posthipnotyczne mogą być cenne podczas interwencji terapeutycznych. Poprzez przedstawianie fikcyjnych scenariuszy w czasie hipnozy można przygotować kogoś na doświadczenie analogicznych sytuacji w przyszłości albo wyrobić u niego odpowiednie nastawienie. Udokumentowano korzyści płynące z uzupełnienia standardowych metod leczenia poprzez zastosowanie hipnoterapii m.in. w przypadku takich problemów zdrowotnych jak ból pooperacyjny czy zespół jelita drażliwego.

Dla lękających się o dobrostan Kąska dodam, że ze stuporu uratowali go obwoźni sprzedawcy karmy dla psów, którzy zaprezentowali strawę tak pachnącą, że nie mógł się oprzeć. I za tym też kryje się jakaś prawda, a jednocześnie otucha – niezależnie od tego, jak głęboka będzie wydawać się hipnoza, nie utkniemy w niej na zawsze.

Podczas jej przeżywania pozostajemy sobą i jeśli usłyszymy sugestię godzącą w nasze przekonania, wyczujemy jakiekolwiek zagrożenie albo stanie się na tyle frustrująca, że będziemy chcieli ją zakończyć – wrócimy do codziennej rzeczywistości równie łatwo, jak łatwo było nas przekonać, że głos, za którym podążamy, zaprowadzi nas w bezpieczne miejsce.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

DOMENA PUBLICZNA / WIKIOO.ORG

POTWÓR POWRÓCIŁ

„Ulisses", legendarny jeszcze przed publikacją, był bohaterem procesów sądowych o naruszenie moralności publicznej, oskarżano go o antyhumanizm, antyirlandzkość, antyangielskość, antyamerykańskość i bluźnierstwo.

MAGDALENA HEYDEL

W styczniu 1941 r., na wieść o śmierci Jamesa Joyce'a – i dwa miesiące przed własną śmiercią – Virginia Woolf zanotowała w dzienniku: „No i umarł Joyce – Joyce, jakieś dwa tygodnie młodszy ode mnie. Pamiętam, jak panna Weaver we włóczkowych rękawiczkach przyniosła »Ulissesa« do nas na herbatę, do Hogarth House. (...) Czy poświęcimy życie na wydrukowanie tego? Te nieprzyzwoite strony wglądały tak niezbornie, a ona taka staropanieńska, zapięta pod samą szyję. Te strony aż kipiały od nieprzyzwoitości. Schowałam to wszystko do szuflady inkrustowanego biureczka. Któregoś dnia przyszła Katherine Mansfield i wtedy to wyciągnęłam. Katherine zaczęła czytać, prześmiewczo, aż nagle powiedziała: »Ale coś w tym jest« – oto scena, która, jak uważam, powinna trafić do historii literatury. I pamiętam też, jak Tom mówił w pokoju u Ottoline, w Garsington – bo to się wtedy ukazało – jak ktokolwiek może jeszcze w ogóle pisać po tym potężnym osiągnięciu geniuszu, jakim jest ostatni rozdział? Joyce bywał tu i tam, ale nigdy go nie poznałam. Kupiłam tę niebieską, broszurową książkę i czytałam ją tu któregoś lata, zdaje się, że w spazmach zachwytu, odkryć, a potem znów na długo popadając w straszliwą nudę. Prehistoryczne czasy".

Jacques-Émile Blanche, portret Jamesa Joyce'a, 1935 r.

Powieść trafiła w ręce Virginii i Leonarda Woolfów w kwietniu roku 1918 jako propozycja wydawnicza ze strony Harriet Shaw Weaver, zasobnej feministki i redaktorki, gotowej do poświęceń finansowych i organizacyjnych promotorki twórczości Joyce'a. Woolfowie, podobnie jak inni wydawcy, których w popłoch wpędzały wieści o seksualnych i korporalnych aspektach nowego dzieła Joyce'a, odmówili przyjęcia maszynopisu do publikacji. Także ze względu na jego monstrualne rozmiary, choć Weaver przyniosła im na początek tylko cztery pierwsze rozdziały, po lekturze których Virginia w listach dzieliła się takimi oto wrażeniami: „To interesujące jako eksperyment; [autor] porzuca narrację i stara się oddać myśli, ale nie wiem, czy ma coś ciekawego do powiedzenia, a ostatecznie si...nie psa nie jest takie znowu różne od si...nia człowieka. Trzysta stron na ten temat może być nudne".

Trwa dyskusja, czy Woolf zrozumiała powieść Joyce'a, a nawet czy ją rzeczywiście przeczytała, czy tylko przekartkowała. „Ulisses" jednak nieraz pojawia się w dzienniku i listach pisarki, najwyraźniej więc początkowe poczucie niesmaku przemieniło się w twórczy niepokój. Ale pierwsza opinia przyszłej autorki wysoce awangardowych powieści jest znakomitym przykładem zakłopotania, w jakie ów gruby tom wprawił odbiorców, tkwiących w wiktoriańskiej obyczajowości głębiej, niżby chcieli.

Wydany ostatecznie w Paryżu w 1922 r. „Ulisses", z oprawą w precyzyjnie dobranym odcieniu greckiego kobaltu, na którym białe litery miały jawić się niczym wysepki, które z dala widział Odys, wprowadził niezły zamęt nie tylko w salonowe poczucie *decorum*, ale także w sposoby rozumienia i praktykowania literatury.

Duch, mózg i samo życie

Skupienie na „nieprzyzwoitości" tej powieści to jedna z najwyrazistszych linii jej wczesnego odbioru – i właściwie trudno się temu dziwić. Joyce zaproponował czytelnikom coś tak dziwnego i pod tak wieloma względami łamiącego przyzwyczajenia, że skupienie krytycznej uwagi na sikaniu, defekacji i męskiej masturbacji oraz nieuczesanych myślach rozbudzonej seksualnie kobiety było być może najprostszym, w miarę honorowym wyjściem z poczucia bezradności. Proces sądowy o obrazę moralności ↦

↦ wytoczony czasopismu „Little Review", gdzie czternaście rozdziałów ukazało się w odcinkach – sędziowie poprosili o tydzień zwłoki, bo uznany za pornograficzny epizod z Gerty MacDowell na plaży wydał im się tak niezrozumiały, że potrzebowali więcej czasu do przeprowadzenia odpowiednich studiów – skończył się jednak wyrokiem, a Joyce zaczął tracić nadzieję na wydanie książki.

Okazało się ono możliwe we Francji, dzięki determinacji kolejnej oddanej promotorki Joyce'a, Sylvii Beach, założycielki księgarni Shakespeare and Company, centrum życia amerykańskiego środowiska literackiego w Paryżu. Beach wraz z drukarzem Maurice'em Darantière'em z Dijon dokonali niemożliwego, zwłaszcza że prócz oporu obyczajowego musieli także zmierzyć się z trudnościami, jakie piętrzył przed nimi sam autor. Już przepisanie tekstu z niemal nieczytelnego rękopisu było wyzwaniem, a prace nad ukończeniem tekstu trwały do ostatniej chwili. Joyce żądał kolejnych korekt i wprowadzał niezliczone poprawki. Także pod względem wyboru papieru i barwy obwoluty był, delikatnie rzecz ujmując, trudny; miał również bardzo konkretne oczekiwania co do daty premiery.

Miała ona nastąpić 2 lutego 1922 r., czyli w dzień jego czterdziestych urodzin. Spełnienie tego życzenia wymagało wyższej logistyki kolejowej na trasie Dijon–Paryż, ale właśnie tego dnia w witrynie księgarni Shakespeare and Company, nad którą powiewała grecka flaga, Sylvia Beach umieściła egzemplarz „Ulissesa". Na zamówione książki czekali już subskrybenci, wśród których znaleźli się m.in. Ernest Hemingway, Winston Churchill i André Gide.

W eseju „Proza współczesna" (1919/1925), najwyraźniej po głębszym zastanowieniu, Virginia Woolf wymienia Joyce'a jako najważniejszego przedstawiciela nowego pokolenia pisarzy (używając przy tym zaimka „my"), którzy – inaczej niż ich poprzednicy – „starają się zbliżyć do życia, by z większą szczerością i dokładnością oddać to, co ich interesuje i porusza, nawet jeśli w tym celu muszą porzucić konwencje, które powieściopisarze zwykle szanują. Rejestrujmy atomy w kolejności, w jakiej opadają na umysł, wyznaczmy wzór, jaki każdy widok czy wydarzenie zostawia w świadomości, nawet jeśli zdawałby się on nieciągły i niespójny. (...) W przeciwieństwie do tych, których określiliśmy jako materialistów, pan Joyce stoi po stronie ducha; dąży do tego, by za wszelką cenę wydobyć migotanie owego najbardziej wewnętrznego płomienia, który wyświetla swe komunikaty poprzez mózg; po to, by go ocalić, z wielką odwagą pozbywa się wszystkiego, co uznaje za przypadkowe: czy to prawdopodobieństwo, czy spójność, czy jakikolwiek inny drogowskaz od pokoleń służący wspieraniu wyobraźni (...) Jeśli chcemy samego życia, to tutaj z pewnością je otrzymujemy".

Niebieskie tomiszcze PIW-u stało się obiektem niebywałego pożądania. Obiecywało i ofiarowywało **coś, czego wówczas w Polsce bardzo brakowało – wolność.**

Otchłanny spacerownik

Od 1904 r. Joyce mieszkał poza Irlandią, tą – jak ja nazwał – „pomywaczką chrześcijaństwa". Najpierw osiadł w Trieście, gdzie uczył angielskiego w szkole Berlitza, a potem przeniósł się do Rzymu. To tu w 1906 r. zrodził się pomysł powieści. Pisać zaczął ją jednak dopiero osiem lat później w Zurychu, dokąd schronił się przed wojną. Po wojnie pracował nad „Ulissesem" znowu w Trieście, a ukończył go w Paryżu.

Powieść, której struktura oparta jest na „Odysei", powstawała przez siedem lat, podczas których pisarz, jakby i na płaszczyźnie cielesnej miał zbliżyć się do swojego wzorca – Homera, niemal stracił wzrok. Pisał z dala od rodzinnego miasta, do którego nie miał już nigdy powrócić, ale dzięki przyjaciołom i rodzinie z obłędną dokładnością weryfikował najdrobniejsze szczegóły dublińskiego życia, którego jeden dzień zamknął na 723 stronach swojego dzieła.

„Ulisses" jest precyzyjnie osadzony w topografii miasta – według powieści wyznacza się trasy literackich wycieczek i pisze spacerowniki – ale jednocześnie to również zapis stanu świata 16 czerwca 1904 r., przedmiotów, dźwięków, głosów, rytmów mowy, zapachów, wszelkich sensualnych jakości. Słynna cynaderka smażona na śniadanie, dźwięk pianoli w burdelu Belli Cohen i nieprzeliczone detale świata przedstawionego – wszystko to zostało oddane z bezkompromisową wiernością wobec pierwowzoru, czyli życia. Od 1954 r. 16 czerwca odbywa się w Dublinie Bloomsday, a miłośnicy powieści celebrują to przeistoczenie ciała świata w słowo dzieła, przebierając się w stroje z epoki i przechadzając trasami bohaterów powieści.

Są to trajektorie dwóch postaci – Leopolda Blooma i Stephena Dedalusa, którym w nieoczywisty i niebezpośredni sposób przypisane zostały homeryckie role Odyseusza i Telemacha; żonę Blooma, Molly, łączy się z postacią Penelopy. W istocie jednak to nie ruchy i działania, lecz myśli i odczucia protagonistów zostają umieszczone w centrum powieści – a zarówno działania, jak i myśli dotyczą spraw codziennych, niespektakularnych, banalnie zwyczajnych. Samo życie – to właśnie było na tyle awangardowe, że głęboko oburzające.

Ową rozedrganą, nieobjętą i nużącą materię egzystencji organizuje jednak pisarz w obłędną w swojej ścisłości i komplikacji strukturę. Pozbywa się konwencjonalnej literackości, a więc np. rozwijającej się fabuły i tradycyjnego rysunku postaci. Konstruuje jednak literackość innego rodzaju: każdy rozdział odpowiada kolejnemu epizodowi z „Odysei", każdy z osiemnastu epizodów ma konkretną scenerię (wieża, szkoła, dom, łaźnia, cmentarz, redakcja, knajpa, biblioteka, ulica, sala koncertowa, znów knajpa, szpital, burdel, dom, łóżko) i godzinę; każdemu ma „odpowiadać" pewien organ ciała ludzkiego, rodzaj sztuki, kolor, symbol oraz technika narracji. Tym sposobem pisarz wymusza na czytelnikach inny od tradycyjnego typ lektury, by zawodząc zwyczajne oczekiwania, zaoferować im możliwość doznania nowych jakości niesionych przez literaturę.

Nic nie ma tu być przypadkowe: wielowymiarowy wewnętrzny schemat powieści należy z niej wyczytać, choć wybrańcom został on przez samego autora zawczasu zdradzony. W 1920 r. Joyce przekazał go w postaci tabeli Carlowi Linatiemu oraz Valery'emu Larbaudowi, wczesnym czytelnikom „Ulissesa", którym chciał powierzyć przekład dzieła na włoski i francuski. Dziesięć lat później tabelę tę przepisał na maszynie i rozsławił

w swojej książce o „Ulissesie" Stuart Gilbert, stąd znana jest jako tabela Gilberta.

Mamy zatem do czynienia z projektem totalnym – wszystko jest w najdrobniejszych szczegółach dograne i dopięte, żadnych życiowych improwizacji; i totalitarnym – Joyce chce przejąć całkowitą kontrolę nie tylko nad materią swojego dzieła, ale również nad sposobami, w jaki będzie ono czytane. Zaplanował więc model odbioru powieści, dekretując jej symboliczne i intertekstualne zawiłości. I osiągnął w tym zakresie całkiem niezły sukces, by robiąc marsową minę, śmiać się z wystawionych do wiatru wyznawców. O schemacie powieści Joyce pisał do swoich tłumaczy: „Moja przeklęta powieść-potwór to epos o dwóch plemionach (Izraelu-Irlandii), a jednocześnie cykl ludzkiego ciała oraz historyjka o jednym dniu życia"; „Wstawiłem do niej tyle zagadek i łamigłówek, że profesorowie przez kilka stuleci będą zajęci sporami, o co też mi chodziło".

I rzeczywiście, owszem, jak na razie wciąż są. „Ulisses" jako wielowymiarowa szarada doczekał się całej biblioteki komentarzy, eksplikacji i glosariuszy. Polski regał jest w niej spory i ciekawy, by wspomnieć tylko o Egonie Naganowskim, Katarzynie Bazarnik i Piotrze Pazińskim.

Obiekt pożądania

Autor pierwszego polskiego przekładu, Maciej Słomczyński, pracował nad „Ulissesem" w czasach, kiedy mało komu przychodziło do głowy, że można by ją czytać poza ramą autorskiego zamysłu. Ukazał się w 1969 r. i od razu stał się powieścią kultową, czterdziestotysięczny nakład pierwszego wydania rozszedł się błyskawicznie, a do dziejów kultury polskiej XX wieku trafiły nie tylko recenzje i dyskusje w prasie literackiej, ale też relacje z walk o zdobycie egzemplarza oraz niebotyczne ceny, jakie książka osiągała na czarnym rynku. Tłumacz stał się nieomal celebrytą i, jak pisze w posłowiu do późniejszego wydania (w sumie było ich ponad dziesięć), musiał się w pewnym momencie salwować ucieczką do domu pracy twórczej w Zakopanem przed „prośbami znajomych i nieznajomych, najazdem dziennikarzy i telefonami na pół obłąkanych paniuś – łowczyń autografów".

Ale też na renomę arcydzieła powieść Joyce'a pracowała u nas już od lat przedwojennych, kiedy to Witold Gombrowicz pisał, że to najciekawsza książka, jaką czytał (we francuskim przekładzie zresztą) w 1935 r. W 1962 r. mamy już książkę o Joysie pióra Egona Naganowskiego. Premiera przekładu „Ulissesa" w 1969 r., wraz z towarzyszącą jej dyskusją krytyczną, była raczej uwieńczeniem niż rozpoczęciem intensywnego okresu recepcji dzieła Irlandczyka nad Wisłą. Niebieskie tomiszcze PIW-u stało się obiektem tak silnego pożądania, ponieważ obiecywało, a może wręcz ofiarowywało coś, czego wówczas bardzo brakowało – wolność.

Czy będzie elektryzujący w zbiorowym odbiorze i otworzy nam szerokie nowe przestrzenie?
Takie pytanie warto postawić „Ulissesowi" w nowej polskiej wersji.

Słomczyński w posłowiu tłumacza, równie co sama powieść charakternym, znakomicie daje temu wyraz. Najpierw wyrzuca poza nawias czytelniczej wspólnoty filistrów i innych burżujów socjalizmu, skoncentrowanych na życiowych praktykaliach i obojętnych na sztukę współczesną, by zwrócić się do ludzi, którzy po książkę sięgną, chcą bowiem rozumieć swoje czasy. Temu to wybranemu, a licznemu gronu oferuje klucze do lektury wymagającego dzieła, którego prawdziwa trudność wynika nie tyle z mnogości symboli kulturowych czy gęstej sieci literackich nawiązań, co z faktu, że Joyce – i tu tłumacz pisze rozstrzelonym drukiem – zapoczątkował nowy rodzaj sztuki i doprowadził go do doskonałości na przestrzeni jednego dzieła.

„Ulisses", pisze Słomczyński, nie ma precedensu i sam – samotnie – dokonuje „ośmieszenia i pogrzebania wszystkich książek, które przed nim napisano". Jedną wspaniałą szarżą Joyce rozgromił i posłał na śmietnik historii wszystkie formy i konwencje literackie, aby możliwie najpełniej sportretować człowieka „takim, jakim jest w rzeczywistości" – w wymiarach świadomości, nieświadomości, w odruchach, cielesności, jednostkowości, gatunkowości.

Tworząc bohatera „równoznacznego z całą ludzkością" – pisze dalej Słomczyński, Joyce musiał zyskać autentyczny i bezpośredni dostęp do jego myśli i odczuć, czemu służy zrewolucjonizowana narracja – technika strumienia świadomości, i zrewolucjonizowany język – gra, przetworzenie, przeniesienie cech psychicznych bohaterów na materię językową dzieła.

Podbita legendą przemożna i jakże bojowo postępowa interpretacja Słomczyńskiego musiała robić wrażenie na wyposzczonych czytelnikach, karmionych zgodnie z dość ściśle kontrolowaną cienką dietą kulturalną. A wszelkie niezwykłości czy dziwactwa tekstu – od fascynujących gier słownych po dojmującą nudę – musiały nabierać znamion upragnionej mitycznej nowoczesności. Żeby wtedy projekt Joyce'a widzieć jako zniewalający i totalitarny, nikomu nie przychodziło do głowy.

„Tłumaczyłem tę książkę dwanaście lat" – napisał Maciej Słomczyński w posłowiu. Ale w notatniku tłumacza (cytowanym przez Jadwigę Piątkowską) można przeczytać: „Skończyłem, i to stosunkowo tak łatwo i tak prosto, że aż wstyd, że nie zrobiłem tego o całe lata wcześniej. Cały przekład zajął mi 150 dni rozrzuconych przez 9 lat!".

No więc jak? Niewyobrażalna trudność czy łatwizna? Benedyktyńska praca czy robota z doskoku? Tajemna i niezrozumiała księga czy „książka łatwa" (tak pisze Słomczyński w posłowiu). Jakkolwiek by było i bez względu na to, czy da się i czy warto te kwestie rozstrzygnąć, „Ulisses" zmienił warunki gry w literaturę i u siebie, na wielkich połaciach tradycji anglojęzycznej (co opisała już Virginia Woolf), i u nas, na skromniejszym rozmiarowo poletku. Jeśli publikacja przekładu Słomczyńskiego była wielkim powiewem literackiej wolności, to być może przede wszystkim dlatego, że otworzyła wyobraźnię polszczyzny, radykalnie poszerzyła jej możliwości twórcze i wrażliwość na możliwości eksperymentu. Od czasów tego osiągnięcia – i bez względu na ocenę jego przekładowych rozwiązań – po polsku wolno i można powiedzieć oraz napisać znacznie więcej. A nie mam na myśli „nieprzyzwoitości".

Na nowo

W tym kontekście niesłychanie ciekawy jest nowy przekład „Ulissesa" autorstwa Macieja Świerkockiego, który właśnie się ukazuje. Od tłumaczenia ↦

↦ Słomczyńskiego minęło z górką pół wieku (a od powstania oryginału – stulecie!), w międzyczasie przymierzali się do tej pracy inni wytrawni tłumacze. Świerkocki swoją wersję tworzył – jak pisze – siedem lat, a uzupełnił sążnistą książką-komentarzem zatytułowaną „Łódź Ulissesa".

Zbyt wiele wiem o retranslacjach, by wyrażać wątpliwość co do sensu tego wysiłku albo ograniczać jego znaczenie do sprostowania błędów poprzednika i odpowiedzi na współczesną wrażliwość językową czytelników. Przez pięćdziesiąt lat zmieniło się tak wiele – od najszerzej pojętego rozumienia człowieka po wąsko pojmowane rozumienie literatury modernistycznej. Żyjemy w innym świecie – technologicznie, duchowo, politycznie, kulturowo. Mówiąc o „Ulissesie", który wszak odwołuje się do wiecznotrwałych toposów naszej cywilizacji, nieprzedawniających się od czasów Homera, można by tym stwierdzeniom zarzucić powierzchowność, a jednak nie wycofuję ich. Przeciwnie: nieprzekonujące i niczego nietłumaczące wydają mi się raczej interpretacje zafiksowane jedynie na niezmienności człowieka i kultury. Wszak i Homera tłumaczymy na nowo, by usłyszeć, co mówi nam dzisiaj i tutaj, co z nami dzisiaj i tutaj robi.

Takie pytanie warto postawić „Ulissesowi" w nowej polskiej wersji. Czy będzie tak elektryzujący w zbiorowym odbiorze i otworzy nam również szerokie nowe przestrzenie? Szczerze mówiąc, nie sądzę. Nie dlatego, żebym wątpiła w wartość tłumaczeniowej i krytycznej roboty Macieja Świerkockiego albo w głębokie indywidualne przeżycia tych, którzy lekturę powieści mają jeszcze przed sobą. Raczej dlatego, że „Ulisses" jako dzieło, jako przeżycie, jako uogólniony efekt kulturowego szoku, jako kultowa powieść – jest już w odbiorze zbiorowym ugruntowany, już swoje zrobił, jużeśmy z nim swoje przeżyli. Teraz ta wielka powieść musi zadziałać inaczej. Dlatego z wielkim zaciekawieniem i niegasnącym podziwem dla dokonania tłumacza zabieram się za lekturę nowego „Ulissesa".

© MAGDALENA HEYDEL

James Joyce, **ULISSES**, *przełożył Maciej Świerkocki, Officyna, Łódź 2021*

Geniusze i chów wsobny

JAKUB PUCHALSKI

W Konkursie znalazło się troje wyjątkowych pianistów, do których będziemy wracać do końca życia. Dwoje z nich ma już zapewnioną świetną przyszłość. To nie oni potrzebowali Konkursu. To Konkurs potrzebował ich.

Co nam powiedział tegoroczny Konkurs Chopinowski? Jury dowiodło, że dla jego wyroków nader trudno znaleźć uzasadnienie, emocje z imprezy zależą więc w dużej mierze od tego, czy ktoś lubi zawody sportowe, czy nie. W sporcie jednak są określone, jasne reguły. Tu reguła jest jeszcze jaśniejsza: jury ma zawsze rację.

Zasada ta oznacza także prymat woli jury – siedemnaściorga osób o najróżniejszych gustach – nad regulaminem. Konkurs jest zupełnie jak totolotek. Tym razem zaskoczenia mieliśmy już w eliminacjach i potem, zwłaszcza w III etapie, a ostateczne wyniki były już wisienką na torcie. I nie, nie chodzi mi o to, że wybory szacownego gremium nie pokrywają się z moimi sympatiami. Nie chodzi nawet o to, że jury – jak i wszyscy słuchacze – stopniowo dostosowuje swój poziom oczekiwań do poziomu uczestników, po tygodniu dostrzegając zalety już w takich produkcjach, które wcześniej odesłane zostałyby do domu (w finale można było znaleźć przynajmniej jedną postać, która z przyczyn czysto obiektywnych – błędów – nie powinna wyjść z I etapu). Ani o to, że większości nagrodzonych nie będziemy za 10 lat pamiętać – tak jak nie pamiętamy dorobku części członków jury.

Inne byty

Konkurs był na wyjątkowo wysokim poziomie – co nie oznacza jednak, że wszyscy grali znakomicie. Nie grali. Mimo to w ciągu tych trzech tygodni pojawiło się kilka kreacji wybitnych. I znalazło się na nim troje wyjątkowych pianistów, takich, do których będziemy wracać być może do końca życia. Dwoje z nich ma już zapewnioną świetną przyszłość. To nie oni potrzebowali Konkursu. To Konkurs potrzebował ich. Mógł ich wykorzystać, by odbudować swoją pozycję nie tylko jako wielkiego muzycznego „eventu", który śledzą miliony fanów (lub po prostu kibiców) poprzez transmisje (znacząco zmieniające w tym roku dźwięk), lecz jako wydarzenia, które wskazuje kierunki i identyfikuje wielkości. Z czym od dekad ma poważne trudności.

Dlatego właśnie powtarzałem od pierwszego etapu, że tegoroczny Konkurs Chopinowski ma problem Bruce'a (Xiaoyu) Liu, a zwłaszcza problem Evy Gevorgyan (nie doceniłem przy tym faktu, że ma też problem Nikolaya Khozyainova). Liu i Gevorgyan to dwójka nie tylko jedyna w swoim rodzaju, ale jedyna dwójka, która wbiega właśnie – chyba że już tam jest – na szczyty. Nie wiem, jak w przypadku chińskiego Kanadyjczyka, wiem natomiast, że Armenko-Rosjanka znana jest świetnie światu muzycznemu od paru lat. Była dla Konkursu niczym gwiazda z nieba. Ktoś, kto gra najoczywistszego i najwierniejszego, najbardziej dopracowanego Chopina pod współczesnym słońcem, kto każdą napisaną przez kompozytora nutę umieszcza we właściwym miejscu i czasie, nadając jej naturalne i dramatyczne znaczenie – nic, tylko brać. Jednocześnie ewidentny fenomen Bruce'a Liu nie pozwalał widzieć w Gevorgyan, będącej objawieniem tradycyjnego, ale najczystszego i najwyższej jakości talentu – jednoznacznego faworyta. Jak wybrnąć z tej sytuacji?

Pomieszanie języków

Większość uczestników to piątkowi, a nawet szóstkowi studenci, o szybkiej i głośnej technice, często niewiele znaczenia przywiązujący do sensu w muzyce, albo choćby do starannej lektury tekstu

Bruce (Xiaoyu) Liu i Eva Gevorgyan. Warszawa, 17 października 2021 r.

DARIUSZ GOLIK / MATERIAŁY PRASOWE KONKURSU CHOPINOWSKIEGO

– ale naturalni, a niekiedy spontaniczni. Oczywiście, że talenty – choć prawdę mówiąc dość skromnie, poza sprawnością palców, wyedukowane. Większość powinna odpaść jeszcze w eliminacjach, dla odmiany odpadli w nich jednak jedyni dwaj pianiści, którzy Chopina grali lirycznie, słysząc wewnętrzne głosy, podkreślane subtelnym rubato. Jednym słowem – chopiniści, bo takiej właśnie gry swych utworów oczekiwał kompozytor.

Luigi Carroccia (trochę bałaganił, prawda, ale nie więcej niż laureat III miejsca García García) i Eylam Keshet nie wprowadzali już jednak zbędnego zamieszania podczas akademickiego egzaminu, jakim był przede wszystkim I etap. Byłby to najwyraźniej niemiły ferment: na poprzednim Konkursie Carroccia doszedł przecież aż do III etapu! Tym razem nie popełniono niedopatrzenia i odrzucono go w przedbiegach.

Uczestników zakwalifikowanych do Konkursu można podzielić na grupy. Jedna to „gładcy wirtuozi", o nienagannej technice palcowej (Bui, Shindo, Gagliano, Furumi, Kobayashi itp.) i często skłonnościach sentymentalnych (bo tyle z reguły zostaje w takim ujęciu z poezji). Następnych nazwę „rzetelnymi lektorami" – to ci, którzy grali chopinowski tekst z prostotą i często radością, czasem nawet z sensem, choć rzadko z wrażliwością na dźwięk, wielu eksploatowało więc niemiłosiernie wolumen instrumentów (od Sority, przez Sawadę i Sumino, po Hyuka Lee – wymieszałem nazwiska zarówno pianistów w pełni profesjonalnych, jak i takich, którzy nie dogrywali tekstu, a za całą ekspresję mieli zasadę „najszybciej i najgłośniej").

Poza tym pojawili się „konstruktorzy" – pianiści mniej lub bardziej starannie budujący swe narracje, widzący ich elementy składowe i układający je tak, by nadać im znaczenie (Leonora Armellini i Nikolay Khozyainov). To podejście ma potencjał intelektualny i pozwala zatopić się w muzycznej medytacji. Z kolei „nowatorscy wizjonerzy" szukają w Chopinie nowych sensów, często mniej lub bardziej manifestacyjnie zniekształcając lekturę tekstu Chopinowskiego i logikę jego narracji: akcentując ostentacyjnie dźwięki basowego akompaniamentu, zmieniając zapisaną artykulację, stawiając niezaznaczone akcenty, operując zmianami tempa. Jeżeli robi się coś takiego nie z głębi własnego widzimisię (zwanego „przekonaniem"), lecz z głębi namysłu, potrafi taki zabieg przynieść wstrząsające rezultaty. Ani u Osokinsa, ani u Gadjieva (ani też u Gada Cremy) tych wstrząsów nie znalazłem, chociaż bywało ciekawie – taka interpretacja to zagadka, wyzwanie dla słuchacza.

Byli wreszcie „tradycjonaliści", grający Chopina „po bożemu", zgodnie z przyjętymi kanonami interpretacyjnymi. Indywidualność ujawnia się tu przez dogłębne zrozumienie treści i formy utworów, detali i ich roli w narracji dzieła, z zachowaniem rygorów. Do niedawna była to grupa „uprzywilejowana" – to właśnie wśród nich upatrywano najlepszych ↦

MATERIAŁY PRASOWE / NIKOLAYKHOZYAINOV.COM

Nikolay Khozyainov

↦ muzyków – ale jednocześnie bardzo łatwo popada się tu w konwencjonalność. Należała do niej większość Polaków (jeżeli nie wszyscy), tutaj też mieściła się Eva Gevorgyan. To też grupa najbliższa tradycji chopinowskiej w sensie akademickim.

Generalnie – duża liczba stylistyk. Często ze sobą sprzecznych i *de facto* niezestawialnych. Jak wskazać lepszego i gorszego pianistę – skoro mówią różnymi językami? Nie całkiem dziwię się więc dziwności ostatecznego werdyktu. Absurd był nie do uniknięcia.

Można jeszcze podzielić uczestników Konkursu w inny sposób. Pianistów będących oficjalnie studentami jurorów naliczyłem w Konkursie 22. To 25 proc. całości. W finale ten stosunek wyglądał już jednak zgoła inaczej: jurorscy studenci (5 z 12) stanowili 42 proc. Popatrzmy jeszcze na nagrodzoną ósemkę: czworo laureatów to studenci jurorów, co daje już równe 50 proc. Wbrew pozorom nie chcę przez to sugerować, że wybór był nieuczciwy albo choćby tendencyjny. Chcę raczej zwrócić uwagę, jak bardzo wsobną imprezą staje się Konkurs Chopinowski. Laureaci dawniejszych edycji stają się profesorami – i hodują kandydatów dla edycji następnych, podczas których sami zasiadają w jury. 25 proc. w punkcie wyjścia może jeszcze nie jest dzwonem bijącym na trwogę, ale 50 proc. w punkcie dojścia oznacza, że najlepsi studenci z uczelni innych niż obsadzone przez naszych jurorów z rzadka decydują się na przyjazd do Warszawy. Jeżeli jacyś tu się pojawiają – to często właśnie nieco słabsi, którzy odpadają w trakcie Konkursu. Być może to dlatego w ogóle nie jest reprezentowana na Konkursie np. pianistyka francuska. Moim zdaniem: szkoda.

W chowanego z Liu

W takiej sytuacji pojawiła się trójka pianistów wyjątkowych. Każdy odmienny: zwycięzca, nowoczesny superwirtuoz Bruce Liu, filozofujący konstruktor o nienagannej technice, eksplorujący Chopinowskie faktury i treści Nikolay Khozyainov – oraz objawienie oczywistej logiki: fraz tworzonych przez zrozumienie bez mała każdego detalu narracji – Eva Gevorgyan. Trójka pianistów górująca nad resztą nadzwyczajną skalą swego talentu, uszczegółowieniem gry, intelektem, panowaniem nad fortepianem. W tym – co podstawowe – nad dźwiękiem.

XIII rząd Filharmonii Narodowej, z którego słuchałem Konkursu, nie jest dobrym miejscem dla fortepianu. Dźwięk ma tam skłonności do kotłowania się i bardzo wielu pianistów brzmiało bardzo agresywnie (miejscami nawet taka perfekcjonistka, jak Aimi Kobayashi). Nigdy Bruce Liu, nigdy Eva Gevorgyan, nigdy też Nikolay Khozyainov. Przypomina się opowieść Mieczysława Horszowskiego o tym, jak na transatlantyku spotkało się kilkoro sławnych pianistów. Wszyscy siadali do fortepianu, narzekając na jego zły dźwięk. Aż w końcu usiadł przy nim Walter Gieseking. I problem dźwięku przestał istnieć. XIII rząd w Filharmonii Narodowej jest więc dobrym probierzem – kto jest, a kto nie jest potomkiem Giesekinga w kwestii materii, z której pianista rzeźbi swą sztukę.

Co zrobić zatem z trójką pianistów, z których dwoje już jest gotowymi, kompletnymi fenomenami, a trzeci, choć nigdy nie będzie gwiazdą, zawsze będzie przyciągał bardziej wyrafinowanych, wymagających, inteligentnych słuchaczy?

Jury dało odpowiedź jedyną w swoim rodzaju. Intelektualiście podziękować. Najwyraźniej za dużo myślał w tym niezwykłym dziele, jakim jest Sonata h-moll. Do widzenia. Dramatyczną narratorkę, ożywiającą zrozumieniem i śpiewem każdą frazę (wyjątkowo aksamitne legato, choć w różnych głośnikach mogło brzmieć inaczej), sklasyfikujemy na równi z Hyukiem Lee. Ten gest – nawet nie braku wśród nagrodzonych, lecz otoczenia, w jakim została umieszczona Eva Gevorgyan – jest już jawną kpiną. Kpiną, która jednak nie zaszkodzi pianistce. Szkodzi natomiast – i to jak! – Konkursowi.

Czyżby zbyt trudną rzeczą było słuchanie Chopina zgodnego z literą tekstu? Granego nie dla zabawy, lecz dla przekazania istoty i treści tej muzyki? Nie mówię o moich wrażeniach – mówię o faktach, bo szczegółowa lektura tekstu jest faktem i możemy łatwo porównać jej poziomy u poszczególnych uczestników. Każdy gest gry Gevorgyan znajdował podstawę w nutach. W rezultacie jako jedyna skupiona była nie tylko na tym, by pokazać, jak świetną jest pianistką, lecz jak genialnym kompozytorem był Chopin.

Wreszcie Bruce Liu, prezentujący Chopina XXI wieku. Naturalnie, wszyscy cieszymy się, że wygrał – zasłużył na to. Ale czym? Bo, zdaniem jury, nie wykonaniem któregokolwiek z ważnych utworów. Liu jest świetny, ale mazurki lepiej zagrał Jakub Kuszlik (nagroda za mazurki). Liu jest fantastyczny, ale Koncert fortepianowy lepiej grał García García (choć znowu nie dogrywał i mylił się, aczkolwiek tym razem mniej był chaotyczny – udział orkiestry dyscyplinuje). Liu wspaniały, ale jeżeli sonata, to z Gadjievem. A i poloneza też zagrać nie umie – podobnie jak nikt inny zresztą (brak nagrody za poloneza).

Na szczęście nie przejmuję się nagrodami i cały sens Konkursu Chopinowskiego widzę w tym, że mogę przyjrzeć się wielu młodym pianistom, z których być może któregoś jeszcze kiedyś będę chciał posłuchać. Z natury obcą mi estetykę niezawodnego automatu, jaką Seong-Jin Cho podbija świat (największy sukces Konkursu Chopinowskiego ostatnich dekad – nie, nie przeoczyłem tego faktu), Bruce Liu szczęśliwie podniósł o dwa poziomy wyżej, potrafiąc zmienić sprawność i szybkość w muzykę. Wracać będę

też do Evy Gevorgyan, która w 2025 r. najprawdopodobniej nie będzie już potrzebowała żadnego podobnego Konkursu. Do Khozyainova, by sprawdzić, w jaki sposób rozwija się jego myślenie o muzyce – nie tylko Chopina.

Wybiorę się pewnie na ewentualne koncerty Leonory Armellini, a nawet Alexandra Gadjieva – zwłaszcza jeżeli nie będzie grał Chopina. Sprawdzę, jak rozwija się błyskotliwy talent Piotra Alexewicza – zdecydowanie najlepszego z Polaków, mimo że III etap mu się nie udał – tak samo jak przynajmniej jednemu z uczniów jurorskich, którzy dla odmiany znaleźli się w finale. Martin García García raczej nie skłoni mnie do sprawdzenia, czy wciąż wywołuje wesołość (nie moją – po raz pierwszy słyszałem jednak, by przy odczytaniu werdyktu ktoś parsknął śmiechem). Prosty i solidny Kyohei Sorita – zależnie od repertuaru sprawdzę, czy faktycznie powiedział mi już wszystko, co miał do przekazania.

Na koniec w takim razie zastanówmy się, o co w ogóle chodzi w Konkursie Chopinowskim. Gdy powstał w 1927 r., miał typować najlepszych chopinistów: doskonałych pianistów, interpretujących Chopina w sposób szczególny, ale zgodny z Chopinowskim duchem i literą. W tej chwili wskazuje po prostu najlepszego pianistę. Słyszałem to w oficjalnej wypowiedzi dotyczącej edycji z 2015 r., mogę więc przyjąć i do bieżącej. Dlaczego nie, też jest to pomysł: repertuar chopinowski świetnie sprawdza się do wyłonienia najbardziej efektownych pianistów. Jeżeli tak, chcę tylko postawić dwie tezy.

Najlepsi pianiści powinni chyba mieć choćby poprawny warsztat. I skończmy z mydleniem oczu „chopinowskim idiomem", „dbałością o Chopinowski testament", „wiernością kompozytorowi" itp. Jury Konkursu Chopinowskiego wysłało w świat komunikat: jeżeli grasz to, co Chopin napisał, rozumiesz to i ożywiasz na fortepianie w sposób zgodny z literą i z duchem kompozytora, nie przyjeżdżaj do Warszawy. My szukamy kogoś innego. Jesteśmy przy tym otwarci na najróżniejsze przeróbki i na bałagan w grze. A nawet na to – ależ tak, zapewniamy! – byś nie był naszym studentem.

© JAKUB PUCHALSKI

Zawsze ostatki

DARIUSZ KOSIŃSKI

Podobno 10. Międzynarodowy Festiwal Teatralny Dialog miał być ostatni. Podobno jego formuła się wyczerpała. Nie wiadomo, kto i dlaczego tak uznał, ale na szczęście sam Festiwal najwyraźniej nic o tym nie wiedział.

O tym, że wraz z tegoroczną edycją Dialog przejdzie do historii, słychać było z Wrocławia od dawna. Tyle się przez minione cztery lata wydarzyło, że nikt nawet nie zapytał, jak się ma taka decyzja do gremialnej obrony Festiwalu z 2017 r., gdy po odmowie przekazania ministerialnej dotacji w związku z zaproszeniem osławionej „Klątwy" Olivera Frljicia zorganizowano społeczną zbiórkę na jego utrzymanie.

Pandemia najwyraźniej zobojętniła nas na to, że coś się zamyka, więc gdyby nie list otwarty byłego dyrektora programowego Tomasza Kireńczuka ogłoszony kilka dni przed początkiem Dialogu, pewnie przeszlibyśmy do porządku dziennego i nad tą likwidacją. Kireńczuk domagał się wyjaśnień i debaty na temat powodów likwidacji Festiwalu, oskarżając Wrocław, że nie ma już w nim miejsca „nie na Dialog, ale na dialog". A „jeśli formuła dialogu jako takiego się wyczerpała, to naprawdę nie ma już dla nas nadziei". Zabrzmiało jak memento.

Puste noce

Pomysł programowy na z założenia ostatnią edycję Dialogu był najwyraźniej taki, że na jubileusz zaprasza się dawnych herosów, by zobaczyć, co robią, i zarazem pożegnać się z nimi. Z tą programową ramą melancholijnego spojrzenia w minioną bezpowrotnie przeszłość znakomicie rymowały się jawnie żałobne tony wielu przedstawień.

„Odyseja. Historia dla Hollywoodu" Krzysztofa Warlikowskiego (o której pisaliśmy) przepojona jest poczuciem dojmującej utraty, którą w nieznośny sposób do jałowej przesady doprowadza Luk Perceval w swoich „3Siostrach". Ale najmocniej te tony wybrzmiały w „Synach suki" Eimuntasa Nekrošiusa, nie tylko dlatego, że to ostatnie przedstawienie, jakie słynny litewski reżyser ukończył przed śmiercią. Spektakl to autorska adaptacja powieści Sauliusa Šaltenisa, która jest zbiorem nawracających i poetyckich zarazem wspomnień o „litewskim zbawicielu", wzorowanym jednocześnie na pastorze, poecie i nauczycielu Kristijonasie Donelaitisie (1714-1780) i na figurze Chrystusa. Ale ten mityczny bohater właśnie zmarł – jego ciało spoczywa w głębi sceny na łożu śmierci. Kolejne postacie wspominają go, opowiadając i odgrywając przypowieści z życia Kristijonasa, zamienione pod piórem Šaltenisa w rodzaj litewskiej mitografii pełnej poezji i okrucieństwa. Całość jawi się jako teatralny odpowiednik nocy czuwania przy zmarłym, tradycyjnie zwanej „pustą", kiedy żywi tworzą opowieściami i lamentami prototeatr śmierci.

Niestety trudny do zniesienia. Począwszy od konieczności nieustannego odczytywania polskich napisów, które nie nadążały za morzem słów lejącym się ze sceny, przez brak bardzo tu potrzebnej wiedzy o złożonych kontekstach kulturowych i historycznych, po drażniący ciężki patos. Długi jesienny wieczór spędzony w teatrze był pusty. Koniec końców chyba tylko szacunek dla zmarłego sprawiał, że nikt nie wymknął się z ulgą już przed przerwą.

Kto oczy od ócz tych uleczy

W grozę śmierci z przejmującą delikatnością i imponującą odwagą wkracza natomiast Krystian Lupa, który „Austerlitz" według powieści W.G. Sebalda zrealizował w wileńskim Narodowym Teatrze Młodzieżowym. Nie cofa się przed przemianą własnego pokoju wyobraźni, swojej „utopii" zachwycającej melancholijnym pięknem i obiecującej iluminację, w najbardziej przerażające, ↦

↦ więc skrzętnie wypierane miejsce śmierci – komorę gazową Zagłady.

Tytułowy bohater, Jacques Austerlitz, odkrywa, że jako żydowskie dziecko został przed laty wysłany z Pragi na Zachód. Szukając prawdy o sobie, ten Europejczyk *par excellence*, którego spotykamy wraz z narratorem na dworcu w Antwerpii i w londyńskim mieszkaniu, jedzie do Pragi, by poznać swoją przeszłość. Ta droga wiedzie go najpierw do Theresienstadt, a potem do Auschwitz – tropami zamordowanych rodziców. Wiedzie go też do Marienbadu – miejsca, gdzie był z nimi przed wojną i gdzie wszyscy troje byli szczęśliwi. Tam i on doświadcza upragnionej chwili ukojenia, której jednak nie jest w stanie zatrzymać na dłużej, zdeterminowany przez nieugaszone pragnienie prawdy i etyczny nakaz nieunikania jej nawet wtedy, gdy już nie przeczuwa się, ale wie, że przyniesie zniszczenie.

Lupa nie inscenizuje podróży Austerlitza (znakomity Sergejus Ivanovas), ale jak prowadzący całą opowieść Sebald (równie świetny Valentinas Masalskis) towarzyszy mu z całym bagażem współczesnych pytań o europejską tożsamość i człowieczeństwo. Otwiera też to doświadczenie przed nami, powołując nas najpierw na świadków, a zaraz potem na uczestników procesu, którego nie da się nie widzieć jako wciąż niedopełniony, choć dla wielu zakończony.

Przedstawienie podzielone jest na trzy wyraziste części. Pierwsza może najbardziej przypomina dawne spektakle Lupy, będąc spotkaniem z „galernikiem wyobraźni" i podróżą w przeszłość, pod prąd nurtu, który niesie nas do nieuniknionego kresu. Rozważania o czasie i śmierci, o przeszłości, która ma swoją nieodrzucalną realność pozwalającą doświadczyć minionego na nowo i dotrzeć do niejasno pamiętanej prawdy, to tematy znane z tych przedstawień reżysera, które stały się jego największymi sukcesami. Oglądając tę część, miałem wręcz wrażenie, jakby Lupa wrócił do świata „Kalkwerku" i „Wymazywania". Ale nie było w tym żadnej maniery czy irytującej jednostajności powtórzenia, bo już w tej części wyczuwało się pulsowanie czegoś zupełnie innego niż te wszystkie autoanalizy, których rozpamiętywanie z czasem zaczynało w teatrze Lupy drażnić.

Część druga to podróż do Pragi, ale zatrzymana nagle tuż przed oczekiwanym spotkaniem z Zagładą. Wspomnienie Marienbadu – wspomnienie dzieciństwa, szczęśliwe wspomnienie rodziców, a zarazem przypomnienie filmu „Zeszłego roku w Marienbadzie" Alaina Resnais'go i Alaina Robbe-Grilleta z 1961 r. – to próba innej drogi, wiodącej może ku szczęściu i spokojowi przez doświadczenie teraźniejszości – jedynego wymiaru czasu, w którym obrazy mogą istnieć i być oglądane. Ale choć Austerlitz zdoła spokojnie zasnąć, to następnego dnia bezpowrotnie utraci chwilę ukojenia i w części trzeciej powrócimy wraz z nim do tego momentu, którego nie da się uniknąć – opowieści o zgładzeniu jego matki i ojca.

Krystian Lupa wszedł tam, gdzie nie wchodzi prawie nikt. U niego teatr śmierci i teatr zagłady dociera do swojego jądra i jednocześnie się wyczerpuje.

Zamiast „do wód" podróżujemy do pustych murów Theresienstadt, oglądając najpierw film nakręcony przez ekipę Lupy, a potem propagandowy dokument nazistowski, fałszywie ukazujący życie w mieście-obozie jako podobne do beztroskiego życia w kurorcie. Patrząc na ludzi pojawiających się na ekranie w zwolnionym tempie i w stop-klatkach, wiemy, że oglądamy twarze zamordowanych. Teraz. Właśnie teraz siedząc w niewygodnych fotelach skrzypiących przy każdym ruchu, w mieście Wrocław, które kiedyś nazywało się Breslau, w kraju, przy którego granicy może ktoś właśnie zamarza, w Europie, w której znów narasta faszystowskie pragnienie usunięcia Innego. Teraz. Patrzymy.

Ale to nie koniec. Lupa wchodzi tam, gdzie nie wchodzi prawie nikt. W niemal nieznośnie długiej scenie Sergejus Ivanovas ubrany w mundur SS fotografuje i mierzy stojących przed nami na stole nago Jovitę Jankelaitytė i Matasa Dirginčiusa grających jego rodziców. Valentinas Masalskis czyta opis działania komór gazowych. Czyta świadectwo Rudolfa Hoessa, który – jak my – patrzył w głąb komory i relacjonował, co widzi. Teatr śmierci i teatr zagłady w tej scenie dociera do swojego jądra i jednocześnie się wyczerpuje.

I to jednak jeszcze nie koniec. Lupa pozwala nagiemu życiu przemówić. Gdy aktor pyta, czy mogą już stąd zejść i ubrać się, teatralne teraz z impetem uderza nas – patrzących, którzy mogliby mieć władzę nad obrazem, ale wolą być „porażeni" jego mocą. Teatr Komory obraca się przeciwko miejscu, w którym siedzimy, i przeciwko nam, którzy, jak tamci Europejczycy niemal sześć dekad temu, jedynie patrzymy. Teraz. Teraz patrzę na nagie ciała litewskich aktorów podnoszących się z pozycji ofiar Auschwitz. Matas Dirginčius krzyczy, że jest człowiekiem, a ja łapię się na tym, że ten okrzyk wydaje mi się artystycznie nietrafiony. Rozumiecie?

Spektakl się kończy, widzowie zaczynają bić brawo. Znowu, znowu – nie jestem w stanie się do nich przyłączyć, choć już mnie to nie złości i naprawdę nie mam pretensji, że aktorki i aktorzy wychodzą do ukłonów, że do ukłonów wychodzi reżyser. Tak to jest. I może nawet tak trzeba. Ale pytanie brzmi: co teraz?

Farmakon

I znów przypadek wygląda jak najwyższy stopień konieczności. Nie układałem specjalnie swojego Dialogowego programu – był on wypadkową czasowych możliwości. To on sprawił, że na koniec zostały mi dwa przedstawienia bardzo różne, ale też bardzo sobie bliskie i dające jakieś poczucie możliwej odpowiedzi.

Najpierw spektakl mistrzowski w tym sensie, że jego twórcą jest jeden z mistrzów Dialogu i teatru europejskiego, Christoph Marthaler. I w tym, że został skonstruowany z iście szwajcarską precyzją. Jeden z najoryginalniejszych europejskich twórców teatralnych, konsekwentnie rozwijający własną wersję teatru muzyczności, dźwięku i głosu, przywiózł przedstawienie „Płacz. Iluzje (morze łez 4)" zrealizowane w Schauspielhaus w Zurychu, z którym związany jest od lat.

Teoretycznie jego podstawą są przedziwne teksty Dietera Rotha, łączące – najprościej mówiąc – poezję nazywaną w Polsce lingwistyczną z tradycją (narodzonego wszak w Szwajcarii) dadaizmu. Ale teksty nie są tu wcale najważniejsze. Marthalera interesuje nie tyle język, ile słowo jako dźwięk. Komponuje przedstawienie jak utwór muzyczny, a nie literacki, więc nie według znaczenia, lecz brzmień. Przy czym brzmi zarówno muzyka, słowo (wraz z jego znaczeniami), obraz, przedmiot, a nawet emocja.

LAURA VANSEVICIENE / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

Sergejus Ivanovas i Viktorija Kuodytė w „Austerlitz" w reż. Krystiana Lupy, Valstybinis Jaunimo Teatras, Wilno, Litwa

Niejako wbrew tytułowi „Płacz" jest chwilami bardzo zabawny (szczególnie mistrzowską rolę komediową zagrał ożywiony pojemnik z wodą). Rzecz dzieje się w aseptycznej aptece, gdzie stereotypowo pedantyczne niemieckie farmaceutki w precyzyjnie odmierzonych rytmach i dźwiękach odprawiają coś, co okazuje się finalnie *requiem* nad pustką. Powracającym i łatwo rozpoznawalnym motywem przedstawienia jest „Lacrimosa" Mozarta, którą farmaceutki śpiewają też w finale, zrzucając z półek pudełka z lekami. Wcześniejsze kpiny z pragnienia uleczenia wszystkiego (cudowna parodia ulotki opisującej skutki uboczne) kulminują tu w sekwencji, która muzycznie i afektywnie łączy humor i rozpacz. Jakbyśmy zrozumieli, że nie będziemy ocaleni, i w chwili, gdy się na to godzimy, dostąpili wybawienia. To muzyczne *katharsis* jest przy tym lekkie i chłodno świetliste. Nie ma w nim litości, trwogi i drżenia. Raczej zachwyt, który jednocześnie czuje się i ogląda ze zdziwieniem, że się pojawił.

Z równym zdziwieniem odkrywam, że zapisane przed chwilą zdanie mógłbym odnieść do swojej reakcji na radykalnie odmienne od kompozycji Marthalera portugalskie „Bachantki. Preludium do oczyszczenia" w choreografii Marlene Monteiro Freitas. To bodaj najstarsze przedstawienie pokazywane na tegorocznym Dialogu (premiera w Lizbonie w kwietniu 2017 r.) było paradoksalnie najmłodsze. I ze względu na wiek oraz niezwykłą energię wykonawców, i z racji języka teatralno-muzyczno-ruchowego, który wskazuje raczej na możliwe przyszłości niż na chwalebne przeszłości.

„Bachantki" odwołują się oczywiście do Eurypidesa, a zasadą ich kompozycji jest w dużej mierze wyprowadzona z jego tragedii opozycja między porządkiem rządzącym *polis* a dionizyjskim szałem i ekstazą. Podobnie jak u Eurypidesa zachowana zostaje także dwuznaczność tej różnicy, przy czym tu wiąże się ona mocniej z wytwarzanym w trakcie przedstawienia rozpoznaniem, że i polityczność, i rzekomo wymykający się jej spazm wiodą do udręki i zniewolenia.

Marlene Monteiro Freitas i jej jak najbardziej możliwi i istniejący aktorki i aktorzy instrumentalni tworzą oszałamiający teatr szaleństwa i okrucieństwa muzycznego, wizualnego i fizycznego. Jakby realizując do końca zasadę współczesnego świata: „performuj albo giń", stopniowo doprowadzają się niemal do wycieńczenia popisami swojej sprawności. Chwile wolne od szaleństwa rytmu wydają się czcze. Momenty intensywnych eksplozji życia przedłużają się w torturę. Oba bieguny łączą się zaś w finale, kiedy narzędziem udręki staje się „Bolero" Ravela, które trwa i trwa, i trwa wybijane ciałami i instrumentami do granic wytrzymałości.

Wcześniej jako przecięcie, a może i odpowiedź (lekarstwo?) pojawia się nagle czarno-biały film ze sceną, w której młoda Japonka bez żadnej pomocy rodzi dziecko – porażający w swej prostocie obraz. W ciągu dwóch godzin przechodzimy intensywny proces – nazwać go „oglądaniem" to nie uproszczenie, lecz kpina – dla niektórych zapewne męczący, dla innych – jeśli nie przynoszący mitycznego *katharsis*, to przynajmniej, zgodnie z tytułową obietnicą, prowadzący ku niemu.

Portugalskie „Bachantki" pokazane na koniec „ostatniego" Dialogu z impetem wysadziły w powietrze jego żałobną ramę. Festiwal, który już niemal grzebaliśmy, ożył jak Maciek, co to podskoczył na desce, bo zagrali mu jeszcze. Zaskoczenie zerwaniem ze znanymi konwencjami, kontrowersje i spory, radykalnie odmienne reakcje, widzowie wychodzący demonstracyjnie już po kilkunastu minutach i entuzjastyczne owacje tych, co zostali. Wreszcie coś zaczęło się dziać...

Już po wyjeździe z Wrocławia dowiedziałem się, że w wystąpieniu na zakończenie festiwalu prezydent miasta Jacek Sutryk zadeklarował, że władze będą nadal wspierały Dialog. Może to naiwność, ale bardzo chce mi się wierzyć, że to dowód na żywą wciąż siłę teatru i że ma to mimo wszystko coś wspólnego z Dionizosem.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Arcydzieło o niczym

JAKUB MAJMUREK

Tym, którzy „Kronik Seinfelda" nigdy nie widzieli, mogę szczerze poradzić, by odstawili na chwilę współczesne seriale i wygospodarowali czas na spotkanie z naprawdę wartą poznania klasyką. Jest okazja.

Do bibliotek Netfliksa trafił skarb: wszystkie dziewięć sezonów „Kronik Seinfelda" (1989-98), najlepszego sitcomu nie tylko lat 90., ale w ogóle – w historii telewizji. W Polsce Seinfeld nigdy nie zdobył popularności, na jaką zasługiwał, być może premiera na Netfliksie ma szansę to zmienić.

To nie jest komedia dla całej rodziny

Jak to w sitcomach, pomysł jest prosty: większość akcji rozgrywa się w nowojorskim mieszkaniu tytułowego Seinfelda, z zawodu komika, konkretnie stand-upera. Na ekranie odtwarza go współtwórca formatu, komik Jerry Seinfeld, kreujący w serialu fikcyjną wersję siebie samego. Wokół Seinfelda skupiona jest grupka trzech przyjaciół: Cosmo Kramer, sąsiad z naprzeciwka, Elaine Benes, była dziewczyna Jerry'ego, oraz George Costanza, przyjaciel komika z czasów liceum.

Każdy z tych bohaterów mniej lub bardziej wzorowany jest na prawdziwych postaciach. George Costanza to luźny, prześmiewczy, czasem pisany z wyraźną niechęcią autora do samego siebie autoportret drugiego twórcy i głównego scenarzysty serialu, Larry'ego Davida. Współczesna publiczność może go kojarzyć przede wszystkim z serialu „Pohamuj entuzjazm" (niedawno na HBO premierę miał 11. sezon). David gra w nim samego siebie – komika, który po wielkim sukcesie Seinfelda nie bardzo ma pomysł, co dalej ze sobą zrobić.

Cosmo Kramer został luźno oparty na Kennym Kramerze, sąsiedzie Davida z Manhattan Plaza – wieżowca z mieszkaniami z subsydiowanym czynszem, mającego służyć przede wszystkim osobom stawiającym pierwsze kroki jako artyści sceniczni. David mieszkał tam, zanim „Kroniki" zrobiły z niego multimilionera. Oryginalny Kramer próbował robić karierę jako komik, ale bez powodzenia. Elaine Benes oparta jest z kolei na kilku byłych partnerkach prawdziwego Seinfelda. Wymieniana jako jedna z inspiracji dla postaci Elaine, komiczka Carol Leifer, dołączyła zresztą później do pisarskiego zespołu pracującego nad serialem.

Punkt wyjścia – grupa dobrych znajomych w Nowym Jorku lat 90. – przypomina inny hit telewizyjnej komedii z tego okresu, „Przyjaciół". Humor Seinfelda i Davida często bywa jednak obrazoburczy, głęboko sarkastyczny, czasem wręcz nihilistyczny. Nie boi się poruszać kontrowersyjnych politycznie tematów, sięgać po makabreskę, swobodnie mówi o seksie. Poczciwi „Przyjaciele" wyrastają z telewizji traktowanej jako medium rodzinne. „Kroniki" – ze świata stand-upu, gdzie komicy występujący dla zgromadzonej w nocnym klubie publiczności mogli pozwolić sobie na o wiele więcej. W pierwszych sezonach odcinki zaczynają się zresztą i są przerywane przez stand-upowe występy Seinfelda.

Jak daleko posuwają się „Kroniki"? Odcinek serialu zatytułowany „Konkurs", uważany za jeden z najlepszych, zaczyna się od tego, że matka George'a trafia do szpitala po tym, gdy przyłapuje swojego syna, jak zaspokaja się przeglądając pismo o modzie. Czwórka przyjaciół decyduje się na zakład: każdy wpłaca określoną sumę, Elaine jako kobieta podwójną, ten kto wytrzyma bez masturbacji najdłużej, zgarnia całą pulę. Odcinek, który otrzymał nagrodę Emmy za scenariusz, komicznie eksploruje ten temat tyleż z brawurą, co z finezją. Choć tematem odcinka jest masturbacja, samo słowo – ani żaden jego wulgarny odpowiednik – nigdy nie pada z ekranu. „Czy jesteś wciąż panem swego ciała?". „Jestem jego królem!" – frazy, którymi przyjaciele zapewniają się, że ciągle tkwią w postanowieniach zakładu, weszły w latach 90. do powszechnego języka.

Nie powinniśmy ich polubić

Twórcom „Kronik" zupełnie nie zależy na tym, byśmy polubili bohaterów serialu – wręcz przeciwnie, wielokrotnie dają do zrozumienia, że polubić ich w żadnym wypadku nie powinniśmy. Każda z pierwszoplanowych postaci ma bowiem jakiś głęboki problem ze sobą.

Kramer nie wykonuje żadnej konkretnej pracy, rzuca się w wir różnych doraźnych zajęć i biznesowych projektów, z których nic nie wychodzi. Jest jak wielkie, przerośnięte dziecko, nie wie, kiedy należałoby zamilknąć, ciągle nieświadomie mówi rzeczy, które ludzie wokół niego odbierają jako obraźliwe i raniące. Jego ubrania wyszły z mody jakieś dwie dekady temu, porusza się niezgrabnie, nigdy nie ma dość miejsca, by rozprostować zbyt długie kończyny, ciągle się przewraca, potyka, obija o różne przedmioty.

O ile humor postaci Seinfelda, Elaine i George'a oparty jest głównie na słowie, konkretnie – błyskotliwym dialogu, to Kramer w żywiołowej kreacji Michaela Richardsa wnosi do „Kronik" fizyczny humor rodem ze slapsticku. Jest jak postać z kreskówki, obdarzona niekończącą się energią i odpornością na różne niepowodzenia i katastrofy. Sprawia to, że jest figurą tyleż fascynującą, ile na dłuższą metę męczącą wszystkich wokół, trudną do wytrzymania w codziennych interakcjach, przynoszącą czasem całemu swojemu otoczeniu bynajmniej nie wyłącznie komiczną destrukcję. Twórcy serialu i Michael Richards doskonale potrafią wydobyć wszystkie ambiwalencje postaci sąsiada Jerry'ego.

Z kolei Seinfeld, Elaine i George przedstawiani są jako postaci powierzchowne, egoistyczne, wiecznie niedojrzałe, niezdolne uczyć się na własnych błędach. Elaine jest tyleż błyskotliwa, zabawna i asertywna, co narcystycznie zakochana w sobie, snobistyczna, małostkowa i mściwa – Julia Louis-Dreyfus pokazuje to na ekranie, wyraźnie świetnie bawiąc się rolą. Tytułowy bohater wydaje się tkwić w błędnym życiowym kole, nie jest w stanie wyrwać się z neurotycznego przymusu powtarzania tych samych błędów. Zwłaszcza w relacjach z kobietami, rozpadających się na ogół po kilku tygo-

NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z serialu „Kroniki Seinfelda"

dniach z takich powodów jak to, że partnerka lubi reklamę, której Jerry nie znosi, albo chodzi ciągle w tej samej sukience.

Najbardziej problematyczną i neurotyczną postacią z całej czwórki jest George Costanza. Niski, łysiejący, tęgawy mężczyzna, niepotrafiący zbudować stabilnej zawodowej kariery ani stabilnych relacji. Wiecznie użalający się nad sobą, wikłający się w absurdalne kłamstwa, które kończą się wyłącznie publiczną kompromitacją, zdolny przy tym wykorzystać dla własnych egoistycznych celów każdą budzącą współczucie sytuację – nawet śmierć bliskiej osoby. Wszystkie sprzeczności Costanzy doskonale ucieleśnia na ekranie Jason Alexander, aktor o imponującym teatralnym dorobku, ściągnięty do serialu po to, by odtwarzający samego siebie Seinfeld – stand-uper bez aktorskiego doświadczenia – miał obok aktora z pełnym zawodowym warsztatem.

Dlaczego chcemy oglądać te toksyczne osobowości przez dziewięć sezonów? Bo są doskonale napisane i zagrane, bo z łatwością się w nich rozpoznajemy, bo w życiu – inaczej niż w kiepskiej telewizji – ludzie wcale nie tak często uczą się na błędach, dojrzewają moralnie i przechodzą wielkie przemiany. Łatwiej przecież tkwić w złych nawykach i relacjach, neurozach i obsesjach; doskonale rozumiemy, dlaczego tkwią w nich George, Kramer, Jerry i Elaine.

Tragikomizm banału

Sitcom jest z natury gatunkiem dość „teatralnym", kręconym w jednej przestrzeni, często z udziałem publiczności na żywo. „Kroniki" także opierają się na podobnych rozwiązaniach inscenizacyjnych, a jednocześnie maksymalnie starają się wyprowadzać akcję w szerszą, miejską przestrzeń. Choć serial kręcono w studiu w Kalifornii – nawet sceny na nowojorskich ulicach – to czuć w nim atmosferę wielkiego miasta: nie zawsze najczystszego i najbezpieczniejszego, pełnego tyleż dziwacznych, co fascynujących typów ludzkich.

Seinfeld – a wraz nim jego przyjaciele – ze względu na swój zawód i pozycję ciągle raczej obiecującego niż odnoszącego sukcesy komika ma okazję spotykać ludzi ze wszystkich warstw społecznych. Obraca się wśród podejrzanych przyjaciół Kramera i miejskiej elity, pewnych siebie japiszonów i ludzi, którzy jak George nigdy nie potrafią ułożyć sobie życia zawodowego, bywa w luksusowych restauracjach i skromnych knajpkach prowadzonych przez migrantów stawiających pierwsze kroki w restauracyjnym biznesie.

Komizm „Kronik" bierze się przede wszystkim z uważnej obserwacji codziennych wydarzeń, pozornie bez znaczenia. Twórcy potrafią wydobyć z nich nie tylko komediowy, ale i surrealistyczny potencjał. W wielu miejscach humor „Kronik" przechodzi od realistycznej obserwacji do czystego, poetyckiego absurdu. Często absurdalny element wprowadzają odniesienia filmowe. Hity lat 90. – „JFK", „Nagi instynkt" „Ścigany" – są na różne sposoby przerabiane i parodiowane. Scena, gdy Seinfeld analizuje tor lotu „tajemniczego splunięcia" – stanowiącego powód ciągnącej się latami kłótni między Kramerem a jego przyjacielem, listonoszem Newmanem – powtarzając niemal słowo w słowo analizę lotu kuli, która zabiła Kennedy'ego, wygłaszaną przez Kevina Costnera w filmie Olivera Stone'a, to jedna z lepszych filmowych parodii lat 90.

Absolutne mistrzostwo w wydobywaniu surrealizmu z pozornie zwykłej sytuacji serial osiąga w jedenastym odcinku drugiego sezonu, zatytułowanym „Chińska restauracja" – gdyby mieli państwo czas obejrzeć tylko jeden odcinek „Kronik", proszę obejrzeć właśnie ten. Całość rozgrywa się w przedsionku tytułowego lokalu. Czwórka przyjaciół czeka na przydzielenie im stolika. Toczą banalne rozmowy o wszystkim, z każdą minutą sytuacja robi się coraz bardziej absurdalna, z coraz dziwniejszych powodów moment przyznania upragnionego stolika ciągle odsuwa się w czasie.

Fani szczególnie cenią ten odcinek jako pierwszy oferujący w tak skondensowanej formie to, co stanie się specjalnością „Kronik" – „opowieść o niczym". „Chińska restauracja" ma bowiem szczątkową fabułę, w odcinku nie ma żadnych stawek, żadnej przemiany bohatera, od razu zanurzamy się w komiczną, absurdalną, a przy tym utrzymującą się w granicach realistycznej motywacji sytuację. Umiejętność fascynującego opowiadania „o niczym", wydobycia całego piękna, absurdu i tragikomizmu z codziennego banału jest największą siłą serialu.

Telewizja, która nie starzeje się źle

Banał, momenty, gdy pozornie nie dzieje się nic, to częste tematy popkultury amerykańskiej lat 90. Wolnego od wielkich ekonomicznych, politycznych czy społecznych napięć momentu amerykańskiej historii, „między końcem komunizmu a początkiem terroryzmu" – jak określił go kiedyś Philip Roth.

„Kroniki" doskonale radzą sobie jednak także poza kulturowym i społecznym kontekstem tamtych lat. Ponad 30 lat od premiery pierwszego sezonu ↦

serial nadal potrafi zaskoczyć, broni się jakością, rzemiosłem, aktorstwem, a przede wszystkim złośliwym, zgryźliwym humorem, celnym także w 2021 r. Bez wątpienia zmienił telewizyjną komedię, przesunął granicę tego, co można pokazać i powiedzieć w ogólnodostępnej telewizji w czasie najwyższej oglądalności, udowodnił, że *sitcom*, rzadko poważnie traktowany przez krytyków gatunek, jest zdolny wznieść się na wybitny poziom.

Część żartów, biorąc pod uwagę współczesne normy obyczajowe, może drażnić młodszych, progresywnych widzów: milenialsów i pokolenie Z. Opory młodej publiczności budzi zwłaszcza odcinek, w którym studentka dziennikarstwa opisuje w uczelnianej gazetce Jerry'ego i George'a jako parę gejów, co wywołuje histeryczną reakcję obu przyjaciół. Zarzuty homofobii, jakie wysuwają przeciw temu odcinkowi młodsi odbiorcy, wydają mi się jednak średnio trafne. Obiektem żartów jest tu przede wszystkim hipokryzja dwójki przyjaciół, którzy z jednej strony ciągle powtarzają o homoseksualizmie „nie żeby było coś z tym nie tak", a jednocześnie sami mają wyraźny problem z nieprzepracowanymi homofobicznymi uprzedzeniami.

Nawet najbardziej wątpliwe ze współczesnego punktu widzenia żarty z „Kronik" są przy tym po prostu zabawne, nie możemy się od nich oderwać, podobnie jak od bohaterów serialu, choć z odcinka na odcinek przekonujemy się, jak to w gruncie rzeczy okropni ludzie. Młodszym (i starszym) widzom, którzy dzięki Netfliksowi zobaczą „Kroniki" po raz pierwszy, można tylko zazdrościć wielu wspaniałych serialowych odkryć.

© JAKUB MAJMUREK

RADIO KRAKÓW **Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".**
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Taniec na linie

ANITA PIOTROWSKA

Najciekawiej rysuje się tu wielokrotny portret rodzinny w różnych wnętrzach. W zależności od tego, gdzie znajdują się bohaterowie, stają się po trosze kimś innym.

Ze świecą szukać współczesnych polskich filmów, gdzie mogłoby się przejrzeć przeciętne, „małe" życie. Takie, które toczy się w hałaśliwym wielopokoleniowym domu, bez instagramowych filtrów. Brakuje tytułów, gdzie owa zwyczajność byłaby zarazem nadzwyczajna i pod codzienną podszewką skrywała odrobinę niegroźnego szaleństwa, które pozwala przetrwać w rodzinie, w monotonnej pracy, w średniej wielkości polskim mieście... i na dodatek do końca nie zwariować. Takie właśnie jest „Moje wspaniałe życie" Łukasza Grzegorzka, nagrodzone za reżyserię na ostatnim festiwalu w Gdyni.

Tytuł ma oczywiście wydźwięk ironiczny, jako że główna bohaterka, zagrana z ikrą przez Agatę Buzek, prowadzi równolegle dwa żywoty. I choć zrazu świetnie się one dopełniają, trudno w takim szpagacie o autentyczne spełnienie. Oglądamy zatem na ekranie dwie zupełnie różne Joanny.

Pierwsza uczy angielskiego w technikum rolniczym, jest przykładną żoną Witka, nieco sztywniackiego dyrektora tej placówki (Jacek Braciak), poza tym matkuje dwóm mocno niedorosłym synom, pomaga przy wnuku i opiekuje się chorą na alzheimera matką (Małgorzata Zajączkowska).

W drugim wcieleniu, po godzinach, Jo odwiedza odziedziczone po rodzicach mieszkanie w bloku, by tam, pod pretekstem korepetycji, być przez chwilę kimś całkiem innym. Czyli roztańczoną, palącą skręty buntowniczką i kochanką misiowatego Maćka (Adam Woronowicz), nauczyciela i gołębiarza w jednej osobie.

Brzmi naiwnie? Zapewne, ale Grzegorzek, wyspecjalizowany już w portretowaniu lekko pokręconych bohaterów („Kamper", „Córka trenera"), konsekwentnie unika mentorskiego tonu i pozwala swojej bohaterce po prostu być sobą: próbować, odkrywać, błądzić. A Buzek wydobywa z niej energię, kruchość i przekorny błysk.

„Wystarczy się wysypiać, nie korzystać z używek i mieć łagodny uśmiech" – głosi w filmie podręczna recepta na szczęście, lecz ekranowa Joanna robi wszystko, by z niej nie skorzystać. Zwłaszcza że w snach życie nabiera jeszcze bardziej cudacznych kształtów, a i o uśmiech trudno, kiedy ktoś przejrzał tajemnicę bardzo nielegalnych korepetycji i wysyła jej pogróżki. Jakby tego było mało, na twarzy zapamiętałej hipochondryczki pojawiają się pewnego dnia całkiem realne bąble – czyżby biblijna kara za nieugruntowanie cnót niewieścich?

Film Grzegorzka balansuje pomiędzy żartem a serio, między przeciętnym życiem a istnym domem wariatów. To, co niby znane i swojskie (rodzina, praca, miasteczko), z bliska osacza, a sama Jo jako czterdziestoparoletnia kobieta na krawędzi zyskuje w filmie niejednoznaczny, tragikomiczny rys. Będąc wiarołomną małżonką, na widelcu lokalnej opinii publicznej, staje się podejrzana i jednocześnie chorobliwie podejrzliwa, nie wiadomo bowiem, kto ukrywa się za wspomnianymi anonimami. To dlatego historia o kobiecej desperacji zamienia

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Agata Buzek i Jakub Zając w filmie „Moje wspaniałe życie”

się w koślawe śledztwo, z udziałem równie safandułowatego syna (Jakub Zając).

Najciekawiej rysuje się w „Moim wspaniałym życiu” wielokrotny portret rodzinny w różnych wnętrzach. W zależności od miejsca, gdzie w danej chwili bohaterowie się znajdują, stają się po trosze kimś innym. Bo w rodzinnych pieleszach zazwyczaj są sobą aż do bólu, powarkują więc na domowników zmęczeni swoimi rolami, codziennym zgiełkiem i przestrzennym deficytem. Dotyczy to szczególnie Jo, której wszyscy na okrągło do czegoś potrzebują i która wreszcie próbuje wsłuchać się we własne potrzeby. A że efekty bywają cokolwiek dziwaczne i odległe od spodziewanych – taki już urok filmu Grzegorzka.

Jego cierpkie i serdeczne zarazem spojrzenie na ludzkie słabości kojarzy się chwilami z kinem naszych południowych sąsiadów. Na potwierdzenie tego zjawia się nagle w kadrze czeski bard Jaromír Nohavica w roli miejscowego barmana i śpiewa stare polskie przeboje w wydaniu karaoke. Z podobną czułością kamera Weroniki Bilskiej filmuje dolnośląską Nysę, rodzinne miasto reżysera. I, oczywiście, można tę kameralność i lokalność poczytać za rodzaj eskapizmu czy nadmiernej kokieterii. Kiedy świat stoi w ogniu, a kraj się rozpada, ktoś kręci film o zakazanym romansie prowincjonalnej nauczycielki w średnim wieku. W pewnym momencie pojawia się znajomy motyw kompromitującego seksnagrania, lecz w przeciwieństwie do rumuńskiego filmu „Niefortunny numerek lub szalone porno” Radu Jude (też o nauczycielce zresztą) nie stanie się ono przyczynkiem do ogólnonarodowej debaty.

Grzegorzek buduje na ekranie osobny świat i właśnie w tej programowej wsobności jakoś prawdziwy. Jest to również po trosze jego filmowe uniwersum, zaludnione ulubionymi aktorami (Braciak, Buzek, Karolina Bruchnicka w roli wrednej polonistki, tudzież sam reżyser w epizodzie woźnego) i mrugające do nas rekwizytami z poprzednich filmów. Słowem kluczowym wydaje się tutaj „bliskość”. Chociaż bohaterowie Grzegorzka bywają czasem irytujący, czuje się, że filmowi twórcy i odtwórcy mają z nimi osobiste połączenia. Stąd nawet wówczas, gdy któraś ich wypowiedź brzmi zbyt dosłownie lub odrobinę fałszywie, to chce się wierzyć, iż przemawia do nas żywa postać – w całej swej osobliwości, punktowanej z ironią elektronicznymi brzmieniami Piotra „Emade” Waglewskiego.

Na tym maksymalnym zbliżeniu do czyichś ekscentryzmów zbudowana została wielowymiarowa, nieuchwytna i bardzo cielesna postać Joanny. Kobiety rozdartej między powinnością a samorealizacją, ale tańczącej na rozpiętej między nimi linie w swoim tempie i wedle własnej choreografii. Dzięki takiemu rysunkowi postaci i odważnemu aktorstwu finałowe pytanie, czy bohaterka powróci w końcu na łono rodziny, staje się tyleż otwarte, co właściwie drugorzędne. ©

MOJE WSPANIAŁE ŻYCIE – *reż. Łukasz Grzegorzek. Prod. Polska 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 29 października.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. O mężczyźnie, który malował krople wody

Dokumentalny, reż. Oan Kim, Brigitte Bouillot, Francja/ /Korea Południowa 2020, KFF VoD, do 12 XI

Najlepszy film, reżyseria i obsada plus nagroda publiczności – oto plony tegorocznego festiwalu Sundance. Tytuł filmu oznacza w skrócie słyszące dziecko głuchych rodziców, a jest nim utalentowana wokalnie nastolatka, rozdarta między własnymi aspiracjami a powinnością wobec bliskich. Coś ku pokrzepieniu serc.

2. Jaskółka

Dramat, reż. Mano Khalil, Szwajcaria 2016, Arte.tv, do 18 XI

Do Erbilu w poszukiwaniu ojca przyjeżdża młoda Szwajcarka. Dlaczego Osman przed laty porzucił bliskich i wrócił z Europy do Iraku? Jak potoczyły się jego losy? Odkrywanie rodzinnych korzeni staje się lekcją podwójnie bolesną, bo związaną z historią narodu kurdyjskiego i jego ciągle niespokojną teraźniejszością.

3. Velvet Underground

Dokumentalny, reż. Todd Haynes, USA 2021, Apple TV+

Żeby uchwycić fenomen legendarnej nowojorskiej kapeli, trzeba zanurzyć się w epoce, która ją uformowała, poznać wszechstronne inspiracje czy lokalne klimaty. Tak właśnie zrobił twórca „Idola” i „Daleko od nieba”, tworząc dokument na miarę muzycznych osiągnięć Lou Reeda czy Johna Cale’a.

4. Sukcesja III

Serial, tw. Jesse Armstrong, USA 2021, HBO GO, nowe odcinki co poniedziałek

Kolejny sezon z życia „jednego procenta” przynosi nowe twarze i nowe intrygi. Raz jeszcze pod okiem medialnego potentata i patriarchy rodu wzorowanego na Rupercie Murdochu toczy się walka o władzę bez brania jeńców. Szekspir współczesny? Raczej wyśmienita zabawa i serialowe rzemiosło najwyższej próby.

Lektor:

Przeciwne drogi

▪ *Piotr Oczko*
POCZTÓWKA Z MOKUM. 21 OPOWIEŚCI O HOLANDII
Wydawnictwo Znak, Kraków 2021, ss. 334

Podróż do Holandii? Jeszcze jej nie odbyłem, ale po tej lekturze czuję, że poznałem przewodnika idealnego. Kogoś, kto Holandię kocha, a równocześnie gotów jest rozbić narosłe wokół niej mity. Niderlandystę i tłumacza, znawcę holenderskiej historii, kultury i obyczaju. Naukowca, który habilitował się, jak żartuje, ze sprzątania („Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii albo historia pewnej obsesji"). Wnikliwego interpretatora malarstwa nie tylko Złotego Wieku i namiętnego kolekcjonera holenderskich flizów. Coś o mitach? W tym kraju ewangelików reformowanych najliczniejszą grupę wierzących stanowią katolicy. Słynnej gorączki tulipanowej, która miała wybuchnąć w wieku XVII, raczej nie było. Los Żydów podczas II wojny światowej? Z około 150 tysięcy przeżyła mniej niż jedna czwarta; urzędnicza systematyczność obróciła się przeciw nim, a po wojnie rozgłos wokół „Dziennika" Anny Frank „miał stworzyć wrażenie, że Żydom powszechnie udzielano schronienia" (Max Arian). Zasadnicza odmiana sytuacji ludzi homoseksualnych to dopiero lata 80. minionego wieku. Jedna z ważnych postaci książki, Willem Arondéus, artysta, bohater ruchu oporu i gej, przed rozstrzelaniem w 1943 r. powiedział swojemu prawnikowi: „mów ludziom, że homoseksualiści nie są z definicji słabeuszami"; uznanie jego zasług przyszło dopiero w latach 90. Dwadzieścia jeden erudycyjnych esejów łączy nić osobista – bo opowiadając nam o Holandii Piotr Oczko opowiada o swoich fascynacjach i życiowych wyborach, wplata w narrację ukryte sygnały i formułowane wprost opinie. Wszystko ma tutaj znaczenie, od okładki z obrazem XVIII-wiecznego malarza Jana Ekelsa młodszego „Pisarz, który ostrzy swoje pióro" (czy to nie *alter ego* autora? a może jego partner idealny?) i tytułu (Mokum, w jidysz „bezpieczna przystań", to po prostu Amsterdam) po ilustracje doskonale współgrające z tekstem. Portret Holandii staje się chwilami jakby przywołaniem niespełnionego wariantu własnej egzystencji. „Pocztówka...", pisze Oczko, „powstawała, gdy kraj, w którym mieszkam, wchodził na drogę nacjonalistycznej dyktatury, łamania praw człowieka, pogardy dla kobiet, lekceważenia osób z niepełnosprawnościami, szerzenia nienawiści w stosunku do ludzi LBGTQ+, przyzwolenia na antysemityzm, tłamszenia sądów, szkół i uniwersytetów...". Cóż, znajdujemy się na przeciwnym kursie. ©℗

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto" umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego" osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciołom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

DE STOWARZYSZENIE FACTO

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PAWEŁ

Bravo:
Pilch w sosie własnym

Dwieście trzydzieści pięć zamrożonych pilchów znaleźli karabinierzy podczas rewizji narkotycznej dziupli w Kalabrii. Stróżów prawa nie bardzo to zdziwiło, bowiem kto ściga 'ndranghetę – czyli kalabryjską odmianę przestępczości zorganizowanej – ten wie, że od swojej sycylijskiej siostry mafii i camorry z Neapolu różni się ona nie tylko tym, że jest obecnie potężniejsza i sięga mackami na prawie wszystkie kontynenty. Jest też znacznie bardziej przywiązana do zawiłych rytuałów podszytych przedziwnym miszmaszem tradycji, legend skrzyżowanych z pokrętną dewocją. Jednym z podstawowych i dobrze opisanych w literaturze policyjnej elementów gangsterskich biesiad jest potrawka z pilcha. Danie tyleż tradycyjne, spożywane na tych terenach od starożytności, co symboliczne dziś z racji tego, że nielegalne. Jedząc pilcha, uczestnicy uczty stawiają się poza prawem. Albowiem gryzoń ten, znany wam być może lepiej pod nazwą popielicy szarej, jest pod ścisłą ochroną gatunkową. Ale że w Kalabrii nikt od czasów rzymskich nie był w stanie skutecznie wdrożyć żadnego państwa prawa, toteż corocznie, wedle szacunków, odławia się w celu spożycia około 20 tysięcy osobników.

Ileż to uczt musi urządzać Szacowne Towarzystwo! Karabinierzy jak zwykle zjawiają się za późno, oprócz trupów zastając tylko ogryzione kostki gryzoni i dużo nadpalonych kartek – jednym z ważnych elementów gangsterskiej liturgii jest nacinanie kciuka tak, żeby spłynęły trzy krople krwi, a następnie zasypanie rany popiołem z podpalonego obrazka ze św. Michałem Archaniołem. Pilch w sosie własnym i zwęglony archanioł – zestaw obiadowy 'ndranghety. Sami przyznacie, że jako felietonista „Tygodnika" nie mogłem przeoczyć takiego rarytasu.

Nie bez związku z tym był zapewne fakt, że ostatnio moja głowa w trakcie jesiennych spacerów zajęta była kreowaniem sobie różnych zestawów, które mógłbym spożyć to tu, to tam, gdy listopad zmusi mnie do chronienia się co paręset metrów w kolejnej ogrzewalni. Moje dzieci mają podobno nie tylko swój głos pokolenia, ale nawet i gotowe pakiety żywnościowe sygnowane jego twarzą w pewnej śmieciowej sieciówce. Nie chcę być gorszy, zresztą doskonale rozumiem to bliskie pokrewieństwo doświadczeń poetyckich z gastrycznymi: słowa lub obrazy artysty stają się w sposób dosłowny częścią naszego ciała.

Niestety podstawowy, kanoniczny zestaw Jima Jarmuscha „kawa i papierosy" jest dziś wykluczony ze względów prawnych – wolę zaś nie wyobrażać sobie, jak by spojrzał na mnie Tom Waits, gdyby mnie przyłapał jak palę przed drzwiami, zgrabiałymi palcami trzymając papierowy kubek z kawą na wynos. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby ruszyć w trasę po paru ulubionych adresach, łaknąc spotkania z innymi dobrymi znajomymi. Choćby zestaw „Suzanne" firmowany przez Cohena w sentymentalnie mrocznej Alchemii pustoszejącej przed świtem, z kieliszkiem czegoś mocnego, błyszczącego w świetle ostatniej świecy. Ale to dopiero końcówka, wcześniej trzeba zjeść, popić i słodkim przyklepać. Obiadowo pasuje mi albo „Felicita'" – Albano i Romina Power jako jeden ze składników szczęścia opiewali szklankę wina i kanapkę, którą chętnie bym spożył w Baqaro na Starym Kleparzu. Albo od drugiej strony, zestaw „W Polskę idziemy" z twarzami Młynarskiego i Gołasa u Sąsiadów na Miodowej, gdzie mielony, gołąbek i placek ziemniaczany dają mocne ugruntowanie w byciu stąd, z tej ziemi. Ewentualnie, w poszukiwaniu innych sąsiadów, tych utraconych, pakiet „Rebeka" ze zdjęciem Demarczyk na ulotce w Klezmer Hois. Paolo Conte mógłby dać twarz zestawowi „Gelato al limon" – pod warunkiem że Good Lood, jedyna jeszcze czynna sieć lodziarni (skądinąd to temat osobny: dlaczego niby w zimie lodziarnia ma mieć wolne?), będzie akurat proponować lody cytrynowe. Wciąż waham się, czy ciastkarnia Vanilia udźwignęłaby konceptualnie i zmysłowo zestaw „Seks" polecany przez Kalinę Jędrusik: ich bezceremonialnie bogate w maślany krem bujne wypieki są wystarczająco lubieżne, żeby dietetyczny Gomułka w nas wrzeszczał ze zgorszenia, ale jednak bez kieliszka czegoś mocnego to za mały grzech, jak na tę postać. A może alternatywnie podawać by gdzieś „Stacyjkę Zdrój"? Nie. Nogi powiodły mnie bezwiednie w stronę cmentarza za torami, więc może zakończmy te poszukiwania.

Dlaczego to wszystko są tylko ćwiczenia wyobraźni? Większość z tych artystów działała w czasach, gdy nikomu nie przychodziło do głowy rozmieniać talent na drobne przy „współpracy" oraz tłuc tak zwany *merch*, czyli koszulki i kubeczki. Ale może niektórzy z nich nawet chętnie by na to przystali, nie bądźmy prędcy w anachronicznych ocenach. Z pewnością natomiast wiem, że żadne z miejsc, które cenię, nie potrzebowałoby jakiejś twarzy, żeby mnie zwabić. Apetyt, głód i pragnienie to zbyt poważne sprawy, żeby prosić o radę kogoś, kto tylko – i aż – dobrze pisze albo śpiewa. ©℗

A gdyby jednak zadzwonił telefon z propozycją sprzedania gęby na zestaw? To niemożliwe – sieć, którą stać by było na moje stawki za reklamę, nie jest w stanie utrzymać jakości, za jaką mógłbym oddać swoją cnotę. I tak „zestawy Bravusa" pozostaną niszową przyjemnością osób, które zupełnie za darmo oddają mi godzinę lub dwie swego czasu. Są to zazwyczaj proste pieczone warzywa z jakąś minimalną wkładką białkową – kawałkiem słoniny albo serem posypanym pod sam koniec. Lub rozmaite kanapki ze szczęściem w tle. Żeby wrócić na moment do lata, wziąłem w dyskoncie melona miodowego (może być też galia, byle słodki). Połówkę pokroiłem w grubą kostkę i szybko zmiksowałem, przełożyłem na sito na parę godzin, żeby odciekła woda. Tak uzyskany mus mieszamy z 250 g ricotty i używamy do smarowania bagietki, na którą nakładamy plasterki włoskiej szynki.

ADOBE STOCK X 2

Artur Zagajewski z miłorzębem. Powsin, 8 października 2021 r.

JESIEŃ ROŚLIN

Każda roślina ma swój początek i koniec.
Ale spacerując po ogrodzie, musimy wiedzieć, że nasze życie,
w porównaniu z ich życiem, jest zabawnie krótkie.

ANNA GOC

Artur Zagajewski: – Proszę spojrzeć na te antocyjany, karotenoidy i ksantofile! Na te rubiny, miedzie i złoto. Co za kolory, co za jesień!

Idzie szybko, wystukując butami rytm o betonowe ścieżki Ogrodu Botanicznego Polskiej Akademii Nauk w Powsinie. Mija narodową kolekcję odmian uprawnych róż (ponad tysiąc taksonów). Mija ekipę telewizyjną, z którą właśnie się pożegnał (operatorzy wbijają zęby w żółte i twarde owoce pigwowca, potakując, że dobre). Mija swój rower (ural należący wcześniej do jego dziadka, rocznik '68, koła – 28 cali). – Proszę sobie wyobrazić, że jadąc na nim do ogrodu wczesną wiosną wyczuwam azalie pontyjskie z odległości nawet pięciuset metrów. Czyż to nie wspaniałe?

1 Wchodzi między jesienne krzewy róż, odsłania pąki, delikatnie dotyka, prawie tańczy. Ekipa filmowa z pigwowcami w tle obserwuje. – Róże, proszę państwa. A przepraszam, pani jest tu sama...

– Możemy sobie wyobrazić, że słuchają nas czytelniczki i czytelnicy, zachęcam.

– Dobrze więc, proszę państwa – mówi dalej, w białej koszuli w róże, spodniach koloru różanego i z gałązką róż w dłoni – ogród w Powsinie może poszczycić się największą kolekcją róż w Polsce.

Wymienia róże krajobrazowe, historyczne i mieszańce herbatnie. Dzieli je na pnące, parkowe, okrywowe, rabatowe. Niektóre mają szerokie kolce, ponadprzeciętnie duże i ostre. Można tu znaleźć krzewy o rudych pędach i kwiaty o fiołkowych płatkach. Bladoróżowe i cytrynowo-seledynowe, jasnoczerwone i czarnoczerwone. „Die Welt" – jak mówi jedna z odmian – cały świat.

Nagrania, w których opowiada o kolekcjach roślinnych (dostępne na profilu facebookowym ogrodu), mają po kilkaset tysięcy wyświetleń. Dużą popularnością cieszą się te, w których doradza w sprawie pielęgnacji. Różom wystarczy umiarkowanie żyzna gleba (piaszczysto-gliniasta), podlewać je najlepiej raz na tydzień, a porządnie, i jeszcze zabiegi, które warto wykonywać, a więc korowanie (ściółkowanie korą), podcinanie wczesną wiosną (cięcia prześwietlające, formujące) i usypywanie kopczyków przed zimą.

– Kwitnąć zaczynają wczesną wiosną, ale swoje wdzięki – mówi Zagajewski – pokazują nam aż do pierwszych mrozów. Gdy patrzę na ich kolor, przypomina mi się od razu szlagier Mieczysława Fogga: „Jesienne róże, róże smutne herbaciane / Jesienne róże są jak usta twe kochane. / Drzewa w purpurze ostatni dają nam schron / A serca biją jak dzwon na jeden ton". I ja wiem, że to jest o pożegnaniu, ale nie tu, w Powsinie. Bo tu, proszę państwa, ogród nie umiera.

2 – Każda roślina ma swój początek i koniec. To jest oczywiste – mówi dalej. – Ale spacerując po ogrodzie musimy wiedzieć, że nasze życie, w porównaniu z ich życiem, jest zabawnie krótkie.

Przechodzimy do najstarszej części ogrodu – dendrologicznej. Kolekcja roślin drzewiastych obejmuje ponad 2,5 tysiąca gatunków i odmian. Pierwsze drzewa sadzono tu w 1979 r. – Rośliny, które nie lubią towarzystwa, jak na przykład niektóre gatunki sosen, zawierają w igłach substancje blokujące rozrost roślin dookoła. Inne, jak choćby cisy, zacieniają przestrzeń wokół, ograniczając dostęp do światła. A przecież, jak wiemy, rośliny lubią się pysznić w słońcu. Stąd tak popularne w naszym krajobrazie solitery, mocne, majestatyczne i osamotnione dęby czy rosochate sosny.

Zatrzymujemy się przy dębach szypułkowych. – Mogą żyć ponad tysiąc lat. Te egzemplarze przed nami pochodzą z XIX wieku. Najstarszy, sam sprawdzałem, ma w obwodzie – mierzonym na wysokości około metra trzydzieści – 413 centymetrów. Jego wiek możemy więc szacować na ponad dwieście lat.

W kwietniu zakwitają magnolie. Wtedy czujemy ich delikatną, lekko orzechową i żywiczną woń. Liczna reprezentacja, ponad trzysta drzew, wśród nich magnolie gwiaździste, japońskie, wierzbolistne czy też odmiany uprawne Soulange'a. To jedne z pierwszych roślin kwiatowych, które pojawiły się na Ziemi. 50 milionów lat temu, zapylały je chrząszcze. Są stosunkowo łatwe w uprawie, lubią miejsca zaciszne, słoneczne, osłonięte od wiatru.

Dalej pochodzące z południowej Europy i Azji Mniejszej, osiągające nawet 50 metrów wysokości sosny czarne czy jodła koreańska o szyszkach koloru niebieskiego z fioletowym nalotem.

Przystajemy w środkowej części arboretum. Lipy żyją pięćset, a nawet tysiąc lat, cisy – kilka tysięcy lat. Zagajewski otula dłonią niekłujące igły cisów, zrywa mięsistą czerwoną osnówkę. Podziwia drewno, niewidoczne gęste słoje, charakterystyczne dla długowiecznych drzew. – Proszę zobaczyć, jak wyjątkowej urody są to drzewa, proszę dotknąć. Cisy były cenione od starożytności, miały status drzew królewskich. Wykorzystywano je między innymi do wyrobu najlepszych łuków. Czerwoną osnówkę mają tylko egzemplarze żeńskie.

Zrywa, pokazuje na dłoni.

– I to jest jedyna ich nietrująca część.

Zjada.

– Osnówka – mówi żując – jest cennym uzupełnieniem diety nie tylko dla ptaków i ssaków, lecz także człowieka, bogata w drogocenne cukry i sole mineralne.

Milknie.

– Połknąłem pestkę, a nie powinienem. Jest trująca, ale proszę się nie obawiać, jedna mi nie zaszkodzi. Więc, szanowni państwo, pestkę należy wypluć. Oczywiście kosy, które zjadają je tuż obok nas, nie potrafią tego zrobić. Ratuje je szybki metabolizm. Wydalają pestki, rozsiewają je i tak pojawiają się nowe pokolenia cisów.

Zatrzymujemy się. Zagajewski: – Co innego rośliny delikatne, dla których zima jest zagrożeniem. Większość drzew iglastych ma specjalne olejki na igłach, które chronią je przed nadmierną utratą wody. Drzewa liściaste mają trudniej. Gdy spada temperatura, a wilgotność powietrza rośnie, to dla nich sygnał, że muszą się chronić. Proces fotosyntezy zwalnia, a chlorofil powoli zaczyna się rozkładać. Wtedy nadchodzi czas uśpionych dotąd barwników. Gdy listki zaczynają odpadać, wszystkie niezbędne

↦

↦ substancje przechodzą do bryły korzeniowej. Roślina przygotowuje się do zimy, ale nie do umierania. Wie, że za parę miesięcy jej przygoda zacznie się od nowa.

– Podejdźmy do klonów – zachęca. – Gdy tak patrzę na ich złoty kolor, przypomina mi się fragment „Roku polskiego" Zofii Kossak-Szczuckiej: „Zieleń ustępująca miejsca purpurze i złotu, perlista biel obfitych ros rannych, niezmącenie modre niebo, fiolet śliw, granat jeżyn, rumieńce jabłek, czerwień pomidorów, kaliny, jarzębin, sady pełne zapachu owoców, brzęk os nad gruszkami, woń pietruszki i selerów niosących się z warzywniaków – to wrzesień".

ANNA GOC

Dalie w ogrodzie w Powsinie. 8 października 2021 r.

3 Na spacer po blisko 40 hektarach Ogrodu Botanicznego w Powsinie trzeba poświęcić co najmniej kilka godzin. Są tu między innymi kolekcja roślin wrzosowatych, azjatyckich, sadowniczych, cebulowych i kłączowych, bylin, roślin tropikalnych i subtropikalnych oraz kolekcja roślin drzewiastych. Są rośliny z całej Polski – od gatunków z obszarów nadmorskich po rośliny z Beskidów i Sudetów oraz te, które występują w Tatrach, Pieninach i Bieszczadach.

Zaglądamy do ogrodu bylinowego, gdzie jest blisko osiemset gatunków. – To jest rożnik przerośnięty. Roślina pochodząca z prerii amerykańskich, tu jeszcze malutka, ale potrafiąca osiągnąć nawet cztery metry wysokości. Dzięki milionom lat ewolucji dopasowuje się do skrajnie trudnych warunków. Wodę trzyma w specjalnej pochwie, proszę dotknąć, jaka jest szorstka. Masywna, ekspansywna bylina, która może być rośliną energetyczną, a więc wykorzystywaną do produkcji biomasy.

Stajemy przy daliach, nazywanych też georginiami. Niektóre odmiany osiągają nawet dwa metry wysokości. – Nie potrafią zimować, mają zbyt delikatne bulwy. Musimy o nie dbać – mówi Zagajewski i delikatnie dotyka liści. – Jeśli przyglądamy się roślinom z perspektywy fenologii, czyli nauki o zakwitaniu i przekwitaniu, to byliny są bardzo ciekawym przykładem. Mają krótki okres wegetacji, zaczynają swoją przygodę w maju, kończą – po przyjściu pierwszych przymrozków. W tym czasie muszą się wzmocnić, urosnąć, zakwitnąć i wydać potomstwo, czyli nasiona lub system kłączy, różnego rodzaju bulw. Gdy nadchodzi zima, część naziemna może spokojnie umrzeć.

Pochyla się. – Proszę spojrzeć na te dalie. Nad ranem musiał być przymrozek, bo listki są już miękkie, straciły turgor. Są wiotkie. Ich pełne wody łodyżki szybko reagują na przymrozki.

– Co teraz?

– Gdy tylko widzę, że zbliża się ich czas, przycinam je na wysokości dziesięciu, maksymalnie piętnastu centymetrów. Podobnie jak z makleją, którą widzieliśmy przed chwilą. Zawsze jednak wcześniej sprawdzam dokładnie liście. Te maklei są wyjątkowo piękne, o szlachetnej strukturze, aksamitne w dotyku, srebrzysto-perłowe. Obserwuję, jak żółkną od dołu, a gdy kolor pierwotny znika zupełnie, usuwam. Ale nie czuję wtedy smutku. To jest coś normalnego, i dla mnie, i dla nich. Dalie, takie ogołocone, przenoszę do piwniczki, w której temperatura nie przekracza dziesięciu stopni, suszę przez dwa tygodnie, a potem przekładam do ażurowych skrzyneczek i zostawiam je tam na całą zimę.

– Coś im pan wtedy mówi?

– Nic wyjątkowego, bo to nie jest pożegnanie. Jeśli rozmawiam z roślinami, to raczej wtedy, gdy o coś je proszę, albo za coś im dziękuję. Przychodzę na przykład co roku do brzozy, gdy na jej gałęziach nie ma jeszcze pąków. Wbijam termometr w glebę, sprawdzam, czy jest około dziesięciu stopni Celsjusza. Wybieram miejsce od strony południowej, dobrze oświetlone i nagrzane. Przytulam się do brzozy i mówię: „Chciałbym twojego soku". Jestem honorowym dawcą krwi i uważam, że powinniśmy się dzielić tym, co mamy najlepsze. Przytulam się tak przez chwilę. A potem przystępuję do dzieła. Na wysokości 50-60 centymetrów robię otworek, wiertłem dziesiątką. Miejsce powinno być czyste, osłonięte od wiatru, jeśli to tylko możliwe, nie przy drogach szybkiego ruchu. Otwór powinien mieć około sześciu centymetrów, wbijam miedzianą rurkę, do niej plastikową i podkładam buteleczkę z ciemnego szkła. Sok spływa, kropelka po kropelce, ruchem laminarnym, podobnym do tego, którym płynie nasza krew. Z jednego drzewa jestem w stanie uzyskać nawet 30 litrów oskoły, czyli soku. Obserwuję ją cały czas uważnie, gdy widzę, że zaczyna wypuszczać listki, i są one wielkości mojego paznokcia, mówię: „Dziękuję ci, brzozo", biorę kołeczek, maść ogrodniczą, przeciwbakteryjną, żeby do świeżej rany nie dostała się żadna infekcja, smaruję, wbijam korek, i się żegnam. Wiem, że nie ma mi tego za złe.

ANNA GOC

Ziemowity jesienne. Powsin, 8 października 2021 r.

ANNA GASEK / JAROSŁAW DELUGA / MATERIAŁY PRASOWE OGRODU BOTANICZNEGO W POWSINIE

Miskant w Ogrodzie Botanicznym w Powsinie. Październik 2019 r.

Idziemy w stronę zabudowań. Zagajewski opowiada o rezydencji Fangorów. To właśnie tutaj dzieciństwo spędzał Wojciech Fangor, współtwórca Polskiej Szkoły Plakatu. Mijamy wozownię, dom ogrodnika i willę, która była własnością rodziny Fangorów. W dwudziestoleciu międzywojennym rezydencja w stylu miasta-ogrodu służyła za miejsce odpoczynku. Do Powsina można było wtedy dojechać kolejką wąskotorową z centrum Warszawy.

Początki ogrodu to lata 70. XX wieku. To wtedy powstały aleje dębowe i kolekcja dendrologiczna. – Próbowała pani kiedyś kawy z żołędzi? – pyta Zagajewski. – No właśnie, lekko gorzka, można do niej dodać cynamon, aromaty korzenne, idealnie wpływa na florę naszych jelit. Wystarczy zebrać żołędzie, wyjąć je z łupinki, wysuszyć w temperaturze pokojowej, uprażyć, zmielić – i już jest. Nauczyła mnie tego moja babcia Cecylia.

Zagajewski wystawia twarz do słońca. – Myślę o niej często, gdy tu jestem. Za każdym razem, gdy wracała z sanatorium, przywoziła mi liście – kasztanowców, tulipanowców, miłorzębów. Mam je do dziś. Gdy moi rodzice wychodzili do pracy, zostawałem z nią. Mieliśmy w niedalekim sąsiedztwie szpital w Tworkach z blisko 60-hektarowym ogrodem. Czerwona klinkierowa cegła, przecinająca Równinę Łowicko-Błońską rzeka Utrata, liczne geofity: czosnek niedźwiedzi, przebiśniegi i zawilce. O, i proszę, morwa! Odmiana żółwińska wielkolistna, specjalnie przystosowana do jedwabników. Nawiązałem współpracę z poznańskim Instytutem Włókien Naturalnych i Roślin Zielarskich, skąd dostawałem później morwę. I znów inspiracją była moja babcia, z którą chodziłem w dzieciństwie na miedze między torami w okolicach Pruszkowa, gdzie jest kilka stanowisk morwy.

Skręcamy w aleję. – Miłorząb dwuklapowy pochodzący z Chin. Roślina pełnej klasy, o wachlarzowatych, szlachetnych liściach – opowiada. – Przetrwały atak bomby atomowej. Jej historia jest piękna: pojawiła się na Ziemi pod koniec ery mezozoicznej, a więc pamięta czasy dinozaurów. Jest żywą skamieniałością, reliktem dawnych epok botanicznych i geologicznych. Może żyć nawet kilka tysięcy lat. Mamy egzemplarze rozdzielnopłciowe, na żeńskich pojawiają się pseudoowoce. Rzadko spotyka się o tej porze roku drzewa, by były tak pięknie złocisto wybarwione. Czy próbowała pani kiedyś osnówki? Nie? Może i dobrze, ma zapach nieatrakcyjny, by nie powiedzieć, że cuchnie. Za to pseudoowoce można smażyć, a nasiona prażyć i jeść jak na przykład pistację.

Przystajemy. – O proszę, a tu platan klonolistny. Majestatyczne drzewo, coraz częściej uprawiane w Polsce i coraz częściej wprowadzane do miast. Odporne na antropopresję. Niewymagające. No i znowu przypomina mi się szlagier, już ostatni, obiecuję: „W parku pod platanem...". Gdy jeszcze tutaj pracowałem, rozstawiłem ławeczki, by można było na nich przysiąść, pod platanem właśnie, i jesienną porą przyglądać się ogrodowi.

Teraz rośliny krótkiego dnia. Rodzaj liczy blisko trzysta gatunków i tysiące odmian tej wieloletniej byliny. Astry, potocznie nazywane marcinkami, kwitną najobficiej na świętego Marcina. – O tej porze roku imponują swoim kształtem, kolorem, intensywnością, fakturą – mówi Zagajewski i kuca na ich wysokości. – Proszę spojrzeć na ich koszyczki: październik, a tu są piękne lawendowo-ametystowe kobierce. Ale co jest główną atrakcją? Bioróżnorodność. Mamy tu motyle, trzmiele, pszczoły, które odwiedzają kwiaty.

Zrywa jeden z kwiatów. – Szybki kurs botaniki. Jeśli delikatnie rozchylę pierwsze płatki o charakterze

↦

↦ języczków, które nazywamy „zapraszającymi”, to kolejne, rurkowe, są tymi, na których znajduje się cenny pożytek dla owadów. Czego chcieć więcej?

Mijamy szkółkę roślin. – To jest takie nasze przedszkole – mówi Zagajewski. – Obserwujemy tu nasze małe rośliny, pomagamy się im zaaklimatyzować. I dopiero gdy mamy już pewność, że sobie poradzą, wypuszczamy w świat.

Moja babcia Cecylia powtarzała, że jeśli warszawianki zakwitły, **to jest nadzieja też dla nas.**

5 Zatrzymujemy się przy trawach. Zagajewski przechodzi z jednej strony na drugą, to znów nurkuje w głąb. Opowiada: – Widzi pani, co się dzieje na tym wietrze? Co za szum! Co za sensoryczne doznanie! I jaki perłowy połysk! To właśnie miskant cukrowy. Kolejna sensacyjna roślina tej jesieni. Szeleszcząc oddziałuje na nasze zmysły. Jego pióropusze wyglądają w słońcu zjawiskowo. Nie dość, że aksamitne i delikatne w dotyku, to jeszcze kolor – jak masa perłowa.

Dalej aksamitki. – Rośliny dziś zapomniane i niecenione, a szkoda. Bo nie dość, że są roślinami fitosanitarnymi, a więc oczyszczają glebę z niebezpiecznych związków, także z nicieni, to dodatkowo są jadalne.

Zrywa i zjada.

– Ich płatki zawierają dużo luteiny, co dobrze wpływa na nasz wzrok, są też bogate w cenne sole mineralne. Hiszpanie nazywają je Flor de Muerto, czyli rośliny śmierci. Są odporne na skrajne warunki klimatyczne, sadzone w miejscach kultu.

Po chwili: – A tu nasturcje, piękne kwiaty o drogocennych liściach.

Zrywa i zjada.

– Po cóż nam rukola, skoro mamy nasturcje? Smakują trochę jak rzeżucha, prawda? Ich owoce były takimi naszymi kaparami w dawnej Polsce. „Kogutki”, jak nazywała je moja babcia.

Po chwili: – Rokitniki, to o nich mówiono – rosyjskie ananasy. Wyjątkowo cenne w sole mineralne, dlatego zawsze gdy jestem w Powsinie albo w Helu, gdzie jest ich bardzo dużo, zjadam co najmniej siedem owoców, żeby wzmocnić się w witaminę C oraz cenne kwasy omega 3, omega 6 i omega 9.

Zagajewski przechodzi od jednego stanowiska do drugiego.

Wrzosy. – Aż trudno uwierzyć, że kiedyś były niszczone. Ich korzenie, jako wiórki wędzarnicze, wykorzystywano do wędzenia ryb. O ile się nie mylę, teraz jest to zakazane.

Kamelie japońskie (w oranżeriach ogrodu). – Moje ukochane. To salonowe piękności. Średnica kwiatów potrafi osiągnąć 15 centymetrów, a wysokość nawet 10 metrów. Zaczynają kwitnąć od końca listopada do maja. Pochodzą z Azji, głównie z Chin, Japonii i Wietnamu, z pięknie falowanymi płatkami. Fascynowały Europejczyków.

Oczary. – Czyż nie czarują? Kwitną, w zależności od odmiany, już w zimie czy też na przedwiośniu.

Zimowity. – Z połyskującymi w słońcu kielichami. Jesienne, kwitną późno, na przełomie sierpnia i września. Są trujące. Potrafią sparaliżować drogi oddechowe. Zjedzenie jednej bulwy może spowodować śmierć.

Hortensje bukietowe. – Już teraz w brązach, odcieniach koloru rudego i mosiądzu. Jeszcze szlachetnie się wybarwią, potem należy usunąć kwiatostany i na wiosnę wykonać cięcia sanitarne.

Spacer kończymy nad dwoma stawami. Schodzimy po drewnianych schodkach w dół. Wiatr porusza drzewa, stoimy wśród spadających liści. Obok zegar ptasiego śpiewu. – To jest jak z bajek, których słuchało się ze starych winylowych płyt na gramofonie nakręcanym korbką. „Pierwsze akordy niechaj kos da, potem zabrzmią trele drozda, dzięcioł zagra na bębenku, mysikrólik pomaleńku wjedzie ze swym instrumentem”.

Powyżej można znaleźć rośliny leśne. Część z nich zakwitnie zimą, jak choćby wawrzynek wilczełyko, a kolejne będą zwiastowały wiosnę: śnieżyczka przebiśnieg czy pierwiosnek wyniosły.

Zagajewski przykuca: – Sadziec purpurowy – majestatyczna roślina, o purpurowo-amarantowej łodydze i oryginalnych, ząbkowanych liściach. Lubi bliskość wody, wilgotne siedliska. Kwitnie pod koniec lata, teraz osiąga dwa lub trzy metry wysokości, a koszyczki kwiatowe powoli przekwitają. Jeszcze we wrześniu była cennym pożytkiem dla pszczół.

I na koniec onętek podwójnie pierzasty. – Roślina pięknie pastelowa, jedna z moich ulubionych. Nazywana warszawianką. Moja babcia, która przeżyła powstanie warszawskie, opowiadała mi, że onętek pojawił się jako pierwsza roślina na gruzach Warszawy. Są łatwe w uprawie, tworzą piękną łąkę kwietną. Babcia powtarzała, że jeśli one zakwitły, to jest nadzieja też dla nas. Choć trzeba pamiętać, że rośliny nie przejmują się kataklizmami, chorobami. One żyją swoim rytmem i swoim życiem. Niektóre w najbliższych tygodniach upadną, inne tylko się pochylą, jeszcze inne zaczną umierać. Ale śmierć umożliwi im kolejne życie. Gdy przyjdziemy tu za kilka tygodni, wszystko będzie inaczej.

©℗ ANNA GOC

ARTUR ZAGAJEWSKI (ur. 1972 r. w Warszawie) jest doktorem nauk rolniczych SGGW oraz absolwentem Wydziału Geologii Uniwersytetu Warszawskiego. Przede wszystkim pasjonat roślin, gleboznawca, wieloletni pracownik Wydziału Rolnictwa i Biologii, także Ogrodnictwa i Architektury Krajobrazu SGGW, były pracownik Ogrodu Botanicznego Polskiej Akademii Nauk w warszawskim Powsinie. Popularyzator przyrody i działacz na rzecz jej ochrony. Miłośnik piękna we wszystkich jego postaciach. Zadowolony i szczęśliwy z życia.

TYGODNIK POWSZECHNY

Czuły „Tygodnik”

Dobra passa „Tygodnika Powszechnego”

10 września Przemysław WILCZYŃSKI otrzymał Nagrodę Koalicji na rzecz Rodzinnej Opieki Zastępczej „Czuły sygnalista” za publikowane w „Tygodniku Powszechnym” teksty poświęcone problematyce rodzicielstwa zastępczego i dzieci „z trudnych miejsc”.

20 września Łukasz GRAJEWSKI odebrał w gdyńskim Muzeum Emigracji Nagrodę im. Macieja Płażyńskiego za reportaż z Niemiec „Jesteśmy towarem” o sytuacji polskich imigrantów pracujących w tym kraju.

23 września film Aleksandry POTOCZEK „xABo: Ksiądz Boniecki”, wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego, został zwycięzcą Grand Prix na Międzynarodowym Festiwalu Filmów Dokumentalnych Flahertiana w Rosji. Przypominamy, że film dostał na Krakowskim Festiwalu Filmowym 2020 Nagrodę im. Macieja Szumowskiego, przyznawaną za „szczególną wrażliwość na sprawy społeczne”.

3 października współpracujący z „Tygodnikiem Powszechnym” reporter Zbigniew ROKITA dostał dwie nagrody: Nike oraz Nike Czytelników (pierwsza przyznawana przez jury, druga przez czytelniczki i czytelników w głosowaniu), za książkowy reportaż „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.

8 października poznaliśmy listę nominowanych do nagrody Popularyzator Nauki 2021, przyznawanej przez prowadzony przez PAP serwis „Nauka w Polsce”. W kategorii „Media” nominowani zostali Łukasz LAMŻA i Wojciech BRZEZIŃSKI z działu naukowego „Tygodnika Powszechnego”, a w kategorii „Naukowiec” nominowano Annę ŁOSIAK, piszącą w „Tygodniku” o geologii planetarnej.

8 października na Festiwalu Twórczości Wrażliwej Społecznie w kategorii „Reportaż EkoWrażliwy” wyróżnienie otrzymał Krzysztof STORY za tekst „Najłatwiejszy przemyt świata” (powstały we współpracy z międzynarodowym zespołem dziennikarzy śledczych i ukazujący kulisy przemytu pestycydów do Europy). Anna MIKULSKA otrzymała I nagrodę w kategorii „Twórca szczególnie wrażliwy” m.in. za reportaż „Dziś nam trzeba pięciu” o afrykańskich imigrantach na Sycylii. Wojciech SZUMOWSKI, reżyser wyprodukowanego przez Fundację Tygodnika Powszechnego filmu o Dariuszu Popieli „Ukos światła”, otrzymał wyróżnienie w kategorii „Film dokumentalny/reportaż filmowy” za film „Oni mieli imiona”.

13 października nominację do Nagrody Radia ZET im. Andrzeja Woyciechowskiego – mającej na celu „uhonorowanie dziennikarzy za odwagę w docieraniu do prawdy i odkrywanie tego, co wcześniej było ukryte lub niedopowiedziane” – otrzymał Łukasz GRAJEWSKI za reportaż „Prawdziwe koszty szparaga”. By napisać ten tekst, nasz korespondent zatrudnił się na niemieckiej farmie szparagów, gdzie „Polacy i Rumuni są obywatelami drugiej kategorii”.

20 października Karol WILCZYŃSKI otrzymał nominację do Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego za opublikowany na naszych łamach tekst „Wyższa szkoła alienacji”. Nagroda ta przyznawana jest przez Fundację EFC naukowcom, dziennikarzom i praktykom za publikacje dotyczące edukacji. Autorowi życzymy wygranej!

„Tygodnik Powszechny” – suwerenny dzięki Czytelniczkom i Czytelnikom.
Rośniemy z Wami!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz:
Dzień z życia

Przyglądając się rankiem, przez okno, idącym do pracy ludziom, liczyliśmy cwaniaków. Ot tak, by zabić nudę i by oderwać ponure myśli, które zawsze wywołuje początek sezonu pomidorów bez smaku: Jeden, drugi, trzeci, setny, tysięczny... O! I milionowy cwaniak sobie idzie. Z teczką, w bucikach z Peweksu, jak gdyby nic, jak niewiniątko, jak gdyby nie istniało Centralne Biuro Śledcze. Do stu tysięcy beczek zjełczałego tłuszczu! – mamrotaliśmy, a palców nam oczywiście i do liczenia, i do dłubania w nosie zabrakło.

Gdyśmy się zastanawiali nad ulepszeniem rachowania i owych rachunków notowania, usłyszeliśmy we własnej głowie takie oto słowa: „Hola, hola, pogardliwy polskojęzyczny polakożerco! Jakże to poznajesz cwaniaka przez okno? Bez dotyku? Bez sondującej pogwarki? Bez dowodów? Bez obejrzenia PIT-u jego? Bez biletu na karuzelę vatowską? Bez podsłuchu? Skąd pewność, że ten albo ów jest cwaniakiem? Że nie jest – dajmy na to – człowiekiem owczo-cielęcym, który wyłącznie kupuje drogo, by sprzedać tanio?”. Ano, mlaskając, sami sobie odpowiedzieliśmy na ten agresywny atak naszego wnętrza, że mianowicie cwaniakiem jest z naszego założenia każdy.

Tak nas nauczono już dawno. W starowarszawskim towarzystwie, przy kawie i wuzetce. Że cwaniak to – powtórzmy – każdy, kto nie umie udowodnić, że pracuje etatowo w partyjnym biurze, w partyjnym urzędzie, ale mający pieniądze i – pardon – daczę oraz czas na zagraniczne wczasy. Cwaniakiem jest badylarz i nie badylarz, ale zawsze prywaciarz. Wszyscy prywaciarze to są cwaniacy. Otóż wykładnią i definicją cwaniactwa jest dla nas także zdanie podobnego nam dinozaura gatunku: „Jeśli ktoś ma pieniądze, to skądś je ma”. Kto to powiedział? He, he. Nie ma sensu mówić głośno. Kto wie, ten wie. Tak czy owak, największą siłą naszego intelektu jest żonglerka insynuacjami, a owa powyższa jest ich już na zawsze w polszczyźnie żywą królową.

No więc, gdyśmy się tym wewnętrznym dialogiem nieco zmęczyli, włączyliśmy sobie kanał miejscowej telewizji finansowanej z podatków. Stacja owa specjalizuje się w tym, co ukochaliśmy: w insynuowaniu nie tylko oralnie, ale też w insynuacji przetransportowanej do odchudzonej wersji tekstowej. Przedsiębiorstwo to, ku naszemu zadowoleniu, produkuje dziennie kilkadziesiąt insynuacji, które pojawiają się w formie paska na dole ekranu. Zadzwoniliśmy do centrali, by zwolnili przesuwanie i zmienianie treści, bowiem nie nadążamy z czytaniem. Zwolnili, tak się składa, że wykonują każde nasze polecenie. Siłą rzeczy, czytając te kawałki, myśleliśmy kontekstowo. O dzisiejszym dziennikarstwie w Polsce. Siłą rzeczy, bowiem siłą tej telewizji jest informacja siłowa, a my z żalem przyjmujemy, że nie wszyscy dziennikarze lubią używanie paska.

Niektórym się wydaje, że to niedziennikarskie. No więc myślenie o dziennikarstwie i dziennikarzach od dawna jest naszą obsesją, na którą *de facto* nie mamy tabletki. To ważne, bo nasze interpretacje wszystkiego są obowiązujące, nie tylko dla dziennikarzy, ale dla urzędników i oczywiście dla pracowników ogromnej spółki Skarbu Państwa, zajmującej się fabrykowaniem historii Polski i świata na nasze wyłączne zamówienie. No więc interpretujemy, jak zawsze i jak dawniej, wszystko, starowarszawsko, przy kawie i wuzetce nie pierwszej świeżości. Weźmy rzecz ostatnią, pierwszą z brzegu, to jest wojnę wietnamską. Nasza najnowsza interpretacja, że Amerykanie ją przegrali przez niepatriotycznych dziennikarzy, przez wraże amerykańskie media, zaraz znajdzie się na taśmach fabryki historii i w podręcznikach dla umęczonej skretynieniem dorosłych młodzieży polskiej. Mamy coś podobnego w zanadrzu? Coś w tym stylu na przyszłość? W porozumieniu z licznymi producentami pasków, producentami historii, urzędnikami i naszymi artystami chcemy zaproponować interpretację bitwy pod Grunwaldem, że mianowicie zakon krzyżacki ją przegrał dzięki pomnikowemu dziełu polskiej kinematografii z 1960 r. Nie mamy kompleksów *für Deutschland*. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OSTATNIE DNI W SPRZEDAŻY

Najlepsze wspomnienia z podróży w reportażach, esejach i rozmowach.

Piszą Bieńczyk, Błażejowska, Drenda, Jagielski, Koziołek, Kuczok, Kuźmiński, Olszewski, Przewrocka-Aderet i Stasiuk.

Kup tygodnikowy **„Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”** i pielęgnuj z nami najpiękniejsze wspomnienia z wakacji.

„W drogę!” dostępne także jako ebook.
Więcej na **powszech.net/wdroge**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
PARTNERZY WYDANIA:
Albatros
LOGOS TRAVEL MAREK ŚLIWKA

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00